

Walczyłem w Warszawie
Poruszający wywiad z bohaterem Armii Krajowej

Tajemnica S-363
Katastrofa sowieckiego okrętu podwodnego

Uratowałem życie Polakowi
Rozmowa z amerykańskim żołnierzem z Afganistanu

NR 8(114)/2022 SIERPIEŃ 2022

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

DO RZECZY
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Powstanie '44

WYROK STALINA

e-prasa.pl 196ee5bd01

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKI M. CISZEWSKI: „POWSTANIE WARSZAWSKIE. WĘDRÓWKA PO WALCZĄCYM MIEŚCIE"
A. CUBAŁA: „WARSZAWSKIE DZIECI '44"

WARSZAWSKIE DZIECI '44

To nie jest opowieść o bohaterskich walkach małych żołnierzy ani dyskusja o tym, czy wolno było im dać broń do ręki albo wysyłać z butelką zapalającą na barykady. Ta książka po raz pierwszy ukazuje, jak dzieci uczyły się żyć w zupełnie nowej dla nich powstańczej rzeczywistości. Jak radziły sobie z przerażeniem, bólem, cierpieniem oraz koszmarnymi wydarzeniami, których były uczestnikami. A także – jak z traumą wyniesioną z powstańczej Warszawy musiały zmagać się do końca życia. Spojrzenie na powstanie oczami dziecka, poznanie jego emocji i dramatów odsłania prawdę o walce pozbawionej heroizmu oraz cenie, którą przyszło za nią zapłacić, by móc żyć dalej.

POWSTANIE WARSZAWSKIE. WĘDRÓWKA PO WALCZĄCYM MIEŚCIE

Zapraszamy na literacką wędrówkę po walczącej Warszawie. Jest to dzieło daleko wykraczające poza interpretację – to oryginalna, autorska opowieść o jednym z najważniejszych momentów w dziejach Polski. O powstaniu warszawskim w sierpniu 1944 roku. I kolejny dowód na to, że historia nadal jest żywa i pełna wzbudzających emocji narracji.



146 zł

oszczędność 80 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 196ee5bd01

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **LOC, NAC/Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 21 stycznia 1935 r.

Spotkanie dzieci z weteranami powstania styczniowego



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Nigdy więcej klęski

Powstanie Warszawskie było największą jednorazową tragedią w dziejach narodu polskiego. Pod gruzami miasta pogrzebanych zostało 150 tys. cywilów. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Poległo kilkanaście tysięcy żołnierzy Armii Krajowej – przedstawicieli wspaniałego pokolenia wychowanego w II RP.

Przerażające były również straty materialne. Milionowa metropolia została zniesiona z powierzchni ziemi. Razem z bezcennymi zabytkami, ze świątyniami, z dziełami sztuki i księgozbiorami. Skarbami kultury narodowej. Serce Polski przestało bić. Ponieśliśmy straty nie do odrobienia. Nie odnosząc przy tym żadnych, ale to absolutnie żadnych korzyści militarnych i politycznych.

Każda kolejna rocznica tej narodowej katastrofy ma dla Polaków niezwykłe znaczenie. To smutny czas, kiedy wspominamy pomordowanych i poległych. Opłakujemy potworną hekatombę naszych rodaków. Jednocześnie oddając hołd bohaterskim żołnierzom AK, którzy na ulicach Warszawy w nierównej walce z wrogiem dokonywali cudów heroizmu.

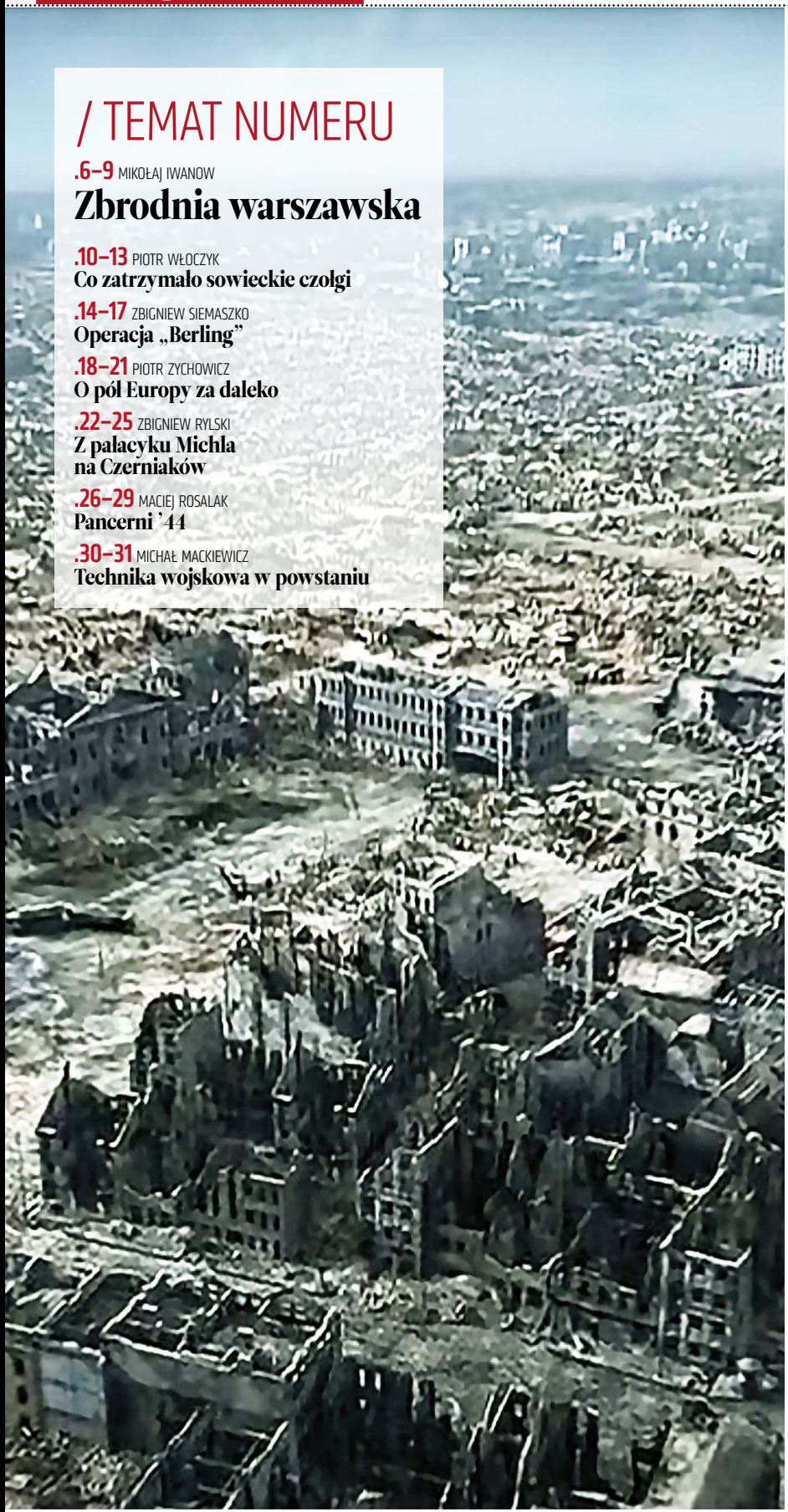
To również czas refleksji nad tym, do czego prowadzi polityka oparta nie na twardych realiach, tylko na oderwanych od rzeczywistości mrzonkach. Nigdy więcej klęski. Nigdy więcej szafowania krwią Polaków.

W debacie na temat Powstania Warszawskiego szczególnie razi powtarzana często skarga: „Stalin zdradził powstanie!". Mowa oczywiście o tym, że Sowieci nie przyszli na ratunek konającej Armii Krajowej i obserwowali z przeciwległej strony Wisły agonię miasta.

Jest to pogląd zaskakujący. Stalin nie mógł „zdradzić" Polaków. Zdradzić może bowiem tylko przyjaciel. Stalin – wbrew temu, co wmawiali sobie nasi politycy w 1944 r. – był śmiertelnym wrogiem Polski. Oczekiwanie na pomoc Sowietów było skrajną naiwnością.

W tym numerze „Historii Do Rzeczy" ukazujemy kulisy sowieckiej gry wobec Warszawy. Miasta, które zostało skazane na zagładę. ©℗

eprasa.pl 196ee5bd01



/ TEMAT NUMERU

.6–9 MIKOŁAJ IWANOW
Zbrodnia warszawska

.10–13 PIOTR WŁOCZYK
Co zatrzymało sowieckie czołgi

.14–17 ZBIGNIEW SIEMASZKO
Operacja „Berling”

.18–21 PIOTR ZYCHOWICZ
O pół Europy za daleko

.22–25 ZBIGNIEW RYLSKI
Z pałacyku Michla na Czerniaków

.26–29 MACIEJ ROSALAK
Pancerni ’44

.30–31 MICHAŁ MACKIEWICZ
Technika wojskowa w powstaniu

/ CZASY I LUDZIE



.32–35 COREY SPECK
Jak uratowałem w Afganistanie Polaka

.36–38 SŁAWOMIR KOPER
Koniec świata Baltendeutschów

.39–41 PIOTR SEMKA
Walker: Łowca U-Bootów



.42–45 JAKUB OSTROMĘCKI
Tajemnica okrętu S-363

.46–49 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Chorwaci w sortach Wehrmachtu



.50–53 MAREK GAŁĘZOWSKI
Goetel: Inny świadek Katynia

.54–56 LESZEK LUBICKI
Okrutny mord Tęczyńskiego

.58–61 TOMASZ STAŃCZYK
Proroctwa o Polsce i wojnie

.62–65 MACIEJ ROSALAK
Konstytucja po sowiecku

eprasa.pl 196ee5bd01

/ CO CZYTAĆ



.66–67 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Jego EMILencja Zegadłowicz

/ FELIETONY

.74 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Dyzma? To o Marszałku?!

.75 PIOTR SEMKA
Żmudzkie wspominki

/ KRESY

.76–79 TOMASZ STAŃCZYK
Zanim zawarto unię

/ TECHNIKA

.80–81 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Kapsle i puszki

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Z dżungli do Workuty



REKLAMA

REBIS

Agnieszka Cubała
WIELKOPOLANIE '44
Jak mieszkańcy Wielkopolski walczyli w powstaniu warszawskim

Historia Wielkopolan, którzy stanęli do walki w Godzinie „W"

Bestseller Piotra Zychowicza. Jedna z najbardziej kontrowersyjnych książek o powstaniu warszawskim

PIOTR ZYCHOWICZ
OBŁĘD '44
czyli jak Polacy zrobili prezent Stalinowi, wywołując Powstanie Warszawskie

ANDRZEJ BOROWIEC
CHŁOPAK Z WARSZAWY
POWSTANIE WARSZAWSKIE OCZAMI SZESNASTOLETNIEGO ŻOŁNIERZA

Opowieść o przetrwaniu i oporze podczas jednego z najbardziej wstrząsających wydarzeń drugiej wojny światowej

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl FB/REBIS

sa.pl 196ee5bd01



Kadr z filmu „Miasto ruin”
FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Sierpień 1944 r. / Stalin a powstanie

Zbrodnia warszawska



Mikołaj Iwanow

W sierpniu i we wrześniu 1944 r. pakt Ribbentrop–Mołotow jakby na dwa miesiące odżył

Co wiedzą o Powstaniu Warszawskim Rosjanie? Na tle dzisiejszej agresji Federacji Rosyjskiej przeciwko Ukrainie pytanie to zupełnie nie wygląda retorycznie. Dzisiejszej wojnie towarzyszy potężne kłamstwo na temat jej przyczyn, przebiegu i perspektyw jej zakończenia. Powstaniu Warszawskiemu od prawie 78 lat towarzyszy podobne olbrzymie kłamstwo, zakorzenione w istocie stalinowskiego i putinowskiego systemu władzy. W rzeczywistości w dzisiejszej Rosji nadal obowiązuje stalinowska koncepcja stosunku kierownictwa Związku Sowieckiego i Armii Czerwonej do powstania z 1944 r. Zawiera się ona w następujących punktach:

– Armia Krajowa stanowiła wobec Związku Sowieckiego wrogą formację wojskową, która wznieciła powstanie w polskiej stolicy, aby uniemożliwić Armii Czerwonej wyzwolenie Warszawy. Było to w rzeczywistości „uderzenie w plecy” Armii Czerwonej;

– Armia Czerwona nie planowała w toku operacji „Bagration” wyzwolenia polskiej stolicy;

– nie było rozkazu naczelnego dowództwa Armii Czerwonej, aby zatrzymać się u bram Warszawy i pozwolić Niemcom rozprawić się z powstańcami i ludnością stolicy Polski;

– Armia Czerwona po przejściu w ciężkich walkach prawie 600 km po terytorium Białorusi i wschodniej części Polski nie miała obiektywnych możliwości pomocy powstańcom. Była wykrwawiona, miała bardzo rozciągnięte linie zaopatrzenia i ustępowała Wehrmachtowi pod względem siły bojowej w rejonie Warszawy;

– Armia Czerwona straciła na polskiej ziemi ponad 600 tys. żołnierzy. Gdyby padł rozkaz przyjścia z pomocą walczącej Warszawie, na polskiej ziemi leżałyby dziś o dziesiątki, a może setki tysięcy więcej żołnierzy sowieckich.

Wszystkie te argumenty są od początku do końca nieprawdziwe, ale ubrane w jaskrawe propagandowe szaty do dziś stanowią swoistą broń ideologiczną w celu okłamania własnego społeczeństwa i wzniecenia nowej fali wrogości wobec Polaków i Polski, prowadzących dziś skuteczną politykę pomocy walczącej Ukrainie. Kłamstwo warszawskie logicznie nawarstwia się na inne wielkie kłamstwo – katyńskie. Ujawnienie prawdy o zbrodni katyńskiej przez stronę sowiecką w okresie tzw. pieriestrojki i stronę rosyjską po rozpadzie Związku Sowieckiego stanowi do dziś wyjątkowy odosobniony przypadek w stosunkach polsko-rosyjskich. Do dziś w Rosji nie brakuje tych, którzy uznają przyznanie się do zbrodni katyńskiej za wielki błąd

eprasa.pl 196ee5bd01

strategiczny. Natomiast kwestia zbrodni warszawskiej nadal czeka na wyjaśnienie. Stanowisko Stalina i dowództwa Armii Czerwonej wobec Powstania Warszawskiego zajmuje na liście niewyjaśnionych kwestii czołowe miejsce.

Zupełny brak odzewu na tę tragedię w społeczeństwie rosyjskim i ignorowanie jej przez koła rządzące dzisiejszej Rosji nie pozwalają przezwyciężyć nieufności w stosunkach polsko-rosyjskich, a także sprzyjają skrajnym nacjonalistom po obu stronach granicy, którzy wykorzystują je do podsycania nowych konfliktów. Główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak dostępu do archiwów rosyjskich (byłych sowieckich), które niewątpliwe mają w swych zasobach odpowiedzi na wiele pytań. Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że również niezależni badacze rosyjscy mają ograniczony dostęp do tych archiwów. Do dziś są one traktowane jako nieodzowne narzędzie walki ideologicznej.

Prezent dla Sowietów

Tragedia Warszawy w sierpniu–wrześniu 1944 r. łączy się z niezrozumieniem przez rząd w Londynie przywódców Polski podziemnej i dowództwa Armii Krajowej represyjnej, zbrodniczej istoty reżimu stalinowskiego. Przywódcy powstania prawie nie brali pod uwagę tego, że Stalin miał ogromne doświadczenie w unieszkodliwieniu i zniszczeniu swych prawdziwych i rzekomych przeciwników politycznych we własnym kraju, stosując przy tym środki niezrozumiale dla Polaków i ich zachodnich sprzymierzeńców.

Po tragicznych doświadczeniach w przeprowadzeniu operacji „Burza" w Wilnie i we Lwowie, po masowych antyakowskich represjach na Lubelszczyźnie, latem 1944 r. decyzja o powstaniu w Warszawie wydaje się co najmniej niezrozumiała, a według opinii niektórych badaczy graniczy z dążeniem do samozniszczenia. Jest ona tym bardziej niezrozumiała, że kierownictwo AK dobrze wiedziało, że na terenie wschodnich województw II RP już od połowy 1943 r. trwa zażarta i krwawa walka partyzancka między oddziałami polskimi i sowieckimi. Oczekiwanie w podobnej sytuacji szczerej współpracy militarnej z Armią Czerwoną było samooszukiwaniem się.



Józef Stalin FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Latem 1944 r. przewaga Armii Czerwonej na froncie sowiecko-niemieckim była przytłaczająca. Pomimo chwilowych trudności z rozciągnięciem linii frontu i dużych strat podczas operacji „Bagration" Armia Czerwona posiadała wszystkie niezbędne możliwości dla przyjścia z pomocą walczącej Warszawie. Kwerenda w Centralnym Archiwum Armii Sowieckiej w Podolsku pozwala na stwierdzenie, że główna siła uderzeniowa 1. Frontu Białoruskiego – 2. Armia Pancerna – dotarła z południowego wschodu do Warszawy prawie bez strat już po załamaniu się niemieckiego frontu wschodniego na Białorusi. Z punktu widzenia logiki strategicznej uderzenie tego niezwykle mocnego związku operacyjnego na Warszawę mogło doprowadzić do załamania całego frontu wschodniego Wehrmachtu i do wyraźnego przyspieszenia zakończenia drugiej wojny światowej w Europie. Stalin i dowództwo Armii Czerwonej wybrali jednak z powodów politycznych plan zniszczenia polskiej stolicy przez Niemców.

Straty własne nigdy w okresie drugiej wojny światowej nie były dla Stalina i wojskowego kierownictwa sowieckiego argumentem decydującym w wyznaczeniu celów strategicznych. Znaczna liczba własnych zabitych żołnierzy w czasie przeprowadzenia operacji ofensywnych zawsze w czasie ostatniej wojny była ważnym kryterium dla wyróżniania i awansowania sowieckich generałów i oficerów. Podobna szczodrość dowódców sowieckich w czasie ostatniej wojny przekształciła się ostatecznie w główną zasadę prowadzenia wojny przez Armię Czerwoną. Zasypać ciałami własnych zabitych żołnierzy pozycji nieprzyjaciela – oto, jaka taktyka walki przeważała pod koniec wojny w doktrynie strategicznej Armii Sowieckiej.

Główny sowiecki strateg i bohater ostatniej wojny (oczywiście po Stalinie) marszałek Georgij Żukow, jedyny czterokrotnie odznaczony najwyższym Orderem Bohatera Związku Sowieckiego, potocznie był nazywany przez żołnierzy na froncie „generałem śmiercią". Jego przybycie na ten czy inny odcinek frontu od razu wywoływało popłoch wśród własnych żołnierzy, oznaczało bowiem nieuchronne natarcie czy przeciwnatarcie z olbrzymimi stratami własnymi.

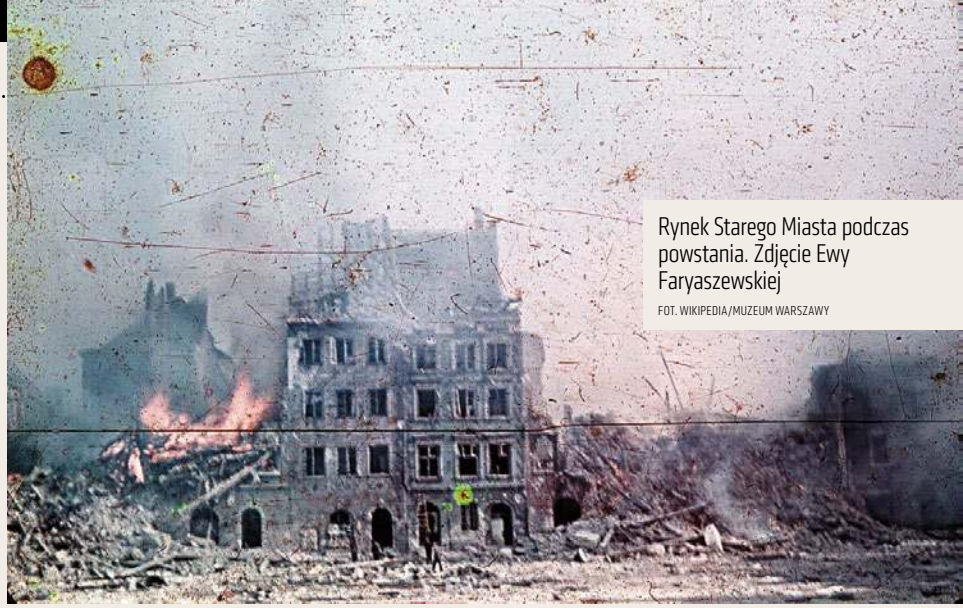
Dlatego usilne poszukiwanie przez polskich historyków odpowiedzi na pytanie, czy Armia Czerwona w sierpniu–wrześniu 1944 r. była w stanie okazać realną pomoc dla powstania i jakie (czy w ogóle) były konkretne przyczyny zatrzymania się wojsk sowieckich przed Warszawą, jest nie na miejscu. Po krótkotrwałym załamaniu się sowieckiej ofensywy w rejonie Warszawy pod koniec lipca 1944 r. już w połowie sierpnia Armia Czerwona była w stanie okazać konkretną pomoc powstańcom w Warszawie. Odpowiednie przegrupowanie sił i środków na centralnym odcinku frontu niemiecko-sowieckiego mogło bez wątpienia już wtedy zapewnić Armii Czerwonej opanowanie polskiej stolicy.

Świadczą o tym relacje wojskowego dowództwa niemieckiego, które nie bez podstaw przewidywało, że dostateczne mocne uderzenie Armii Czerwonej na wschód od polskiej stolicy może doprowadzić do opuszczenia przez wojska niemieckie Warszawy.

Wielką naiwnością była też próba premiera rządu emigracyjnego Stanisława Mikołajczyka uzyskania zgody Stalina na przyjście z pomocą powstaniu. Jak pisze we swych wspomnieniach Stanisław Mikołajczyk, Stalin podczas rozmowy z nim 3 sierpnia 1944 r. powiedział: „Gorąco pragniemy pomóc waszej armii w Warszawie… Mamy nadzieję, że piątego tego miesiąca lub szóstego opanujemy waszą stolicę, lecz Niemcy bronią jej bardziej zaciekle, niż się spodziewaliśmy. Zdobycie miasta nastąpi więc z niewielkim opóźnieniem".

Wraz z samym Stalinem cała sowiecka machina propagandowa rozpowszechniała mit o istnieniu planów wyzwolenia

eprasa.pl 196ee5bd01



Rynek Starego Miasta podczas powstania. Zdjęcie Ewy Faryaszewskiej

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM WARSZAWY

Warszawy podczas trwania Powstania Warszawskiego. Piszą o istnieniu podobnego planu w swych wspomnieniach były dowódca 1. Frontu Białoruskiego marszałek Konstanty Rokossowski i były szef sowieckiego Sztabu Generalnego gen. Siergiej Sztimenko. Naiwnością ze strony wojskowego kierownictwa powstania i osobiście ze strony gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego było również liczenie na rychłą pomoc powstaniu i zwlekanie z decyzją o kapitulacji. Liczne depesze generała do dowództwa 1. Frontu Białoruskiego i wysyłanie patroli łącznikowych na stronę sowiecką tylko potwierdzają tę naiwność.

Powstanie Warszawskie stało się dla Stalina unikalną okazją dla zniszczenia rękami Niemców elity niepodległościowej narodu polskiego, potencjalnych kandydatów do nowych Katyni. Był to dla Stalina prezent, umożliwiający mu zaoszczędzanie sił i środków w procesie powojennej sowietyzacji Polski. Prezent ten był o tyle ważny, że gdyby powstania nie było, dla Stalina warto by było je wymyślić czy sprowokować. Nie mamy dowodów z archiwów sowieckich o tym, że liczne wezwania Radia Moskiewskiego i Radiostacji im. Tadeusza Kościuszki, należącej do Związku Patriotów Polskich, do rozpoczęcia antyniemieckiego powstania w Warszawie były jedną wielką prowokacja, ale podobne wnioski nieuchronnie się nasuwają. Pomimo gorących obietnic Stalina przyjścia z pomocą powstaniu, składanych na początku sierpnia w rozmowach ze Stanisławem Mikołajczykiem, i późniejszych zapewnień o nadejściu podobnej pomocy żadna pomoc w całym pierwszym miesiącu powstania do Warszawy nie dotarła.

Gra pozorów

Istniała również jeszcze jedna okoliczność, która w końcu zmusiła Stalina do pozorów przyjścia z pomocą walczącej polskiej stolicy. Polska jako państwo sąsiadujące ze ZSRS, pomimo wyraźnego nieprzyjęcia przez większość narodu komunizmu, znajdowała się w sowieckiej strefie wpływów i praktycznie nic nie było w stanie przeszkodzić w jej nieuniknionej sowietyzacji. Natomiast całkiem inna sytuacja wyłoniła się w innym regionie Europy – na Bałkanach. Tu jugosłowiańska armia komunistyczna pod dowództwem marszałka Tity była główną siłą napędową walki antyfaszystowskiej i rysowała się perspektywa rozpowszechnienia komunizmu na całą południową Europę.

Pomoc dla komunistycznej armii marszałka Tity stała się w drugiej połowie 1944 r. wyraźnym priorytetem w sowieckich planach strategicznych. W zamian za udostępnienie Amerykanom trzech lotnisk na Ukrainie dla lądowania samolotów alianckich, po wykonaniu zadań bojowych nad Europą, Moskwa żądała dla siebie lotniska we Włoszech dla lądowania samolotów dostarczających zaopatrzenie dla jugosłowiańskich komunistycznych partyzantów. Latem 1944 r. podobne lotnisko zostało udostępnione i rozpoczęły się zrzuty, trwające jednak dość krótko w związku z nawiązaniem łączności lądowej między Armią Czerwoną i partyzantami.

Decyzja o przyjściu z pomocą powstaniu na początku września została na Stalinie wymuszona przez aliantów zachodnich, głównie przez Churchilla. Stalin nie ukrywał swego oburzenia na brytyjskiego premiera z tego powodu przed swoimi zaufanymi zwolennikami. Dał temu wyraz w rozmowie z Milowanem Dżiłasem (specjalnym wysłannikiem marszałka Tity w Moskwie) latem 1944 r. „Myślicie, że będąc sprzymierzeńcami Anglików, zapomnieliśmy, kim są i kto to jest Churchill? Dla nich największa radość to napaskudzić swym sprzymierzeńcom. Podczas pierwszej wojny światowej stale zawodzili Rosjan i Francuzów. A Churchill? Jest on taki, że może ci kopiejkę ukraść z kieszeni. Naprawdę – kopiejkę z kieszeni. Roosevelt jest inny, Roosevelt wyciąga rękę jedynie po większe kawałki, a Churchill po kopiejkę… Oni [Anglicy] zabili gen. Sikorskiego. Mogą zabić i Titę. Dla nich ofiarować życie dwóch–trzech ludzi to nic. Oni swych ludzi nie oszczędzają. A o Sikorskim to mi Beneš opowiadał: posadzili Sikorskiego do samolotu i pięknie strącili… ani dowodów, ani świadków".

Dowodzi to wymownie, że dla Stalina i jego ekipy względy polityczne prawie zawsze miały najwyższy priorytet w podejmowaniu decyzji w dziedzinie doraźnej strategii wojskowej na kończącym się etapie drugiej wojny światowej.

Ani sam Stalin, ani kierownictwo sowieckiej partii komunistycznej nigdy nie ukrywali swego absolutnie negatywnego stosunku do powstania, napiętnowali jego inicjatorów i kierowników jako „zaciekłych" wrogów Związku Sowieckiego, dążących jedynie do osiągnięcia wąskich egoistycznych korzyści politycznych, które są zupełnie rozbieżne z ogólnymi celami antyhitlerowskiej koalicji na czele z Wielką Brytanią, ze Stanami Zjednoczonymi i z ZSRS. Pisał o tym otwarcie Stalin w swym posłaniu premierowi Mikołajczykowi z 16 sierpnia 1944 r.: „[…] akcja warszawska, która została podjęta bez wiedzy i łączności z dowództwem sowieckim, stanowi lekkomyślną awanturę, która spowodowała pozbawione sensu straty wśród ludności. Do tego należy dodać oszczerczą kompanię prasy polskiej, która sugeruje, jakoby dowództwo radzieckie oszukało warszawiaków. Na skutek tego wszystkiego dowództwo radzieckie postanowiło otwarcie odciąć się od warszawskiej awantury, ponieważ nie powinno i nie może ono ponosić jakiejkolwiek odpowiedzialności za sprawę warszawską".

Czytamy o tym również w specjalnym oświadczeniu TASS z 12 sierpnia 1944 r. „TASS jest poinformowany, że ze strony londyńskich kół polskich, pono-

eprasa.pl 196ee5bd01

szących odpowiedzialność za wydarzenia w Warszawie, nie czyniono żadnych prób, aby zawczasu powiadomić i uzgodnić z radzieckim dowództwem wojskowym jakiekolwiek wystąpienia w Warszawie. Wobec powyższego odpowiedzialność za wydarzenia w Warszawie spada wyłącznie na polskie koła emigracyjne w Londynie".

Są to dokumenty oficjalne. Natomiast o wiele bardziej otwarcie stanowisko Stalina i władz sowieckich wobec powstania wyrażała posłuszna partii prasa sowiecka. Prawda, Izwiestia i inne liczne centralne i regionalne pisma z tego okresu obfitują w oszczercze artykuły antypolskie. Rząd londyński w tych artykułach na temat powstania wyzywano „kliką" grającą na korzyść faszystów niemieckich, a samo powstanie określano nie inaczej jak „zbrodniczą awanturą".

W rzeczywistości Powstanie Warszawskie stało się swoistym ostatnim rozdziałem antypolskiej współpracy sowiecko-niemieckiej w ramach paktu Ribbentrop-Mołotow. W sierpniu–wrześniu 1944 r. pakt ów jakby odżył na dwa miesiące. Polska przez cały okres drugiej wojny światowej, poczynając od 17 września 1939 r., bez przerwy, z różnym nasileniem, prowadziła wojnę na dwa fronty, z tym że w walce z komunizmem sowieckim poniosła porażkę dopiero w 1945 r.

Fiasko 17. Republiki

W swej polityce zwalczania polskiego obozu niepodległościowego Stalin pozwalał sobie okłamywać nawet swych oddanych sprzymierzeńców – komunistów polskich, którzy przyjęli jego decyzję o przyjściu z pomocą powstaniu jako szczere dążenie do uratowania polskiej stolicy. W odezwie naczelnego dowództwa prosowieckiego wojska polskiego z 13 sierpnia 1944 r. czytamy: „Nadeszła chwila wyzwolenia naszej Stolicy. Na was patrzy Warszawa, symbol pięcioletniej, nieugiętej walki Narodu Polskiego i jego okrutnych cierpień. Miasto bohater, słynne wśród narodów świata, nie złożyło broni od tragicznej obrony wrześniowej do dziś. Żołnierze! Cały Naród na Was patrzy, zjednoczony jak nigdy przedtem w historii w wielkiej miłości Ojczyzny i nienawiści do hitlerowskich oprawców […]".

W celu jeszcze większego zagmatwania prawdy Stalin pozwolił Zygmuntowi Berlingowi, dowódcy 1. Armii Wojska Polskiego, przeprowadzić operację desantową i opanować przyczółki na zachodnim brzegu Wisły. Berling spodziewał się i sądził, że rozpoczęła się wielka operacja ofensywna, że wkrótce będzie on w stanie przesunąć na warszawskie przyczółki wszystkie trzy dywizje swej armii. Stalin pozwolił rzucić do boju jedynie dwa wzmocnione pułki.

W rzeczywiści samobójcza akcja berlingowców, podjęta na rozkaz Stalina, miała za zadanie jedynie nieco uspokoić sojuszników zachodnich. Pomoc powstaniu we wrześniu była skrupulatnie dozowana. Powstańcy otrzymywali od Związku Sowieckiego dokładnie tyle pomocy, aby maksymalnie przedłużyć agonię powstania, żeby osiągnąć jak największe osłabienie zarówno polskich sił niepodległościowych, jak i niemieckich wojsk w rejonie Warszawy. Stalin bezsprzecznie chciał przedłużyć powstanie aż do „ostatniego Polaka". Jak świadczą dokumenty archiwalne, kapitulacja powstania stała się niespodzianką dla dowództwa sowieckiego.

Marszałkowie Żukow i Rokossowski prawdopodobnie wiedzieli o prawdziwych zamierzeniach Stalina wobec powstania, jednak sprawnie wykonywali powierzoną im przez dyktatora rolę. Generał Michał Rola-Żymierski podczas wizyty 13 września w sztabie Rokossowskiego otrzymał od sowieckiego marszałka – jak okazało się później, nieprawdziwą – informację o planowanym przerzuceniu na zachodni brzeg Wisły całej 1. Armii Wojska Polskiego, o rzekomym przyłączeniu się do natarcia jednostek Armii Czerwonej i o planach zbudowania w rejonie Warszawy dwóch mostów pontonowych przez Wisłę.

Stwierdzenie gen. Zygmunta Berlinga o jego niepodporządkowaniu się najwyższemu dowództwu Armii Czerwonej i przeprowadzenie desantów z własnej inicjatywy to mit. Niepodporządkowanie się Berlinga polegało na tym, że dążył on do okazania walczącej Warszawie większej pomocy, niż przewidywało to kierownictwo sowieckie.

Powstanie Warszawskie stało się jedną z największych tragedii w dziejach narodu polskiego. Była to klęska zarówno militarna, jak i duchowa. Z tym że pierwszą Polacy odnieśli z rąk Niemców, a drugą z rąk Związku Sowieckiego. Porażka ta dla wielu stała wyraźnym bodźcem do kompromisu z własnym sumieniem, pogodzeniem się i nawet do współpracy z komunizmem sowieckim. Tragedia ta była praktycznie nieunikniona w związku z ówczesną sytuacją geopolityczną w Europie. Jednak jej skala mogła być mniejsza, gdyby przywódcy Polski podziemnej lepiej rozumieli istotę systemu sowieckiego.

Liczba ofiar i strat w sierpniu–wrześniu 1944, głęboka moralna rana spowodowana porażką i poniżeniem kreują Powstanie Warszawskie na największą tragedię narodową Polaków w XX w. Pomimo wyjątkowo tragicznych doświadczeń i militarnej klęski powstanie osiągnęło jeden z najważniejszych zamierzonych celów: wyraźnie zademonstrowało dążenie większości narodu do niepodległości i sprzeciw wobec groźby nowej okupacji Polski. Tak jak prawie beznadziejny opór Finów wobec agresji sowieckiej w latach 1939–1940 uratował niepodległość tego kraju, tak Powstanie Warszawskie przekreśliło plany niektórych komunistów polskich utworzenia na ziemiach II Rzeczypospolitej 17. Republiki ZSRS. Powstanie również sprzyjało temu, że w PRL wprowadzono o wiele bardziej liberalny od sowieckiego system komunistyczny.



Czołg T-34 FOT. DOMENA PUBLICZNA

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01

Lato 1944 r. / Sytuacja militarna i rachuby polityczne

Co zatrzymało sowieckie czołgi



Czołg T-34 i sowiecka piechota FOT. DOMENA PUBLICZNA

30 lipca 1944 r. na miejscowości znajdujące się tuż za wschodnimi rogatkami Warszawy uderzyli Sowieci. Punktem ciężkości zaciętych walk pancernych stały się Radzymin i Wołomin. Po stronie niemieckiej walczyły zaprawione w bojach: 1. Dywizja „Hermann Göring", 5. Dywizja SS „Wiking", 3. Dywizja SS „Totenkopf" oraz 19. Dywizja Pancerna. Sowieci przeciwstawili im trzy korpusy (3., 8. i 16.) z 2. Armii Pancernej.

„Bitwy pancerne pod Radzyminem i Wołominem zaliczono do największych



Piotr Włoczyk

Na jakiej podstawie dowództwo AK przewidywało, że Sowieci wejdą do Warszawy na początku sierpnia 1944 r.?

niepowodzeń Armii Czerwonej na 1. Froncie Białoruskim – podkreślał prof. Norman Davies. – Na sowiecki łuk linii frontu pod Warszawą spadły aż cztery niemieckie dywizje pancerne. W rezultacie wojska Rokossowskiego, które znalazły się dosłownie w zasięgu wzroku mieszkańców Warszawy, zostały w środkowym odcinku zepchnięte kilkadziesiąt kilometrów w stronę Bugu. W sytuacji, gdy Wehrmacht wycofywał się na całej linii w większości innych miejsc, z pewnością należy to uznać za wyjątkowe osiągnięcie Niemców".

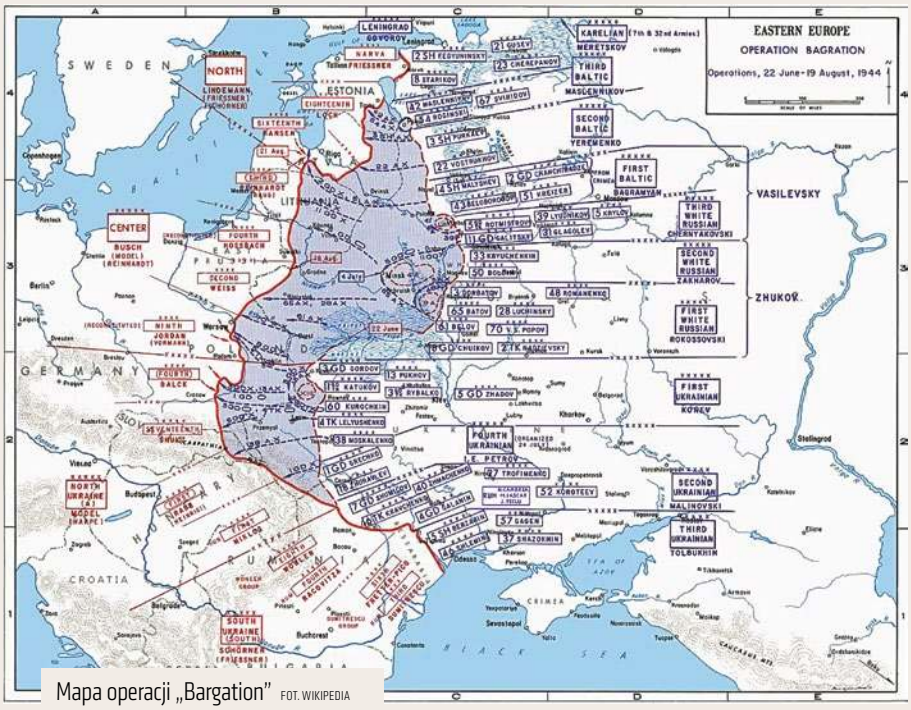
eprasa.pl 196ee5bd01

Czy niespodziewanie silny opór ze strony Niemców faktycznie tak pokrzyżował plany dowództwa Armii Czerwonej, że szybkie przekroczenie Wisły w okolicach Warszawy stało się nierealne?

„Tak ochoczo twierdzą ci, którzy dążą do wybielenia postawy Stalina. Wbrew faktom – przekonywał w wywiadzie z „Historią Do Rzeczy" prof. Mikołaj Iwanow. – Po pierwsze, to nie było pięć dywizji, tylko poszczególne oddziały tych związków taktycznych. W sumie siła mniejsza w porównaniu z samą 2. Armią Pancerną czerwonoarmistów. Po drugie, w warunkach dość bezładnego uchodzenia pobitego Wehrmachtu ich kontratak nie mógł zostać właściwie skoordynowany i w efekcie wchodziły one do akcji – głównie na północ od miasta – niejednocześnie. I wreszcie – głównym celem Niemców nie było w tamtych dniach utrzymanie Warszawy, ale ubezpieczenie od ofensywy na Prusy Wschodnie, czego Hitler obawiał się najbardziej. Tak więc to Sowieci zatrzymali się, czekając, aż Niemcy wykonają robotę za NKWD i zniszczą tych, którzy stanowili potencjalne zagrożenie dla komunizacji Polski".

Inaczej patrzy na ten problem prof. Andrzej Leon Sowa, wieloletni wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego zdaniem Armia Czerwona bez wątpienia znalazła się na przedmieściach Warszawy na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. w trudnej sytuacji, a dowództwo AK, licząc, że sowieccy żołnierze lada moment złamią opór Niemców i wejdą do stolicy, zupełnie nie orientowało się w faktycznej sytuacji wojskowej na froncie (zupełnie inną sprawą była nietrafiona ocena politycznej motywacji Stalina).

„Wiele argumentów przemawia za stwierdzeniem, że za Wisłą toczono ciężkie walki, wystarczy prześledzić wykazy strat, poległych i rannych żołnierzy, a także zniszczonego sprzętu. Co oczywiście nie znaczy, że przygotowywana była jakaś pomoc dla Warszawy, to są dwie różne kwestie – przekonywał prof. Andrzej Leon Sowa w jednym z wywiadów. – Stanu ciszy nie było, były bardzo ciężkie boje chociażby na południe od stolicy, a równocześnie mamy do czynienia z wyraźnym spowolnieniem działań wojennych na północny wschód od Warszawy. Były to skutki decyzji Stalina, podjętej już 21 lipca, o zmianie planu operacji, którą prowadził 1. Front Białoruski marszałka Rokossowskiego. Na mocy tej decyzji wojska pancerne, które miały zniszczyć siły niemieckie na przedpolu Warszawy, zostały rzucone do zdobywania Lublina, wyznaczonego przez Stalina na siedzibę PKWN. Ta zmiana planów operacyjnych była równoznaczna z odstąpieniem przez Stalina od szybkiego zdobywania stolicy Polski. W tym czasie na jego biurku znalazły się meldunki NKWD z Wilna, gdzie zgrupowania AK podjęły nieudaną akcję opanowania miasta. Przypuszczam, że Stalin doszedł do wniosku, że zainstalowanie PKWN w milionowej Warszawie, najsilniejszym niepodległościowym ośrodku w Polsce, może się okazać bardzo trudne. W tym czasie Wanda Wasilewska wieszczyła wręcz »wojnę domową«, wybuch walk między oddziałami AK i AL w Warszawie".

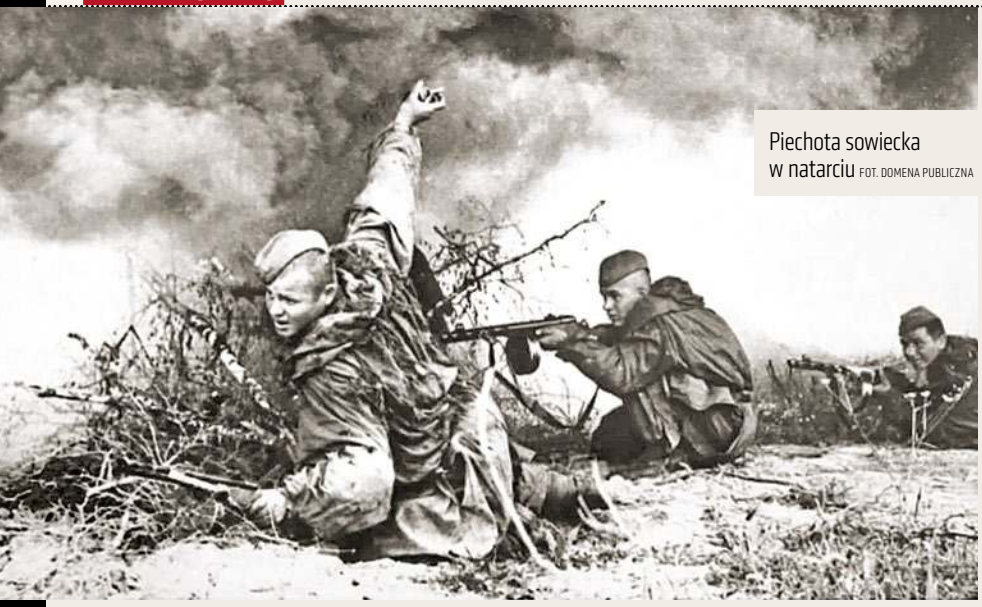


Mapa operacji „Bargation" FOT. WIKIPEDIA


Sztab 1. Frontu Białoruskiego. Pierwszy z lewej: marszałek Konstanty Rokossowski

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 196ee5bd01



Piechota sowiecka w natarciu FOT. DOMENA PUBLICZNA



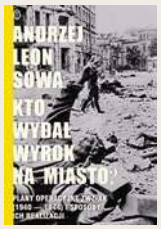
Sowieccy żołnierze w zdobytym Połocku FOT. WIKIPEDIA

Rozpoczęta 23 czerwca operacja „Bagration" od początku okazała się olbrzymim sukcesem Sowietów. 1. Front Białoruski jeszcze w połowie lipca szedł przez wschodnią Polskę jak burza, ale właśnie 21 lipca Konstanty Rokossowski otrzymał od Stalina zdumiewająco brzmiący rozkaz: „Nie później niż 26–27 lipca 1944 r. zająć miasto Lublin, do czego użyć w pierwszej kolejności 2. Armii Pancernej Bogdanowa i 7. Gwardyjskiego Korpusu Konstantinowa. Wymagają tego sytuacja polityczna i interesy niepodległej demokratycznej Polski".

Szykujące się do rozpoczęcia powstania dowództwo AK nie rozumiało, że Stalin oderwie część sił prących na zachód, by skierować je na południe w stronę Lublina. Siłą rzeczy musiało osłabić to impet uderzenia Armii Czerwonej na Niemców zgrupowanych wokół stolicy Polski. Równolegle jednak Stalin kazał wyszukać weteranów bitwy o Stalingrad, którzy mieli doświadczenie w walce o duże miasto. Mieli oni zostać wykorzystani do zdobywania Warszawy.

„Stalin zdawał sobie sprawę z wojskowego bezsensu tego rozkazu i prawdopodobnie dlatego uznał za stosowne przekazanie Rokossowskiemu wyjaśnienia, że zmiana zadań frontu ma charakter polityczny – pisze prof. Sowa w swojej książce »Kto wydał wyrok na miasto. Plany operacyjne ZWZ-AK (1940–1944) i sposoby ich realizacji«. – Jeżeli weźmiemy pod uwagę tę argumentację, nie możemy mieć wątpliwości, że chodziło o osadzenie tam tworzonego właśnie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Jest też oczywiste, że było to równoznaczne z odstąpieniem przez Stalina od planu szybkiego zdobywania Warszawy, bo zmiana istoty całej operacji po to tylko, aby kilka dni wcześniej, niż to było planowane (różnica dwóch–trzech dni), opanować Lublin przed możliwym zajęciem Warszawy, nie miałaby żadnego sensu".

Wielu polskich historyków podaje w wątpliwość racjonalność opierania przez dowództwo AK decyzji o wybuchu powstania na szybkim wkroczeniu Armii Czerwonej. Stawiania wszystkiego na tę jedną kartę – skuteczności sowieckich jednostek pancernych. Jak pisze w swojej książce prof. Sowa: „W wyniku kontynuowania dotychczasowych działań mogły one bowiem zdobyć Warszawę-Pragę, ale droga do opanowania całego miasta była ciągle bardzo daleka. Trudno więc zrozumieć, na jakiej podstawie gen. Komorowski i jego najbliżsi współpracownicy zakładali, że Sowieci zajmą Warszawę w ciągu kilku najbliższych dni. Jak mówił po latach gen. »Bór«: »Nikt z nas nie wierzył, aby Rosjanie stanęli, bo było w ich interesie zajęcie Warszawy«. Szkoda jednak, że dowódca AK zapomniał, iż o tym, co jest w interesie sowieckim, decydowano w Moskwie, a nie w jego sztabie. […] Jeszcze 19 lipca dla Stalina problem siedziby tworzonego z jego polecenia »rządu polskiego« był bez znaczenia, natomiast 21 lipca stało się to już sprawą priorytetową. Powtórzmy raz jeszcze: skoro tego dnia nakazano zdobywać Lublin, by osadzić tam PKWN, to znaczy, że nie zamierzano szybko zajmować Warszawy, gdyż jej opanowanie wymuszałoby na władzach sowieckich umiejscowienie go właśnie tam, jako polskiego organu rządowego na zajętych przez Armię Czerwoną ziemiach polskich, co z jakichś powodów było dla Stalina niewygodne".



ANDRZEJ LEON SOWA
„KTO WYDAŁ WYROK NA MIASTO"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Profesor Sowa podkreśla, że zanim dokładnie prześwietlił ten temat, wcześniej wręcz „gloryfikował" decyzję o wybuchu powstania. Jego zdaniem po skonfrontowaniu się z faktami na temat kulisów decyzji o rozpoczęciu zrywu nie sposób popierać tych dowódców AK, którzy parli do wznięcenia powstania.

„Moment uderzenia na Niemców został określony nie na podstawie przesłanek wojskowych, ale wyłącznie politycznych, co samo przez się skazywało powstanie na klęskę i w istocie było krokiem samobójczym, a nie racjonalnie zaplanowaną operacją wojskową – twierdzi prof. Sowa. – Zaczynając akcję w takim czasie, by zdobyć miasto na 24 lub 12 godzin przed możliwym wkroczeniem wojsk sowieckich, skazywano się na uzależnienie od czynników zewnętrznych, na które Komenda Główna nie miała żadnego wpływu. Nie można bowiem było przewidzieć, jak w ciągu doby rozwinie się sytuacja na froncie wschodnim, czy nie wyczerpią się możliwości ofensywne sił sowieckich i jak zachowa się Stalin, kiedy dowie się o wybuchu powstania w Warszawie".

Właśnie pytanie o wyczerpanie możliwości ofensywnych Armii Czerwonych

eprasa.pl 196ee5bd01



na przedpolach Warszawy (niezależnie od braku woli politycznej wsparcia powstańców) zajmuje wiele miejsca na kartach „Kto wydał wyrok na miasto?".

„Powstanie w Warszawie wywołane zostało ze względów politycznych, w całkowitym oderwaniu od rozwoju sytuacji międzynarodowej i położenia wojsk na froncie niemiecko-sowieckim. Zamierzano w ten sposób postawić przed faktem dokonanym sojuszników zachodnich i ZSRS. Wyobrażano sobie, że polskie władze w Londynie potrafią tak oddziałać na Churchilla i Roosevelta, że ci wymuszą na Stalinie bezzwłoczne udzielenie wojskowej pomocy powstańcom w polskiej stolicy – pisze prof. Sowa. – Uznano za pewnik, że celem wojskowych działań sowieckich jest zdobycie Warszawy, i w zasadzie nie rozpatrywano możliwości zaistnienia sytuacji, w której Sowieci mogliby mieć inne plany lub zdecydować się na pozostawienie ludności walczącej w stolicy Polski samej sobie".

Innym ważnym elementem tej historii jest niewątpliwie dyrektywa, którą 28 lipca 1944 r. Stalin wydał Konstantemu Rokossowskiemu. Bywa ona przedstawiana jako dowód na poparcie słuszności przewidywań dowództwa AK, któremu wydawało się, że szybkie wejście do Warszawy było wówczas głównym celem Armii Czerwonej.

„W rzeczywistości zmieniała ona w sposób zasadniczy wcześniejszą koncepcję marszałka Rokossowskiego, który zakładał, że Warszawę-Pragę opanuje działająca z zaskoczenia 2. Armia Pancerna – czytamy w książce »Kto wydał wyrok na miasto?«. – Teraz zadanie to miały wykonywać ogólnowojskowe armie prawego skrzydła 1. Frontu Ukraińskiego, które, złożone głównie z dywizji piechoty, bardzo wolno spychały z kolejnych rubieży w kierunku stolicy Polski broniące się wojska niemieckie. Tak więc zdobycie przez wojska sowieckie Warszawy stawało się celem coraz odleglejszym. Pogłębiały się ponadto braki w zaopatrzeniu. Ponieważ linie kolejowe zostały zniszczone przez Niemców podczas odwrotu, to choć starano się je natychmiast odbudowywać, trzeba było głównie wykorzystywać transport samochodowy, co regulował specjalny rozkaz wydany 30 lipca przez marszałka Żukowa".

Stalin zrezygnował z szybkiego wzięcia Warszawy ok. 21 lipca, zanim dowództwo AK podjęło decyzję o wybuchu powstania

Jednak ta chwilowa „zadyszka" Armii Czerwonej, spowodowana oporem Niemców pod Warszawą, nie tłumaczy w pełni zahamowania sowieckiej ofensywy w kierunku stolicy Polski. Jak podkreśla bowiem w wielu tekstach prof. Sowa, Stalin najpewniej zrezygnował z szybkiego wzięcia Warszawy już ok. 21 lipca, zanim dowództwo AK podjęło decyzję o wybuchu powstania.

„Powstrzymywał przecież nawet Żukowa, który chciał, żeby wojska pancerne, mające zdobywać Lwów, od razu poszły w stronę Sandomierza – mówił prof. Sowa w jednym z wywiadów. – Wiadomo, jak wyglądały pierwsze plany ofensywy mającej zniszczyć siły niemieckie na przedpolu Warszawy. Stalin zrezygnował z nich. Czy wykonywałby jakieś szybkie posunięcia pomiędzy sierpniem a październikiem 1944 r.? To gdybanie. Tak samo jak to, czy Warszawa bez powstania również zostałaby zburzona. Wiele osób tak twierdzi. A wcale tego nie wiemy. Natomiast możemy w sposób więcej niż uzasadniony przyjąć, że bez powstania nie doszłoby do śmierci tysięcy ludzi".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 196ee5bd01



Pomnik Zygmunta Berlinga w Warszawie (zdemontowany w 2019 r.)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ADRIAN GRYCUK

eprasa.pl 196ee5bd01

Rozmowa / Ze Zbigniewem S. Siemaszką



rozmawiał Piotr Zychowicz

Operacja „Berling”

– W interesie Stalina leżała zagłada powstańców. Przeprawa berlingowców przez Wisłę miała przedłużyć agonię stolicy – mówił emigracyjny historyk

PIOTR ZYCHOWICZ: Według sowieckiej propagandy Stalin chciał pomóc powstańczej Warszawie. Ale jego oferta została odrzucona przez Komendę Główną AK. Człowiekiem, który rzekomo przekazał propozycję Moskwy, był Iwan Kołos. Czy taki ktoś w ogóle istniał?

ZBIGNIEW S. SIEMASZKO: Tak, Iwan Andriejewicz Kołos był oficerem sowieckim w randze kapitana, zrzuconym do Warszawy... w nocy z 20 na 21 września, a więc już pod sam koniec bitwy, na krótko przed kapitulacją powstania. Wylądował między Hożą a Marszałkowską. Skakał razem z telegrafistą Dimitrijem Steńką, który podczas lądowania nie miał szczęścia – uderzył w balustradę balkonu i bardzo poważnie się poharatał. Później dostał odłamkiem i pochowano go obok kamienicy Chmielna 34.

Kołosowi nic się nie stało?

Odniósł tylko lekkie obrażenia, skaleczył się w rękę. Natychmiast przejęła go komunistyczna Armia Ludowa, a następnie zaczął szukać kontaktu z Komendą Główną AK. Takich skoczków sowieckich było zresztą więcej. Inni skakali na Żoliborz, inni na Mokotów. Ale zdecydowanie to Kołos był z nich najważniejszy, miał najwyższą rangę. Sprawa jego skoku do dziś jest niejasna i otoczona tajemnicą.

Dlaczego?

Nie wiadomo bowiem, jaki właściwie był cel jego misji. Niejasne jest to, jakie miał pełnomocnictwa. Z jego własnych raportów wynika, że miał trzy zadania: dokonanie rozpoznania niemieckich sił i punktów dowodzenia w Warszawie, rozpoznanie „angielskiego ośrodka wywiadowczego” oraz zbadanie intencji i planów dowództwa AK. Była to więc misja wywiadowcza, a nie misja mająca na celu doprowadzenie do jakiegoś współdziałania między Armią Czerwoną a AK.

Czy Kołosowi udało się dotrzeć do Komendy Głównej AK?

Tak. Choć on sam twierdził, że spotkał się z samym gen. Borem-Komorowskim, to jest to wątpliwe. Spotkał się natomiast z gen. Antonim Chruścielem „Monterem”. Nie miał jednak żadnej propozycji, zadał tylko dziwaczne pytanie: Jak AK wyobraża sobie działania Sowietów na korzyść Warszawy? Otrzymał odpowiedź oczywistą: Armia Czerwona powinna natychmiast ruszyć do ataku i rozpocząć forsowanie Wisły. Taki też telegram Kołos miał nadać do stojącego po drugiej stronie rzeki marszałka Rokossowskiego. Nie było jednak żadnej odpowiedzi.



Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 196ee5bd01

A więc Polacy chcieli współdziałać z Sowietami i oczekiwali od nich wsparcia?

Oczywiście. Komenda Główna AK na pewno nie odrzuciłaby oferty pomocy ze strony Sowietów. Gdyby tylko padła jakakolwiek propozycja – na pewno by ją zaakceptowano. Poeta ujął to nastawienie w sposób następujący: „Przyjdź, czerwona zarazo, byś wybawiła nas od czarnej śmierci". Od czasu zabicia poprzedniego dowódcy AK gen. Stefana Grota-Roweckiego organizacja ta bardzo się zmieniła i przesunęła się w kierunku prosowieckim. Katyń nie stał tu na przeszkodzie, wielu Polaków wówczas niestety o Katyniu nie pamiętało. Wierzono, że Sowiety się zmieniły, że są teraz „sojusznikiem naszego sojusznika" i przyjadą nam na pomoc. To była wielka naiwność, za którą zapłaciliśmy straszliwą cenę.

Współdziałanie rozpoczęło się wraz z akcją „Burza"?

Dokładnie. Armia Krajowa podjęła wówczas daleko idącą współpracę wojskową z Armią Czerwoną, co – jak wiemy – skończyło się dla niej fatalnie. Argument, że to Polacy nie chcieli sowieckiej pomocy, jest więc absurdalny. „Bór" zwracał się przecież do Rokossowskiego przez radio o wsparcie.

A jak zinterpretować forsowanie Wisły przez oddziały Berlinga w połowie września? Czy on wówczas zbuntował się przeciw Sowietom?

Ta teza jest komiczna. To niemożliwe, żeby jakikolwiek dowódca przeprowadził trwającą wiele dni akcję wbrew swojemu naczelnemu dowództwu. To nie do pomyślenia w żadnej armii, a co dopiero w armii sowieckiej. Opowieści o zbuntowanym Berlingu to dziecinne gadanie. Forsowanie Wisły przez jego wojska rozpoczęło się na rozkaz sowieckiego dowództwa i skończyło się na rozkaz sowieckiego dowództwa. Berling musiał dwa razy dziennie składać meldunki w sprawie postępów. Zastanawiano się nawet, czy by mu nie przydzielić sowieckiego pułku, który szturmował Wołgę pod Stalingradem. Ludzie Berlinga nie mieli bowiem zielonego pojęcia, jak wykonać taką operację. Nie byli do niej przeszkoleni. Ostatecznie jednak machnięto na to ręką i berlingowcy musieli iść sami. Wylądowali na Czerniakowie i Żoliborzu i Niemcy szybko sobie z nimi poradzili.



Zygmunt Berling w rozmowie z filmowcem Władysławem Forbertem FOT. WIKIPEDIA

W KG AK zwyciężyło zdanie oficerów wierzących w to, że w 1944 r. możliwe jest osiągnięcie kompromisu z Sowietami...

Po co to zrobiono?

Sowieci chcieli stworzyć pozory pomocy. Między innymi ze względów międzynarodowych. Pomoc ta nie miała jednak na celu pobicia Niemców czy uratowania powstańców. W przypadku powodzenia chciano ewentualnie stworzyć przyczółki na lewej stronie Wisły, na które mogłyby spływać zdziesiątkowane i zdemoralizowane resztki pobitej Armii Krajowej. Szeregowców wcielono by do Berlinga, a „Bór" pewnie powędrowałby na Łubiankę. To był element chytrej sowieckiej gry wobec Powstania Warszawskiego.

Na czym polegała ta gra?

Zacznijmy od początku, czyli od zamachu na Hitlera. 20 lipca 1944 r. niemieccy wojskowi próbowali go wysadzić w powietrze w Wilczym Szańcu. Wydarzenie to wywołało olbrzymie wrażenie zarówno w Komendzie Głównej AK, jak i w sztabie Armii Czerwonej. AK doszła do wniosku, że Niemcy się załamują, i dała rozkaz pogotowia do powstania powszechnego. Natomiast Sowieci w ostatnich dniach lipca przypuścili atak na Niemców, próbując obejść Warszawę od północy. Oni również myśleli, że to już koniec Niemiec, i użyli do ataku zbyt małych sił. W efekcie dostali w skórę. Rokossowski nie dał jednak za wygraną. Przedstawił Stalinowi plan drugiego ataku na Warszawę, który miał się odbyć pod koniec sierpnia. Tym razem wszystko miało być już należycie przygotowane. W międzyczasie wybuchło jednak powstanie i ten plan został odrzucony przez naczelne dowództwo w Moskwie.

Dlaczego?

W interesie Sowietów leżało to, aby powstanie wybuchło i trwało jak najdłużej. Wiadomo było bowiem, że ktoś polskich patriotów musi wykończyć. Jeżeli Polska ma zostać włączona do sowieckiej strefy wpływów, to ci ludzie muszą zniknąć. Z punktu widzenia Moskwy było bardzo pożądane, żeby to zrobili Niemcy, a nie oni sami. Jak Niemcy wykończą polskich patriotów – rozumowali bolszewicy – będzie mniej roboty dla nas samych. Na te sprawy należy spojrzeć z punktu widzenia Moskwy. Z punktu widzenia Warszawy czy Londynu wyglądały skomplikowanie, ale z punktu widzenia Moskwy były niezwykle proste. Można powiedzieć, że Hitler odwalił za Stalina brudną robotę.

Kolejna z wielu jego głupich decyzji. Gdybym ja był na miejscu niemieckiego dowództwa, nie

eprasa.pl 196ee5bd01

tłumiłbym powstania. Wycofałbym się z Warszawy, co musiałoby doprowadzić do konfrontacji AK z Sowietami.

Niemców na taki manewr nie było stać. Oni nie byli zdolni do elastycznego myślenia. Byli bardzo butni, działali prymitywnie. Problemy rozwiązywali siłą. Ich całkowitym przeciwieństwem byli bolszewicy. Co by powiedzieć o Stalinie, był to niezwykle inteligentny człowiek, który doskonale wiedział, co robi.

Stosunek Sowietów do powstania jednak chyba się zmieniał.

O tak, ale chodziło tylko o taktykę. W początkowym okresie, gdy Stalin spotykał się z premierem Mikołajczykiem, mówił mu, że żadnego powstania w Warszawie nie ma. Że to wymysł. W drugim okresie powstanie było przez Moskwę całkowite ignorowane. Uznano je za polski wyskok, głupotę. A potem nagle nastąpił zwrot o 180 stopni. 7–8 września dowódcy AK doszli do wniosku, że cele powstania są już nie do osiągnięcia. Przypominam, że chodziło o zdobycie Warszawy własnymi rękoma i postawienie Sowietów przed faktem dokonanym. Na początku września stało się jasne, że tej kombinacji już się wówczas nie udało zrealizować.

Zdecydowano więc, że należy kapitulować.

Tak. Do podjęcia negocjacji wykorzystano rozmowy na temat ewakuacji ludności cywilnej z miasta, prowadziła je m.in. hrabina Maria Tarnowska. O kapitulacji z Niemcami rozmawiał zaś Kazimierz Iranek-97-Osmecki, szef wywiadu AK. „Bór" postawił warunki, które Niemcy w dużej mierze zaakceptowali. Kapitulacja miała nastąpić 10 września. „Bór" jej jednak nie podpisał…

Dlaczego?

Bo tej nocy po raz pierwszy odezwała się artyleria sowiecka, a na niebie pojawiły się sowieckie samoloty. Sowiety wytworzyły wrażenie, że ruszają do przodu. Wniosek mógł być tylko jeden: chodziło o to, aby powstanie przedłużyć. Stalin dowiedział się o możliwości kapitulacji i postanowił sprowokować Polaków do dalszego oporu, dając im nadzieję. Skutki tego były katastrofalne. Największe straty Warszawa poniosła bowiem po 10 września.



ZBIGNIEW S. SIEMASZKO „DZIEWIĘĆ SPOJRZEŃ NA POWSTANIE WARSZAWSKIE"
LTW

A co się stało z Iwanem Kołosem?

1 października przy pomocy AL przedostał się kanałami do Wisły i przepłynął rzekę. Zameldował się osobiście Rokossowskiemu, który nadał mu za tę misję Order Czerwonego Sztandaru. PRL przyznała mu zaś później dwukrotny Krzyż Walecznych i dwa inne medale. Kołos udzielał po latach propagandowych wywiadów, w których twierdził, że winę za to, iż nie doszło do współdziałania polsko-sowieckiego, ponosi „Bór".

Sowieci – wbrew nadziejom „Bora" i innych oficerów AK – nie przyszli na ratunek powstaniu. Dla człowieka myślącego w sposób racjonalny to, że tak się stanie, było oczywiste. Świadczą o tym choćby ostrzeżenia przytomnych oficerów Komendy Głównej AK – pułkowników Janusza Bokszczanina i Ludwika Muzyczki. Dlaczego „Bór" ich nie posłuchał?

Bo w Komendzie Głównej AK zwyciężyło zdanie oficerów całkowicie oderwanych od rzeczywistości. Oficerów wierzących w to, że w 1944 r. możliwe jest osiągnięcie kompromisu z Sowietami. Wystarczy tylko „udowodnić", że AK ma „szczere chęci": chce walczyć z Niemcami i lojalnie współpracować z Armią Czerwoną. Ci ludzie nie rozumieli, że ze Stalinem można rozmawiać tylko z pozycji siły. A tej siły AK niestety nie miała. Dlatego właśnie akcja „Burza" i jej ostatni tragiczny akord – Powstanie Warszawskie – musiały zakończyć się katastrofą. Celem Stalina była sowietyzacja Polski, a nie kompromis z polskimi środowiskami niepodległościowymi. Po co mu „Bór", skoro miał Osóbkę-Morawskiego i Bieruta? Wiara w to, że oddziały partyzanckie AK, podejmując współdziałanie z Sowietami, „przekonają" Stalina do przyznania polskiej niepodległości, było skrajną naiwnością. Ludziom tym kazano się ujawnić przed wkraczającymi bolszewikami, co skończyło się dla nich tragicznie. Zostali rozstrzelani lub aresztowani przez NKWD. Innych wcielono do armii Berlinga. Jednym z oficerów, który podjął decyzję o „Burzy" i powstaniu, był gen. Tadeusz Pełczyński, zastępca „Bora". Pamiętam rozmowę, którą odbyłem z nim na początku lat 60. Tematem była akcja „Burza" w Wilnie.

Jak przebiegała ta rozmowa?

– Czy KG AK zdawała sobie sprawę, że nakazuje oddziałom na Kresach załatwienie spraw politycznych, których nie zdołały rozwiązać ani rząd w Londynie, ani reprezentacja polityczna kraju, ani też KG AK?

– Tak, zdawała sobie sprawę – odpowiedział generał.

– Czy KG AK zdawała sobie sprawę, że najbardziej patriotycznej młodzieży kresowej kazała walczyć i ginąć przy zdobywaniu polskiego terytorium dla Sowietów?

– Tak, zdawała sobie sprawę.

– Czy rzeczywiście zasadniczym celem „Burzy" było uzyskanie uznania polskiego podziemia przez Sowiety za reprezentację narodu?

– Tak było w rzeczywistości.

– Czy KG AK wierzyła, że to jest możliwe?

– Niektórzy w KG wierzyli.

– A czy pan generał osobiście wierzył?

– Nie, nie wierzyłem.

– Wobec tego, jak to się stało, że pan generał popierał akcję „Burza"?

Tu skończyła się spokojna, rzeczowa rozmowa. Generał poczerwieniał, zaczął uderzać pięścią w stół i mówić podniesionym głosem:

– Naród polski nie mógł pozostać bezczynny, kiedy jedna okupacja zmieniała się na drugą!

Jaki z tego morał?

Że kluczowe dla Polski decyzje w 1944 r. wydawali ludzie kierujący się nie chłodną, rzeczową analizą sytuacji, ale emocjami. To się musiało skończyć katastrofą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Zbigniew S. Siemaszko urodził się w 1923 r. na Wileńszczyźnie. W czasie pierwszej sowieckiej okupacji został wraz z rodziną wywieziony w głąb Związku Sowieckiego. W marcu 1942 r. wstąpił do armii Andersa. Po wojnie zamieszkał w Wielkiej Brytanii. Zmarł w Londynie w roku 2021. Wywiad został przeprowadzony 10 lat temu.

eprasa.pl 196ee5bd01



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1944 r. / Fatalne iluzje Komendy Głównej AK

O pół Europy za daleko

eprasa.pl 196ee5bd01



Piotr Zychowicz

Anglosasi nie mogli uratować Warszawy. Churchill nie ponosi winy za klęskę powstania

Dlaczego Powstanie Warszawskie zakończyło się klęską – zagładą AK, hekatombą ludności cywilnej i zburzeniem stolicy? Odpowiedź na to pytanie jest historykom znana od lat.

Powstanie od samego początku nie miało najmniejszych szans powodzenia, ponieważ AK była znacznie słabsza niż Niemcy. Kilka tysięcy kiepsko uzbrojonych nastolatków – których dowództwo AK rzuciło do walki 1 sierpnia 1944 r. – nie mogło osiągnąć postawionych im celów.

Powstanie z perspektywy militarnej było więc przedsięwzięciem całkowicie niewykonalnym. To samo dotyczy jego wymiaru politycznego. Dotychczasowe doświadczenia z akcji „Burza" jasno wskazywały bowiem na to, że Stalin nie życzy sobie kompromisu z Polakami.

Wniosek jest więc niewesoły, ale niepodważalny. Grupa oficerów z Komendy Głównej AK zignorowała twarde realia i podjęła błędną decyzję. Był to błąd straszliwy w skutkach. Jego konsekwencją była największa tragedia w dziejach Polski.

Wniosek ten jest trudny do przyjęcia dla części opinii publicznej. Trudno bowiem pogodzić się z faktem, że w 1944 r. na czele wojskowych struktur Polskiego Państwa Podziemnego znaleźli się oficerowie skrajnie niekompetentni i nieodpowiedzialni.

W efekcie w przestrzeni publicznej pojawiają się teorie, które starają się przerzucić odpowiedzialność za klęskę powstania na kogoś innego. Z reguły okrasza się je – pełnym oburzenia i skargi – okrzykiem: „Któż mógł to przewidzieć!".

W zależności od wersji tej opowieści winę za klęskę Powstania Warszawskiego ponoszą:

- Hitler, bo zdecydował się powstanie stłumić („Któż mógł to przewidzieć!");
- Stalin, bo nie pospieszył powstaniu na ratunek („Któż mógł to przewidzieć!");
- alianci zachodni, bo nie pomogli („Któż mógł to przewidzieć!").

Podobne próby zdejmowania odpowiedzialności za katastrofę powstańczą z barków oficerów Komendy Głównej AK są oczywiście skazane na niepowodzenie.

Każdy człowiek potrafiący myśleć w sposób logiczny mógł bez trudu przewidzieć, że Hitler utopi powstanie we krwi, a Stalin nie udzieli mu pomocy. I nie jest to wcale przypuszczenie. Historycy dysponują olbrzymim materiałem źródłowym, który to potwierdza.

W 1944 r. było wielu odpowiedzialnych polskich patriotów, którzy ostrzegali przed straszliwymi konsekwencjami powstania. Wystarczy wspomnieć dwóch oficerów KG AK – Janusza Bokszczanina i Ludwika Muzyczkę. Niestety, rozsądny głos tych ludzi nie został wzięty pod uwagę.

Podobnie rzecz się ma z punktem trzecim – czyli przekonaniem, że za klęskę powstania winę ponoszą alianci. Zgodnie z tą wersją w sierpniu 1944 r. doszło do kolejnej zdrady perfidnych Anglosasów, którzy popsuli genialnym Polakom ich świetnie obmyślony plan.

Tyrania dystansu

Aby przekonać się o tym, jak nietrafione są podobne poglądy, wystarczy sięgnąć po monografię „Polska w brytyjskiej strategii wspierania ruchu oporu" Jacka Tebinki i Anny Zapalec. Jest to książka znakomita. Obiektywna i oparta na szerokiej bazie źródłowej.

Czytelnik znajdzie w niej potwierdzenie tego, co realiści powtarzają do lat. Otóż Amerykanie i Brytyjczycy nie byli w stanie przyjść powstaniu ze skuteczną pomocą, która odwróciłaby losy tej tragicznej bitwy. Dlaczego? Ponieważ byli za daleko. Nie mieli – używając współczesnego języka geopolityki – projekcji siły w naszej części świata.

Anglosasi zresztą lojalnie uprzedzali o tym Polaków. Już w 1941 r. minister



Józef Stalin i Winston Churchill w Jałcie. Z lewej: Władimir Pawłow, tłumacz Stalina

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 196ee5bd01



wojny ekonomicznej Wielkiej Brytanii Hugh Dalton wyraźnie poinformował stronę polską, że uważa wystąpienie zbrojne przeciwko Niemcom za możliwe tylko w momencie, gdy wojska anglosaskie znajdą się blisko obszaru powstańczego.

Wyłącznie w takim przypadku wojska sojusznicze mogłyby przyjść Armii Krajowej z szybką i skuteczną pomocą. Ostrzeżenie to Anglosasi przekazywali stronie polskiej wielokrotnie i nie mogło być w tej sprawie żadnych wątpliwości.

Tymczasem pod koniec lipca 1944 r. – gdy oficerowie Komendy Głównej podejmowali swoją fatalną decyzję – armie aliantów zachodnich toczyły zacięte walki z Niemcami w północnej Francji. Od Warszawy oddzielało je terytorium państw Beneluksu, cała III Rzesza i kawał okupowanej Polski. W linii prostej – ok. 1,5 tys. km.

Mniej więcej taka sama odległość dzieliła stolicę Polski od brytyjskich lotnisk w południowej Anglii. A jeszcze dalej było do alianckiej bazy lotniczej w Brindisi w południowych Włoszech.

Przy ówczesnych środkach technicznych i sytuacji panującej na frontach o stworzeniu alianckiego mostu powietrznego do Warszawy nie można więc było nawet marzyć. Wymagałoby to bowiem użycia takiej liczby samolotów i spalenia takiej ilości paliwa, że sparaliżowałoby to działania aliantów na froncie zachodnim.

Nie mówiąc już o kosztach ludzkich i sprzętowych. Gdyby Amerykanie i Brytyjczycy zdecydowali się na wysłanie tak olbrzymiej liczby samolotów przez całą Europę, straty byłyby zatrważające. Nocne myśliwce Luftwaffe i niemiecka obrona przeciwlotnicza były nadal bardzo groźne. Olbrzymia część alianckich samolotów wysłanych na taką samobójczą misję nawet nie zbliżyłaby się do celu.

Było więc szczytem naiwności sądzić, że wielkie mocarstwa naraziłyby na szwank własny wysiłek wojenny, aby spieszyć na ratunek AK. Konspiracyjnej organizacji działającej w peryferyjnym – z punktu widzenia Anglosasów – krańcu Europy. Na terenie, dodajmy, które alianci uznawali za strefę działań operacyjnych Armii Czerwonej.

Tebinka i Zapalec słusznie wskazują, że powstanie w Polsce nie mieściło się w strategicznych planach sojuszników zachodnich. Od Armii Krajowej oczekiwali oni wzmożonej działalności dywersyjnej i sabotażowej. A najważniejsza – szczególnie w kontekście pocisków V-1 i V-2 – była polska działalność wywiadowcza. I tylko taką aktywność gotowi byli wspierać.

Nie chcieli natomiast odciągać swoich sił od zadań priorytetowych. Bombowce i samoloty transportowe były im potrzebne do własnych, znacznie ważniejszych celów. Oczywiście na czele z walką na froncie zachodnim i na Bałkanach.

Zmiana planów

Polacy niestety nie przyjmowali – lub nie chcieli przyjąć – do wiadomości faktów. Świadczy o tym spotkanie ambasadora Edwarda Raczyńskiego z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych Anthonym Edenem, które miało miejsce w Londynie 27 lipca 1944 r.



JACEK TEBINKA, ANNA ZAPALEC
„POLSKA W BRYTYJSKIEJ STRATEGII WSPIERANIA RUCHU OPORU"
NERITON

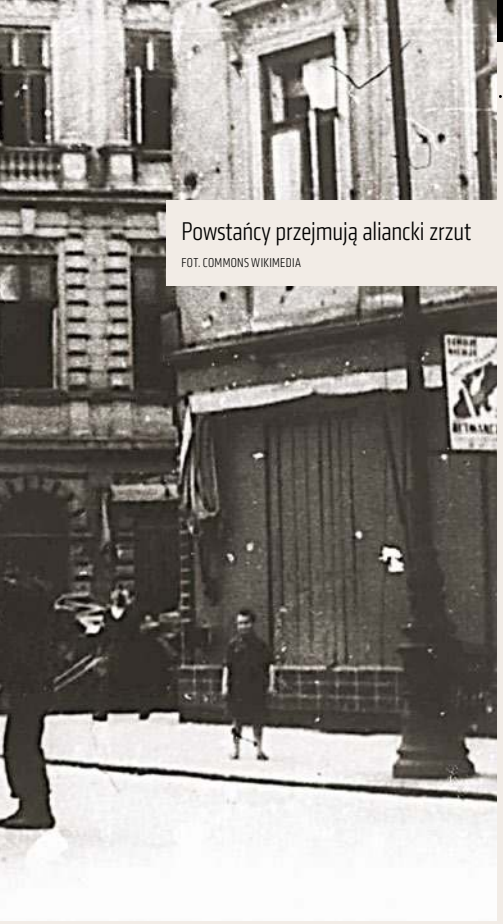
Polski dyplomata wprawił Edena w całkowite zdumienie, informując go, że Polacy planują wywołać powstanie w Warszawie. Było to dla Brytyjczyków całkowite zaskoczenie, ponieważ wcześniej Warszawa – w trosce o bezpieczeństwo mieszkańców i znajdujące się na jej terenie zabytki – została wyłączona z planu akcji „Burza".

Nagle jednak dowódcy AK zmienili zdanie i za pośrednictwem Raczyńskiego złożyli Brytyjczykom całkowicie fantastyczne i oderwane od rzeczywistości postulaty. Zażądali m.in.:

- przesłania do Warszawy Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego (która wcześniej została przez stronę polską oddana do dyspozycji aliantów);
- wysłania eskadr myśliwców, które miałyby lądować i startować na zdobytych przez powstańców lotniskach (jak wiadomo, żadnych lotnisk powstańcy nie zdobyli);
- bombardowania przez RAF niemieckich pozycji pod Warszawą (za daleko).

„Eden nie dał od razu wiążącej odpowiedzi – piszą Tebinka i Zapalec – ale postulaty militarne wydały mu się na tyle nierealne, że wątpił w ich spełnienie ze względów praktycznych". Zdanie to po-

eprasa.pl 196ee5bd01



Powstańcy przejmują aliancki zrzut

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

dzielili brytyjscy sztabowcy i dzień później, 28 lipca, strona polska otrzymała odpowiedź odmowną.

Alianci oświadczyli, że oczekiwanej pomocy udzielić nie są w stanie. Tym samym nierealny plan Powstania Warszawskiego stał się jeszcze bardziej nierealny. Realia były jednak kwestią, której w trakcie podejmowania decyzji o rozpoczęciu walk nie brano pod uwagę. 1 sierpnia 1944 r. o godz. 17 na rozkaz Komendy Głównej AK polskie oddziały zerwały się do boju.

Tak jak można było się spodziewać, powstańcy już w pierwszych kilku godzinach walk zostali ciężko pobici i zmasakrowani przez przeważające siły niemieckie. Rozpoczęła się agonia milionowego miasta. Niemcy przystąpili do metodycznej pacyfikacji Warszawy, burząc budynki i bezwzględnie mordując ludność cywilną.

W ten sposób Komenda Główna AK postawiła Brytyjczyków i Amerykanów przed faktem dokonanym. I z pozycji skrwawionej, cierpiącej ofiary prosiła o ratunek, apelując do „sumienia" aliantów. Było to bardzo wstrząsające i rozdzierające, ale nadal nie mogło zmienić realiów. Prawideł fizyki, geografii i polityki.

Powtórzmy więc jeszcze raz. Po pierwsze, Anglosasi nie życzyli sobie powstania w Warszawie. Po drugie, Anglosasi nie obiecywali żadnej pomocy powstaniu w Warszawie. Po trzecie, mieli bardzo ograniczone możliwości techniczne. Po czwarte, Polacy nie uzgodnili z nimi swoich planów i poinformowali o nich w ostatniej chwili.

Mimo to Winston Churchill zdecydował się na dostarczanie pomocy powstańcom przy pomocy zrzutów lotniczych. Samoloty z zasobnikami startowały z Włoch. W lotach brali zaś udział piloci polscy, lecz także brytyjscy i południowoafrykańscy.

Niestety, efekt tych misji potwierdził trzeźwe oceny anglosaskich sztabowców. Były to de facto loty samobójcze. Olbrzymia część samolotów była strącana po drodze i dzielni lotnicy ginęli na darmo. Dowódcy alianccy byli wstrząśnięci skalą strat. Kilkuset poległych lotników powiększyło tylko tragiczny bilans ofiar powstania. A skuteczność zrzutów była niewielka.

Techniczna strona operacji nastręczała kolosalne problemy. Warszawa płonęła, ulice były zadymione. Całe kwartały miasta zamieniły się w wypalone gruzowiska. Sytuacja w mieście była dynamiczna – poszczególne części Warszawy przechodziły z rąk do rąk.

Lotnicy musieli tymczasem zrzucać zasobniki z dużej wysokości. Nocą, często w ogniu niemieckiej broni przeciwlotniczej. O precyzyjnym zrzucie w takich warunkach nie mogło być oczywiście mowy. Efekt był nietrudny do przewidzenia. Większość broni spadała na tereny opanowane przez Niemców i wzmacniała nieprzyjaciela.

„Od 16/17 nie było zrzutów ani na miasto, ani pod miastem – pisał 20 sierpnia do Londynu gen. Tadeusz Bór-Komorowski. – Nawet nie motywujecie dlaczego. Podziwiam waszą obojętność i angielską flegmę".

Jest to jedna z depesz, która nie wystawia najlepszego świadectwa o kwalifikacjach wojskowych dowódcy KG Armii Krajowej. Niestety, oficer ten zupełnie nie orientował się w realiach nowoczesnej wojny powietrznej. I nie zdawał sobie sprawy, że żądał niemożliwego.

W rękach Stalina

Autorzy książki słusznie zwracają uwagę, że los powstania znajdował się w rękach Stalina. Armia Czerwona znajdowała się bowiem blisko, a alianci zachodni daleko. Tylko Sowieci mogli więc skutecznie dostarczać powstańcom broń lub przyjść im z realną pomocą.

Problem w tym, że Stalin oczywiście nie miał na to najmniejszej ochoty. Zagłada Warszawy i niepodległościowej formacji, którą była Armia Krajowa, leżała bowiem w jego interesie. Hitler, pisząc kolokwialnie, wykonywał za niego brudną robotę.

Właśnie dlatego Józef Stalin niemal do końca trwania walk opierał się presji Churchilla w sprawie udzielenia zgody na lądowanie na swoim terytorium amerykańskich samolotów z pomocą dla powstania. Lot taki odbył się dopiero 18 września.

„Klęska Powstania Warszawskiego – piszą Tebinka i Zapalec – i tym samym bardzo poważne osłabienie AK oraz jej politycznego zaplecza ułatwiało Stalinowi budowę, na razie na części terytorium Polski, zależnego od ZSRS systemu komunistycznej władzy na czele z PKWN. Towarzyszył temu społeczny szok znacznej części Polaków pod wpływem przegranej oraz poczucie porzucenia przez mocarstwa anglosaskie".

Autorzy książki mają bez wątpienia rację. Zdumiewająca wiara części polskich elit politycznych w możliwość współdziałania i kompromisu z Sowietami stanowi bez wątpienia jedną z największych zagadek najnowszych historii Polski.

Jest doprawdy zdumiewające, że ktoś mógł hołdować takim mrzonkom po 17 września, deportacjach na Syberię, zbrodni katyńskiej, akcji „Burza" w Wilnie i we Lwowie…

W tym kontekście warto przytoczyć jeszcze jedną depeszę gen. Bora-Komorowskiego. Została ona wysłana 2 sierpnia, gdy dowódca AK zorientował się, że jego plan zakończył się całkowitym fiaskiem.

„Wobec rozpoczęcia walk o opanowanie Warszawy – pisał Bór-Komorowski do Mikołajczyka i Sosnkowskiego – prosimy o spowodowanie pomocy sowieckiej przez natychmiastowe uderzenie z zewnątrz".

Mój Boże… Trudno uwierzyć, że los Polski znalazł się w rękach takich ludzi. Zapłaciliśmy za to morzem krwi.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA/WITOLD IKLESK/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 196ee5bd01

Wywiad / Ze Zbigniewem Rylskim, powstańcem warszawskim, kawalerem Orderu Virtuti Militari



rozmawia Piotr Włoczyk

Z pałacyku Michla na Czerniaków

– Przepłynięcie Wisły nie jest takie proste, zwłaszcza jak człowiek jest wyczerpany i ranny. W pewnym momencie powiedziałem sobie pod nosem: „Panie Boże, ja już nie dam rady" i powoli zacząłem opadać w kierunku dna – mówi żołnierz batalionu „Parasol"



PIOTR WŁOCZYK: 8 sierpnia 1944 r. Janusz Brochwicz-Lewiński ps. Gryf został ciężko raniony w twarz. To pan uratował mu życie.

ZBIGNIEW RYLSKI: „Gryf" został ciężko ranny obok kaplicy Halpertów na terenie cmentarza ewangelickiego, gdzie prowadziliśmy bardzo ciężkie walki. Stał obok mnie i nagle upadł. Całą twarz miał zalaną krwią, dostał postrzał prosto w szczękę. To był makabryczny widok. Resztę chłopaków jakby sparaliżowało. Krzyknąłem: „Co się patrzycie?". A Niemcy byli przecież tuż-tuż.

Zaciągnęliśmy go do sanitarki i pędem pognaliśmy do szpitala św. Jana Bożego przy Bonifraterskiej. W szpitalu mnóstwo rannych czekało na opatrzenie, a między nimi uwijało się tylko dwóch lekarzy. Jeden z nich spojrzał na rannego „Gryfa" i stwierdził najwyraźniej, że jemu już nic nie pomoże. Nie wytrzymałem i powiedziałem temu lekarzowi: „Panie doktorze, ja nie ręczę, że pana nie zastrzelę, jeżeli w tym momencie nie opatrzy pan mojego kolegi".

Znaliście się bardzo krótko.

Ledwie tydzień, ale przez ten czas bardzo się zżyliśmy ze sobą. Musiałem zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby on przeżył. Bardzo krwawił i mogło się wydawać, że już po nim, ale jednak lekarz uległ mojej „sugestii" i zaczął go ratować. Kompletnie się wtedy w szpitalu rozsypałem, zacząłem płakać i przez jakieś dwie godziny nie mogłem się pozbierać. Napięcie długo we mnie zbierało i w końcu coś we mnie pękło. Najważniejsze jednak, że lekarz zaopiekował się „Gryfem". Mój dowódca wyszedł z tego, choć ten paskudny postrzał oznaczał dla niego koniec walki w powstaniu.

Dużo przypadku było w tym wszystkim, bo przecież nie zaczynał pan powstania w „Parasolu". Jak pan dołączył do tego legendarnego batalionu?

Powstanie zaczynałem w III Obwodzie AK działającym na Woli. Pierwszego dnia mieliśmy odbić z rąk Niemców szpital na Czystem. Ta akcja nie wyszła tak, jak ją zaplanowano, i mój oddział został rozproszony. Straciliśmy ze sobą kontakt. Wycofując się, wraz z kolegą trafiłem akurat na chłopaków z „Parasola". W ten sposób dołączyłem do I kompanii „Parasola", do drużyny dowodzonej przez sierżanta

eprasa.pl 196ee5bd01

podchorążego Janusza Brochwicz-Lewińskiego ps. Gryf.

Najsłynniejszą akcją, w której brał pan udział, było bez wątpienia zabezpieczanie ul. Wolskiej, co przeszło historii jako obrona pałacyku Michla.

Wszystko przez tekst napisany przez Ziutka, czyli Józefa Szczepańskiego. Piosenka „Pałacyk Michla" ugruntowała wśród ludzi przeświadczenie, że my broniliśmy tego budynku. A przecież zupełnie nie o to chodziło! To nie była obrona pałacyku Michla! My broniliśmy ul. Wolskiej, która była ważną arterią na kierunku wschód – zachód. Pałacyk Michla była naszą bazą i stamtąd wychodziliśmy do walki. Zresztą blokowanie Wolskiej było też zasługą grupy walczącej pod dowództwem Bronisława Jastrzębskiego ps. Damazy, która podlegała „Gryfowi". Nas było w pałacyku Michla 23, a Damazy miał pod sobą 43 żołnierzy. Ostatniego dnia obrony zdobyliśmy naprawdę dużo broni i amunicji. Szczególnie nas cieszyły pistolety automatyczne. W sumie w ciągu tych trzech ciężkich dni zginęło tam 34 Niemców, a tylu samo zostało rannych. W tym samym czasie zginęło sześciu naszych ludzi. Wiele zawdzięczaliśmy „Gryfowi", który choć młody wiekiem – raptem rocznik 1920, czyli trzy lata starszy ode mnie – był dojrzałym dowódcą. Wynikało to z tego, że miał już spore doświadczenie, które zdobył w partyzantce.

Jakie mieliście sposoby na czołgi?

Najlepiej byłoby wrzucić granat przez otwarty właz. Granat w gąsienice też byłby dobrym pomysłem. Z pałacyku Michla cztery razy wychodziliśmy walczyć z czołgami. Jako młody chłopak zaczytywałem się w Sienkiewiczu, więc takie wypady jawiły mi się jak „wycieczki" prowadzone przez bohaterów tamtych książek. Raz poszliśmy na czołgi we czterech. Dwóch zostało na ubezpieczeniu, a ja z „Gryfem" wykonaliśmy akcję. Nie mieliśmy daleko. To było raptem dwa domy dalej od pałacyku Michla, tylko że trzeba było iść naokoło – musieliśmy dojść aż do Górczewskiej, żeby przedostać się do skrzyżowania Działdowskiej i Wolskiej. Weszliśmy z „Gryfem" na trzecie piętro kamienicy, tzw. przedstrysze, i z okien zrzuciliśmy granaty Millsa, które dostaliśmy ze zrzutów poprzedniego dnia. Do tego poleciały po dwie butelki z benzyną. Później okazało się, że jeden z czołgów został na tyle uszkodzony, że Niemcy musieli go wycofać.



Sanitariuszki (w środku Maria Stypułkowska-Chojecka) i żołnierz „Parasola" Krzysztof Palester

FOT. WIKIPEDIA/JOACHIM JOACHIMCZYK

Na Czerniakowie szczególnie ciężko było podczas obrony przy ulicach Ludnej i Wilanowskiej, gdzie atakowały nas czołgi

Był pan dwukrotnie ranny. Za pierwszym razem nie było chyba aż tak źle?

Do pierwszego postrzelenia doszło 8 sierpnia podczas obrony cmentarza ewangelickiego. To była na szczęście powierzchowna rana – dostałem odłamkiem – i byłem z nią w stanie ratować „Gryfa". Za drugim razem już nie było tak wesoło. Drugi postrzał dostałem 13 sierpnia na gruzach getta. Ta rana była dużo cięższa – miałem zniszczony lewy nadgarstek, a przecież jestem leworęczny! Jakoś dowlokłem się o własnych siłach do pałacu Krasińskich, gdzie mieliśmy kwaterę, ale przed wejściem od strony Ogrodu Krasińskich straciłem przytomność. Koledzy przenieśli mnie do punktu sanitarnego działającego w pałacu. Tam trafiłem na wspaniałego fachowca, dr. Zbigniewa Dworaka ps. Maks. W bardzo ciężkich warunkach wykonał on zabieg chirurgiczny, który pozwolił uratować rękę. Naprawdę niewiele brakowało, a trzeba by ją było amputować. Może lewy nadgarstek nie jest tak sprawny jak prawy, ale jednak mogłem z tak poskładaną ręką przeżyć już prawie 80 lat.

Niesamowite, że nawet tak poważna rana nie wyłączyła pana z powstania. Jak pan strzelał z gipsem na ręku?

Jak to jak strzelałem? Nie miałem przecież zagipsowanych palców, więc mogłem spokojnie pociągać za spust. Po operacji do 19 sierpnia zmusili mnie do leżenia, ale przy pierwszej okazji wróciłem do służby. W zasadzie z tak poważną raną mógłbym już na stałe wyłączyć się z walki, ale nie wyobrażałem sobie takiej sytuacji. Po tym wszystkim, co Niemcy nam robili, chciałem z nimi walczyć do końca.

„Parasol" najpierw przeszedł z Woli na Starówkę, a potem przebiliście się kanałami do Śródmieścia. Zazwyczaj jest to najtrudniejsze wspomnienie powstańców. U pana kanały również były najgorszym doświadczeniem w tamtym okresie?

Raczej tak. Byłem już u kresu sił. Początkowo można było iść w pozycji wyprostowanej, choć brodziło się w paskudnej brei. Pod koniec trzeba już było iść na kolanach – i to już naprawdę nie było przyjemne. Tak się nam udało przejść pod Bristolem, że nic tam na nas Niemcy nie zrzucili. Niektórzy byli tak zmęczeni wędrówką kanałami, że autentycznie padali ze zmęczenia. Ci, którzy mieli przy sobie cukier, częstowali nim kolegów, żeby nabrać trochę siły. Widok światła z daleka to niezapomniana ulga. Spuszczona lina, komenda „zawiąż się" i wyciągnęli mnie na powierzchnię. To był niesamowity moment. Jak już oczy przyzwyczaiły się do światła, to zobaczyłem, że wszystko tu jest normalne, jakby żadnego powstania nie było. Szyby były całe, budynki stały niepokiereszowane… To się w głowie nie mieściło. Przede mną wyciągnęli „Jeremiego" (Jerzego Zborowskiego) – naszego dowódcę. „Jeremi" był już na zewnątrz i stał koło włazu. Miałem fantazję i z tyłu przyczepiłem sobie do

eprasa.pl 196ee5bd01

paska spodni parasol. Kiedy sięgnąłem po niego i otworzyłem go, ludzie zaczęli krzyczeć: „Parasol przyszedł! Parasol przyszedł!". Tę scenę opisał nawet Aleksander Kamiński na końcu książki „Zośka i Parasol".

Dalej był Czerniaków, gdzie „parasolarze" toczyli bardzo ciężkie walki z Niemcami. Do czego porównałby pan ten rozdział powstania?

Dla mnie to była druga Wola – walki były tak zacięte jak na cmentarzu ewangelickim: huraganowy ogień z pociągu pancernego i ciężkiej broni artyleryjskiej. Spadające granaty i latające w powietrzu odłamki nagrobków, które były jak szrapnele.

Do walki na Czerniakowie włączyliśmy się 9 września. Walczyliśmy tuż obok siebie. Miałem wrażenie, że Niemcy byli wszędzie – i my też byliśmy wszędzie. Szczególnie ciężko było podczas obrony przy ulicach Ludnej i Wilanowskiej, gdzie atakowały nas czołgi.

Byliśmy na ul. Wilanowskiej, gdy doszła do mnie przekazywana z ust do ust wiadomość, że „Radosław" będzie się ewakuował ze swoimi ludźmi na Mokotów. Wraz z nim miał iść drugi pluton jako ubezpieczenie całej grupy. Niemcy jednak cały czas prowadzili bardzo ciężki ostrzał. Wielu z nas zostało i walczyliśmy do końca na ul. Wilanowskiej 5, 3 i 1. Ranni mieli pierwszeństwo przy ewakuacji, więc zostałem wysłany na brzeg Wisły.

Przeprawiłem się nocą z 23 na 24 września. Przy statku „Bajka" ludzie ładowali się do łódek, które wysłali polscy żołnierze z drugiej strony Wisły. Jako ranny miałem zapewnione miejsce w łódce. Ale niestety nie było mi dane w ten sposób przeprawić się przez rzekę. Za dużo cywilów władowało się do środka i łódka poszła na dno. Nie było innego wyjścia – musiałem płynąć wpław z gipsem na ręku.

A przecież Niemcy polowali na ludzi, którzy chcieli się przedostać na drugi brzeg.

Tak, cięli z ciężkich karabinów maszynowych ustawionych na wieżach zburzonego mostu Poniatowskiego. Ja jednak nie zostałem wtedy nawet draśnięty, choć to nie znaczy, że wszystko poszło gładko. Przepłynięcie Wisły nie jest takie proste, zwłaszcza jak człowiek jest wyczerpany i ranny. W pewnym momencie powiedziałem sobie pod nosem: „Panie Boże, ja już nie dam rady" i powoli zacząłem opadać w kierunku dna. Nie trwało to zbyt długo, bo okazało się, że w tym miejscu woda nie sięgała mi nawet do pasa. Na środku Wisły była „górka", która ocaliła mi życie. Odpocząłem trochę, pobiegłem po płytkiej wodzie, a gdy zrobiło się głęboko, znowu zacząłem walczyć z nurtem. Po wyjściu na brzeg straciłem przytomność. Ocucili mnie żołnierze 1. Armii WP i od razu poczęstowali tuszonką świńską i kielichem wódki. Niestety, nie odmówiłem. Bardzo mi to zaszkodziło i leżałem potem kilka dni zatruty pod ich opieką. Ale na szczęście miałem już za sobą piekło niemieckiej okupacji Warszawy.



Wyjście powstańców z kanałów przy Nowym Świecie i Wareckiej FOT. WIKIPEDIA/JOACHIM JOACHIMCZYK

Po raz drugi przeprawiał się pan przez rzekę, z tym że za pierwszym razem, pięć lat wcześniej, uciekał pan przed Sowietami.

Gdy Sowieci zaatakowali, byłem z rodziną w koszarach w Dubnie. Mieszkaliśmy tam, bo mój ojciec był wojskowym. Już w sierpniu 1939 r. wyszedł z Dubna do walki jako dowódca 1. batalionu 43. Pułku Strzelców Legionu Bajończyków. Pod koniec wojny obronnej mój ojciec bronił Warszawy. Początkowo czerwoni nie wchodzili na teren koszar. Byłem harcerzem i w ramach „pogotowia harcerskiego" przejąłem z kolegami klucze od furtek i bram w koszarach. Do nas należała opieka nad tym terenem, bo oczywiście żołnierzy i administracji już tam nie było, tylko zostały same rodziny wojskowych. Uratowaliśmy wtedy m.in. płaty sztandarów pułkowych. Zabraliśmy te płaty z kolegą do naszych domów. Ruscy wyrzucili nas po paru dniach z koszar i przenieśli na przedmieścia Dubna. Pojawiły się głosy, że będą nas wywozili na wschód…

Mama była przygotowana na taką ewentualność. Część biżuterii przeznaczyła na opłacenie transportu z Dubna do Brześcia i dalej przez Bug łódką do Terespola, skąd pojechaliśmy w piątkę – mama, ja i trójka rodzeństwa – do babci do Warszawy. Dojechaliśmy do stolicy na początku listopada. Przywiozłem wtedy ze sobą płat sztandaru pułkowego, który ukryłem pod ubraniem. Niedługo dołączył do nas ojciec. Dostał rozkaz pozostania w Warszawie i rozpoczęcia działalności w podziemiu.

Pański ojciec zaszedł w konspiracji bardzo wysoko. Podpułkownik Zygmunt Rylski ps. Hańcza od 1942 r. był dowódcą VI Obwodu AK Warszawa-Praga.

W związku z tym chyba nikogo nie dziwi, że ja też musiałem iść do podziemia. Od 1940 r. działałem już w „Szarych Szeregach". Zresztą cała rodzina była w konspiracji.

Pańscy rodzice zapłacili za walkę o niepodległość Polski najwyższą cenę…

Najpierw Niemcy aresztowali mamę. W 1943 r. zamordowali ją w obozie koncentracyjnym na Majdanku. W lutym 1944 r. spotkała nas druga tragedia – aresztowanie ojca. Zamknęli go w obozie Stutthof, gdzie notabene został komendantem obozowej konspiracji żołnierzy… W marcu 1945 r. zginął podczas marszu śmierci. Jeżeli ktoś się dziwił, że walczyłem z roztrzaskanym nadgarstkiem, to teraz chyba rozumie, skąd brała się moja motywacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zbigniew Rylski ps. Brzoza (ur. 1923 r.) jest powstańcem warszawskim, żołnierzem batalionu „Parasol", kawalerem Orderu Virtuti Militari. W 2016 r. ukazała się jego dwutomowa książka pt. „Biografie żołnierzy batalionu »Parasol«".

eprasa.pl 196ee5bd01



„Jaś" na ul. Tamka. Z przodu stoi dowódca. Gdy poległ, transporter Sd.Kfz 251 nazwano jego pseudonimem – Szary Wilk

FOT. WIKIPEDIA

1944 r. / Wozy bojowe powstańców warszawskich

Pancerni '44



Maciej Rosalak

Ogień i pancerz umożliwiły natarcie na KL Warschau, a działa zlikwidowały niemieckie stanowiska ogniowe

Brak broni w ogóle, a ciężkiej w szczególności, powodował, że natarcia powstańców z góry skazane były na niepowodzenie. Dzięki ich woli walki i pomysłowości ubogi arsenał wzbogacały wprawdzie błyskawice – czyli wytwarzane konspiracyjnie peemy wzorowane na stenach, granaty wypełniane prochem z niewybuchów czy wyrzutnie butelek zapalających konstruowane z samochodowych resorów, ale produkowanie w taki sposób dział i ckm-ów było już niemożliwe. A o czołgach nie ma co mówić...

Podziemna armia nie rezygnowała z planów użycia broni pancernej w ostatecznej rozprawie z Niemcami. Dlatego w III Oddziale Komendy Głównej Armii Krajowej utworzono specjalny referat broni szybkich i pancernych. Na jego czele stanął płk Janusz Bokszczanin, mający doświadczenie walk w jedynej we wrześniu 1939 r. polskiej brygadzie pancerno-zmotoryzowanej płk. Stanisława Maczka. Trzy tygodnie przed wybuchem Powstania Warszawskiego Bokszczanina powołano na zastępcę szefa sztabu KG AK.

Ordre de bataille sił powstańczych przewidywał zaś utworzenie w południowo-zachodniej części Śródmieścia południowego 3. Batalionu Pancernego „Golski", w sile trzech kompanii czołgów i dwóch kompanii piechoty. 1 sierpnia 1944 r. obnażył smutną prawdę: żadnej broni pancernej nie było, a broni strzeleckiej – jak prawie wszędzie – śladowe ilości. Batalion zdołał zająć Politechnikę i ul. Śniadeckich, ale z Kolonii Staszica go wyparto.

Tylko i aż 10...

A jednak powstańcy zdobyli parę tanków oraz kilka innych wozów pancernych. Przypomnijmy je według kolejności ich przejęcia przez Armię Krajową:

1 SIERPNIA – półpancerny chevrolet 157, zdobyty tydzień wcześniej przez nasz oddział dywersyjny w Śródmieściu opancerzony wóz pocztowy. Z wielkimi napisami AK, namalowanymi z obu stron pojazdu, powstańcy używali go w transporcie. Płyty pancerne ze zdemolowanego podczas nalotu pojazdu posłużyły przy budowie „Kubusia".

1 SIERPNIA – samochód pancerny FAI sowieckiej produkcji, przypominający wehikuły z poprzedniej wojny, który podczas ataków w al. Szucha i Al. Ujazdowskich zdobył batalion „Ruczaj", dowodzony przez rtm. Czesława Lisowskiego. Przyozdobiony polskimi sztandarami wzbudzał entuzjazm warszawiaków. Meldunków o użyciu go w boju brak.

2 SIERPNIA – Jagdpanzer 38(t) Hetzer – 15-tonowe działo przeciwpancerne z armatą 75 mm i ckm MG 34 dostało się w ręce żołnierzy 163. plutonu batalionu „Kiliński" oraz oddziału Kedywu „Kolegium C". Granatami i butelkami zapalającymi zatrzymali oni dwa wozy pancerne, które przed południem jechały ul. Świętokrzyską od Nowego Światu na odsiecz Poczcie Głównej, pędząc przed sobą 20 cywilów – głównie kobiet – jako „żywe tarcze". Rozbiegli się, słysząc strzały, nieliczny desant piechoty uciekł,

eprasa.pl 196ee5bd01

a jeden z pojazdów eksplodował w płomieniach. Drugim, uszkodzonym, ale rychło wyremontowanym był właśnie niszczyciel czołgów, który nazwano „Chwat". Po południu tego dnia Polacy pod znakomitym dowódcą rtm. Henrykiem Leliwą-Roycewiczem zdobyli Pocztę Główną, tworzącą wraz ze zdobytym 1 sierpnia Prudentialem silną redutę AK przy pl. Napoleona. „Chwat" wzmacniał barykady przed Pocztą, aż w jej garażu zasypały go gruzy budynku zbombardowanego w pierwszych dniach września przez artylerię i lotnictwo niemieckie. Po wojnie trafił do Muzeum Wojska Polskiego, gdzie oglądalibyśmy go do dziś, gdyby komunistyczny zarząd GZP nie kazał go w 1950 r. zezłomować.

2 SIERPNIA – dwa czołgi Panzerkampfwagen V Panther Ausf. G zdobywają na Woli żołnierze Batalionu „Zośka". Dzięki tym panterom powiódł się 5 sierpnia brawurowy szturm i wyzwolenie Żydów z KL Warschau, tzw. Gęsiówki (szerzej – dalej).

4 SIERPNIA – niemiecki czołg – prawdopodobnie PzKpfw IV wpadł na Ochocie w ręce żołnierzy kompanii „Gustaw". Jednak szansę na wykorzystanie potężnego tanku stracono (szczegóły – dalej).

7 SIERPNIA – niemiecki transporter półgąsienicowy Sd.Kfz.251/3 Ausf.D zdobyli na pl. Zamkowym żołnierze batalionu „Bończa", gdy z barykady przy wylocie ul. Świętojańskiej obrzucili go butelkami z benzyną, a następnie ostrzelali uciekającą załogę (dwóch wrogów zabito). Przewoził powstańców i zaopatrzenie. Jego widok z biało-czerwonym sztandarem oraz wizerunkiem orła, biało-czerwoną szachownicą i nazwą „Starówka" umacniał ducha bojowego mieszkańców. Żołnierzy ucieszyła zdobyta broń strzelecka (w tym dwa ckm) i przeciwczołgowa. Wbudowano go w świętojańską barykadę, której bronił aż do jej upadku w połowie miesiąca.

13 SIERPNIA – czołg pułapka na Starówce – był naprawdę ciężkim transporterem ładunków Borgward B IV. Zamiast uzbrojenia miał radio i półtonowy ładunek wybuchowy w skrzyni z przodu pancerza, który kierowca zrzucał pod wybranym celem. Jechał zniszczyć barykadę na Podwalu, ale jego wybuch spowodowali lekkomyślni rodacy, którzy uruchomili pojazd po jego utknięciu pod barykadą i ucieczce kierowcy. Przy ul. Jana Kilińskiego eksplozja zabiła 300 ludzi z kompanii motorowej „Orlęta", batalionu „Gustaw" i z innych oddziałów. O tej makabrze poeta „Sztuki i Narodu" Tadeusz Gajcy napisał wstrząsający wiersz „Święty kucharz od Hipciego": „Wszyscy święci, hej do stołu! W niebie uczta: polskie flaczki / Wprost z rynsztoków Kilińskiego! / Salcesonów misa pełna / Świeże chrupkie. Pachną trupkiem: / To z Przedmurza! / Do godów. Święci do godów, / Przegryźcie Chrystusem Narodów!".



Działo samobieżne „Chwat" wzmacnia barykadę przy pl. Napoleona. Zdjęcie Eugeniusza Lokajskiego FOT. WIKIPEDIA

14 SIERPNIA – niemiecki transporter półgąsienicowy Sd.Kfz.251/3 Ausf.D zdobyty na Powiślu przez żołnierzy ze zgrupowania „Krybar", nazwany „Szarym Wilkiem" oraz…

23 SIERPNIA – jedyny polski samochód pancerny „Kubuś" wraz z „Szarym Wilkiem" dwukrotnie (23 sierpnia i 2 września) atakował Uniwersytet (patrz – poniżej).

Głupota, triumf i odwroty

Spójrzmy na trzy odmienne akcje z udziałem powstańczej broni pancernej – na Ochocie, Woli i Powiślu.

Oto żenująca utrata właśnie zdobytego czołgu oraz własnych samochodów, dzięki którym żołnierze kompanii „Gustaw" (dowódca por. Andrzej Chyczewski), osaczeni na Ochocie w reducie przy ul. Kaliskiej, mogliby przebić się do Śródmieścia. Relacje o tym wydarzeniu są skąpe i nie pozwalają na uściślenie choćby tego, który właściwie czołg powstańcy mieli w rękach. Podczas dyskusji sprzed 12 lat na forum dws.org.pl przypuszczano, że mogła to być Pantera, a nawet Tygrys, choć zapewne był to podstawowy czołg średni Wehrmachtu – czyli PzKmpf IV.

Prawdopodobnie było tak: ***4 SIERPNIA*** oddział por. „Gustawa" oddał serie z karabinów maszynowych do kolumny pancerno-motorowej przemierzającej pl. Narutowicza. Niemieckie czołgi odpowiedziały z dział i ckm-ów, a dwa z nich przez ul. Barską wjechały w Kaliską. Tu Jan Ostrowski „Osa" strzałem z panzerfausta obalił na jeden z tanków jakiś słup (latarnię?), co wywołało popłoch obu załóg. Jedna starała się uciec pod osłonę drugiego czołgu (niemal wszyscy zginęli), a ten… pospiesznie się wycofał.

Szczęście nie opuszczało kompanii: otóż por. Jerzy Kołodziejski „Nieczuja" miał wprawę w prowadzeniu takiego pojazdu, a starszy ogniomistrz Stefan Czapiński „Bór" – w obsłudze działa. „Osa" – który tak szczęśliwie spudłował – podobno został dowódcą. Zebrano wszystkie posiadane samochody w kolumnie przy kościele św. Jakuba, aby pod

eprasa.pl 196ee5bd01



Sami powstańcy zbudowali samochód pancerny „Kubuś" stworzony na podwoziu chevroleta 157 FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

osłoną czołgowego pancerza, armaty i ckm-u przedrzeć się z fasonem do oddziałów AK za Al. Jerozolimskimi. I oto wystąpił nieszczęśliwy splot dwóch wydarzeń. Po pierwsze, ugotowano kapuśniak na świni znalezionej przy wozowni Węgiełka i cała załoga ruszyła na wyżerkę. Po drugie – czołg pozostawiono pod opieką jednego z młodocianych obserwatorów poczynań por. Kołodziejskiego za drążkami pojazdu.

Przed laty por. „Nieczuja" wyjaśnił („Stolica" nr 32 (870) z 1964 r.), co uczynił z czołgiem pozostawiony bez nadzoru, anonimowy po dziś dzień wyrostek. Mimochodem jednak dał świadectwo również swojej i kolegów z załogi nieodpowiedzialności.

Otóż młokos: „Uruchomił czołg i zaczął nim manewrować, jeżdżąc trochę w przód, trochę w tył, wszystko na »pół sprzęgła« i w ten sposób je spalił. Kiedy w pewnym momencie puścił sprzęgło całkiem – skleiło się tak, że w żaden sposób nie można go było wycisnąć, a czołg zaczął jechać w kierunku Grójeckiej. Chłopak wystraszył się śmiertelnie, zgasił jednak silnik i uciekając przez oparcie siedzenia kierowcy do tyłu w kierunku klapy wyjściowej, przycisnął znajdujący się na lawecie działa przycisk elektrycznego odpalenia działa. Było już załadowane i w ten sposób dodatkowo palnął w stojące pod murem i przygotowane już samochody. Spłonęły, wyjąc w ogniu klaksonami".

Koledzy z „Gustawa" krwawili na Kaliskiej jeszcze kilka dni, zanim zdołali się wymknąć poza Warszawę.

I oto pojawiają się ***2 SIERPNIA*** dwa PzKpfw V Panther – najnowsze niemieckie czołgi średnie (patrz: str. 30). Prawdopodobnie miały uzupełnić straty w 19. Dywizji Pancernej pod Wołominem, lecz zabłądziły na Woli, gdzie rażono je granatami i butelkami z benzyną. Na Okopowej jeden uległ awarii, a drugi wbił się w ogrodowy mur. Załogi wzięli do niewoli żołnierze batalionu „Zośka", którzy naprawili uszkodzenia panter i zaczęli się szkolić w ich obsłudze. Wśród kilku techników znaleźli się też dwaj absolwenci przedwojennego Centrum Wyszkolenia Broni Pancernej w Modlinie.

Szczęśliwie się złożyło, że również 2 sierpnia zdobyto w innej części miasta zapas amunicji kal. 75 mm do Pantery, a w magazynach MPO przy ul. Spokojnej odkryto 3 tys. litrów benzyny. Mniej uszkodzony czołg – nazwany najpierw „Pudel", a następnie „Magda" – wszedł do akcji pod dowództwem Wacława Micuty „Wacka" już 3 sierpnia, podczas ataku na Szpital św. Zofii. Drugi czołg, o nazwie „PW", uruchomiono nazajutrz. Dowodził nim por. Eugeniusz Romański „Rawicz".

Najwspanialszą akcją „Zośki" na Woli stało się zdobycie Konzentrationslager Warschau przy ul. Gęsiej. W ciągu niespełna roku Niemcy zagłodzili, zakatowali i rozstrzelali tu 20 tys. Żydów, a kilkuset pozostałym zapowiedzieli egzekucję. Dostępu do obozu broniły wieżyczki z bronią maszynową, a załogę stanowiło 90 strażników z SS-Totenkopfverbände („Trupie Główki") oraz z Sicherheitsdienst (SD). 5 sierpnia do uderzenia ruszyła 2. kompania „Rudy" pod dowództwem plut. pchor. Andrzeja Romockiego „Morro". Pozostałe dwie kompanie batalionu „Zośka" wsparły ją ogniem (1. „Maciek") oraz współudziałem w natarciu (3. „Giewont") – wraz z obydwoma czołgami Samodzielnego Plutonu Pancernego „Wacek".

Walkę o KL Warschau „Wacek" tak zapamiętał:

„Pojechaliśmy naprzód naszym czołgiem »Magdą«. Niemcy myśleli, że to był ich czołg, Pantera, krzyczeli: »Unsere Panzern kommen!«; znaki były nasze, ale niewidoczne. Dojechaliśmy do wjazdu z Gęsiej. Czołg jakimś szczęściem przeszedł. Niemcy już jednak zorientowali się i pod drugą barykadę podłożyli jakąś minę czy wiązkę granatów. Ta mina rzuciła nas potężnie, ale gąsienica wytrzymała i znaleźliśmy się na wierzchu tej barykady, po czym rozbiliśmy stalową bramę obozu. Od tej chwili Niemcy mieli dwa wyjścia: albo ginąć, albo wiać. I duża część z nich uciekła. Zgodnie z planem, pierwszy strzał w wieżę narożną.

Natarcie poszło jak błyskawica, chłopaki runęli biegiem, szturmowo, nieomal nie zatrzymując się dla osłony, jednego widziałem na rowerze. Wszystkie punkty ogniowe Niemców znalazły się pod naszym bezpośrednim ostrzałem. Obsługa działa naszego czołgu, celowniczy »Bajan« i zamkowy »Wiktor-Kadłubek«, rozbiła wszystkie wieże wartownicze, jedną po drugiej, skąd szedł ogień, kończąc wypędzanie Niemców z »białego domu«, zamykającego obóz od strony wschodniej".

Batalion „Zośka" wyzwolił 348 więźniów KL Warschau. Zdobył sporo broni, amunicji, żywności, odzieży i oporządzenia. Zginęło kilkudziesięciu wrogów. Poległo dwoje żołnierzy „Zośki": Juliusz Rubini, trafiony w pierś kulą dum-dum, oraz sanitariuszka Zofia Krassowska „Zosia Duża", postrzelona w brzuch, gdy niosła pomoc rannemu. Stu uwolnionych Żydów zgłosiło się do polskiego wojska. Mechanicy trafili do plutonu pancernego. „To, że nasze czołgi działały do końca walk na Woli (11 sierpnia), aż do skończenia się amunicji działowej, było w dużej mierze zasługą tego oddziału" – wspominał „Wacek". Znisz-



Półpancerny samochód pocztowy chevrolet w Śródmieściu FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 196ee5bd01

czyły z całą pewnością czołg PzKpfw IV i samobieżne działo szturmowe StuG 40. Przed wycofaniem się zgrupowania „Radosław" na Stare Miasto obie pantery spalono.

14 SIERPNIA – niemiecki transporter półgąsienicowy Sd.Kfz.251/3 Ausf.D z Dywizji Pancernej SS „Wiking" zdobyli na Powiślu żołnierze 2. kompanii VIII Zgrupowania Grupy „Krybar" (dowódca – kpt Cyprian Odorkiewicz). Ten typ transportera uzbrojony był w dwa ckm-y MG 34 lub MG 42 i zabierał 10-osobowy desant. Nazwano go pseudonimem dowódcy 2. kompanii por. Jana Jasieńskiego „Jasia". Po ataku 23 sierpnia, w którym zginął dowódca pojazdu plut. podch. Adam Dewicz, obdarzono pojazd jego pseudonimem – Szary Wilk.

23 SIERPNIA dołączył do niego jedyny polski samochód pancerny „Kubuś", budowany na podwoziu chevroleta 157 według projektu inż. Waleriana Bieleckiego „Jana", pod kierunkiem Józefa Fernika „Globusa", przy ul. Tamka róg Topiel. Poza kierowcą i strzelcem sowieckiego rkm-u załogę stanowił 10-osobowy desant z miotaczem ognia, granatami i bronią strzelecką. Nazwano go pseudonimem zabitej żony Fernika, lekarki AK – Kubuś.

Niemcy zamienili gmachy UW w twierdzę górującą nad Powiślem i szachującą – z drugiej strony – komunikację ze Starym Miastem. Trzeba było ją zdobyć. W ataku 23 sierpnia chodziło głównie o przejęcie inicjatywy w tej części miasta i odciążenie obrońców Starówki. 2 września – po jej upadku – samo Powiśle walczyło już o przetrwanie. Ataki prowadzono przy braku nieodzownej łączności, mniejszymi i żałośnie niedozbrojonymi w porównaniu z wrogiem siłami. Różnica była taka, że za pierwszym razem główne polskie uderzenie poszło na bramę przy Krakowskim Przedmieściu, a za drugim – od strony ul. Oboźnej.

W obu wypadkach Polakom udało się nawet zaskoczyć Niemców, ale piechota krwawiła i zalegała bezradna pod ogniem broni maszynowej. Bez dział nasze pancerne pojazdy niewiele mogły zrobić, choć jakoś pokonywały kłopoty ze zniszczeniem bram i usuwaniem awarii, odgryzały się wrogowi seriami karabinów maszynowych, a w końcu obydwa potrafiły się wycofać. Cóż, 6 września powstańcy opuścili Powiśle…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Cień czarnych krzyży



Maciej Rosalak

Bardzo dawne czasy przypominają się dziś, kiedy Rosjanie dopominają się „korytarza suwalskiego", a Niemcy zachowują się w całym piekle, jakie rozpalił Putin, tak jakby nie o nich chodziło. Andrzej Krzycki (1482–1537) – piszący po łacinie poeta i duchowny, sekretarz królewski – wedle Erazma z Rotterdamu „król poetów" – który dwa lata przed śmiercią został arcybiskupem gnieźnieńskim i prymasem Polski, podczas ostatniego konfliktu z zakonem krzyżackim napisał w 1520 r. taką oto satyrę: „Na Zakon Krzyżacki":

Wiadomo, że trzy krzyże są i o trzech barwach.
Różne; tych, co je noszą, też rodzaje trzy:
Jest czerwony, ten słusznie zwie się Jezusowym,
Albowiem tak Jezusa zabarwił się krwią.
Jest biały, odpowiedni zbójcy z prawej strony,
Którego zbrodnie kilka odkupiło słów.
Jest w końcu czarny, zbója z strony lewej; ten to
Zdradziecki Zakon uznał – jak słusznie! – za swój.

Cóż, 300 lat wcześniej książę mazowiecki Konrad nie mógł znać tej satyry i sprowadził do walki z Prusami zakon rycerski noszący płaszcze właśnie z czarnymi krzyżami. Dał im, jako lenno i bazę wypadową, ziemie chełmińską i michałowską, a Krzyżacy – w myśl sentencji „daj palec, a wezmę całą rękę" – postarali się u cesarza Fryderyka II o Złotą Bullę, która przyznawała im to lenno na własność. Na antydatowanym na 1226 r., sfałszowanym dokumencie opierała się następnie Stolica Apostolska, upatrująca w krzyżackich zdobyczach nowe państwo kościelne, i spór z Polakami Krzyżacy ciągnęli przez wieki, dokonując jeszcze zaboru ziemi dobrzyńskiej na Mazowszu i Gdańska na Pomorzu, jak również Żmudzi na Litwie. Przyjęcie hołdu pruskiego od Albrechta Hohenzollerna, który w 1525 r. zmienił się nagle z katolickiego wielkiego mistrza w protestanckiego księcia, było największym błędem Jagiellonów.

A byłym Krzyżakom – żeby posłużyć się kolejnym przysłowiem – „apetyt rósł w miarę jedzenia", i to zwłaszcza w momentach kłopotów, jakie przeżywała Rzeczpospolita. Tak było w 1618 r., gdy Zygmunt III Waza kończył wojnę z Moskwą, a kolejna, ze Stambułem, wisiała na włosku, i zgodził się na objęcie władzy w Prusach przez brandenburską linię Hohenzollernów. Podobnie się stało, kiedy w 1657 r. Jan Kazimierz Waza, znękany potopem szwedzkim i moskiewską okupacją Wilna, zrezygnował z Prus Książęcych jako swego lenna. W 1701 r. saski władca na polskim tronie, czyli August Wettyn nazwany Mocnym, bez wahania zgodził się, aby książę elektor ogłosił się „królem w Prusach". A potem rodakom w „stojącej nierządem" ojczyźnie pozostały spóźnione zrywy powstań i naprawy państwa oraz puste gesty protestu – wobec arogancji Moskwy, Berlina i Wiednia, rozbiorów, przeklętego Świętego Przymierza.

Wielu ze zniewolonych po drugiej wojnie przez ZSRS Polaków myślało, że jakiś tam porządek z Prusami, na swoją modłę, zrobił towarzysz Stalin. Ale to się tylko tak wydawało. Dziś moskiewskie Prusy wiszą nad nami, niemal oddzielają nas od Litwy oraz rzucają cień niemniej złowróżbny niż cień z 1 września1939 r., gdy czarne krzyże na samolotach Luftwaffe nadleciały stamtąd nad Warszawę… ©℗

eprasa.pl 196ee5bd01

Panzerkampfwagen V Panther



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Choć koncepcja tego czołgu była niezwykle ambitna, to nie zdołał on odmienić niekorzystnej sytuacji strategicznej hitlerowskich Niemiec

Prace związane z projektem nowego czołgu średniego – następcy PzKpfw III – zapoczątkowane jeszcze przed wybuchem wojny, uległy znacznemu przyspieszeniu wskutek doświadczeń zdobytych na froncie wschodnim. To właśnie tam w 1941 r. niemieckie wojska pancerne zetknęły się z pojazdami sowieckimi – T-34 i KW – które koncepcyjnie przewyższały pojazdy Panzertruppen pod każdym względem. Pantera miała w zamyśle zdystansować swoimi parametrami taktyczno-bojowymi wszystkie wozy alianckie i stać się podstawowym typem używanym w dywizjach pancernych.

Opracowano ją w 1942 r. w koncernie MAN. Projekt wydawał się optymalny, zwłaszcza że zadbano o równowagę pomiędzy mocą sinika, systemem przeniesienia napędu, układem jezdnym oraz uzbrojeniem i opancerzeniem. W sylwetce czołgu, zwłaszcza jego pochyłych płytach pancernych, łatwo można dostrzec inspirację sowiecką „trzy czwórką". Jednakże pośpiesznie prowadzone prace – rok 1942 był dla Niemiec okresem przełomowym – skutkowały wieloma wadami technicznymi, które miały istotny wpływ na spektakularny blamaż panter pod Kurskiem latem 1943 r. W kolejnych miesiącach czołg przechodził liczne modyfikacje, wskutek czego jego ostateczna, produkowana od marca 1944 r., wersja G zyskała opinię jednego z najlepszych czołgów drugiej wojny światowej (czołgi tej właśnie wersji Polacy zdobyli podczas Powstania Warszawskiego).

Pantera wyposażona była w doskonałą armatę przeciwpancerną KwK 42 L/70 kal. 75 mm, a jej przedni pancerz miał grubość 80 mm. Pojazd napędzany był 12-cylindrowym silnikiem gaźnikowym Maybach o mocy 700 KM, który rozpędzał go do 46 km/h po drodze i 24 km/h w terenie; koła jezdne układu trakcyjnego zawieszono na niezależnych amortyzujących drążkach skrętnych. Masa bojowa sięgała 46 ton, załoga składała się z pięciu osób. Pantera była piekielnie trudnym i wymagającym przeciwnikiem, budząc zasłużony respekt u alianckich czołgistów. Podkreślano dużą siłę ognia i dobre właściwości manewrowe. Walory bojowe ostatecznej, dopracowanej wersji są bezdyskusyjne, ale pytanie brzmi, czy pojazd ten był Niemcom rzeczywiście niezbędny. Pomimo swoich zalet nie wpłynął istotnie na zmianę potencjału bojowego wojsk pancernych i nie przyczynił się do żadnego zwycięstwa w znaczeniu operacyjnym. Był także kosztowny (zwłaszcza na początku), skomplikowany oraz materiało- i czasochłonny w produkcji.

Można odnieść wrażenie, że kolejne projekty pojazdów bojowych, w tym Pantery, były wynikiem wyścigu, który Niemcy toczyli sami z sobą. Tym bardziej że ich podstawowy czołg pola walki (przynajmniej do końca 1943 r.), poddawany licznym modernizacjom PzKpfw IV, pozostał godnym przeciwnikiem dla radzieckich T-34 i amerykańskich shermanów właściwie do końca wojny. Niezwykle kosztowna realizacja programu Pantery, zwłaszcza w obliczu coraz większych problemów ze zdobyciem wystarczającej ilości strategicznych, dobrych jakościowo surowców dla produkcji zbrojeniowej, wpłynęła na zmniejszenie potencjału bojowego poprzez zahamowanie wytwarzania innych, wciąż efektywnych wozów bojowych. Tak istotna zmiana w systemie uzbrojenia wymaga zazwyczaj dłuższego okresu przygotowawczego, szkoleniowego oraz dostosowania logistyki. Wydaje się, że w obliczu sypiącego się frontu była to decyzja nieprzemyślana. Na zdjęciu: pojazd ze zbiorów Muzeum Wojennego Overloon (Holandia). ©℗



eprasa.pl 196ee5bd01



Steny z ulicy Grzybowskiej

Do najbardziej znanych wytwórców polskiej kopii brytyjskiego pistoletu maszynowego Sten należała Fabryka Łóżek i Sprzętu Szpitalnego Konrad Jarnuszkiewicz i S-ka, mieszcząca się w Warszawie przy ul. Grzybowskiej 25. W zbiorach MWP znajdują się dwa pochodzące stamtąd peemy oraz oryginalne elementy związane z produkcją – fragmenty warsztatu i podzespoły peemów. Zostały wydobyte podczas odgruzowywania fabryki w 1947 r. To m.in. przeciągarka do gwintowania luf, przyrząd bruzdujący, matryca w wykrojnikiem, narzynka z oprawką – w sumie 16 metalowych elementów. Inicjatorem projektu był Józef Kapler, członek AK, a przed wojną pracownik fabryki Jarnuszkiewicza. Zapoznawszy się z brytyjskim oryginałem, zbudował prototyp, a wkrótce opracował dokumentację techniczną, narzędzia i oprzyrządowanie do produkcji, która ruszyła pod koniec 1943 r.

Największym wyzwaniem było zbudowanie przyrządu do gwintowania luf, czyli przeciągarki zamontowanej na stole warsztatowym. Uruchamiano ją ręcznie za pomocą korby, a posuwisty ruch w przewodzie lufy wymuszała długa śruba o małym skoku, która przeciągała kolejne gwintowniki. Było ich 11, każdy w innym rozmiarze i z sześcioma nożykami o różnym kształcie i funkcji. Pierwsze steny z Grzybowskiej były gotowe na początku 1944 r. Szacuje się, że powstało ich tu w sumie ok. 180. Nie ustępowały zrzutowym – brytyjskim – chociaż cechowała je mniej staranna obróbka. Różniły się także sygnaturami – zamiast angielskiego oznaczenia na obsadzie magazynka wybijano polskiego orła w koronie, litery WP (Wojsko Polskie) i nazwę STEN PM. ©℗



Sidolówka

Szczególnie cenioną przez powstańców bronią były granaty ręczne. W konspiracji produkowano je masowo. Powstało wiele improwizowanych modeli, przy czym kilka znalazło szerokie zastosowanie. Do najliczniej produkowanych od 1942 r. należała sidolówka. Zastosowano w niej zapalnik czasowy pomysłu Władysława Pankowskiego, przedwojennego pirotechnika z wytwórni amunicji w warszawskim Forcie Bema. Korpus granatu wykonywano techniką odlewania, a jego kształt, w celach bezpieczeństwa, wzorowano na pojemniku z płynem do czyszczenia metalu (sidolu). Przed użyciem należało odkręcić korek zapalnika i obrócić granat tak, aby z wnętrza wypadł sznurek/zawleczka. Jego gwałtowne szarpnięcie powodowało zatarcie masy zapalającej (jak w zapałkach), a ogień przedostawał się poprzez ścieżkę prochową do materiału wybuchowego. Był to zasadniczo granat zaczepny, chociaż nierzadko wnętrze korpusu wypełniano dodatkowo metalowymi odłamkami. Kolejnym masowo wytwarzanym granatem była filipinka wyposażona w zapalnik uderzeniowy. Produkowano także wiele innych, bardziej prymitywnych wzorów z wykorzystaniem wszelkich dostępnych materiałów, np. rur. ©℗



Broń za dolary

W okresie okupacji arsenał konspiracyjny uzupełniano m.in. bronią kupowaną od żołnierzy państw Osi oraz członków formacji policyjnych, a także kolaboranckich. Do 1944 r. było jej stosunkowo niewiele. Z półrocznego meldunku AK z września 1942 r. wiadomo, że zakup broni i amunicji od npla daje dotychczas wyniki małe: uzyskano tą drogą kilka sztuk broni maszynowej piechoty i kilkadziesiąt karabinów i pistoletów. Przed załamaniem się niemieckiego frontu liczba potencjalnych sprzedawców była niewielka, a za utratę broni groziły surowe kary. AK doskwierał także chroniczny brak odpowiednich funduszy na zakupy, a postulowane do londyńskiej centrali kwoty nie były realizowane (np. preliminarz budżetowy na 1942 r. przewidywał kwotę 4 070 400 dol., w tym aż 2 480 000 dol. na zakup i fabrykację broni i amunicji). Kwestię tę poruszano wielokrotnie w korespondencji pomiędzy Komendą Główną a Londynem; komendant AK pisał w lutym 1944 r.: „To, co możemy uzyskać z naszych oszczędności, to są drobiazgi, za które nie można dokonać żadnej większej transakcji. Jesteśmy skutkiem tego zmuszeni do kupowania broni małymi partiami, a nawet pojedyncze sztuki z pierwszej ręki, a zatem drożej, i tym samym nie docieramy do dużych źródeł". Szczególnie kosztowna była broń maszynowa – za erkaem i peem trzeba było zapłacić 30 tys. zł, droższe były jedynie cekaemy – 40 tys. zł (karabin powtarzalny kosztował zaledwie 4 tys., a pistolet kal. 9 mm – 7 tys.). Na zdjęciu: niemiecki MP 40. ©℗

eprasa.pl 196ee5bd01

Wywiad / Z Coreyem Speckiem, byłym żołnierzem US Army



rozmawia Piotr Włoczyk

Jak uratowałem Marcina



Podczas zasadzki talibów ciężko raniony został polski żołnierz. Corey Speck z US Army uratował mu życie. Ta historia miała niezwykły finał dekadę później

PIOTR WŁOCZYK: 10 września 2009 r., jedna z wiosek w prowincji Ghazni. Po co tam pojechaliście?

COREY SPECK: Razem z moją drużyną miałem nieco wcześniej niezbyt przyjemną historię w sąsiedniej wiosce. Talibowie strzelali do nas z wyrzutni rakiet. Niestety, nie udało nam się wówczas wyeliminować ani pojmać napastników, więc postanowiliśmy wrócić tam i zobaczyć, czy dzieje się w okolicy wioski coś podejrzanego. Kiedy pojawiliśmy się na miejscu, nie mieliśmy pojęcia, że właśnie tego dnia odbywało się tam duże spotkanie talibskich dowódców. Kiedy zaczęliśmy się zbliżać do wioski główną drogą, zostaliśmy ostrzelani z moździerzy. Zrobiło się naprawdę gorąco. Zostaliśmy przygwożdżeni na tej drodze na kilka godzin.

Ilu was było?

Czternastu.

eprasa.pl 196ee5bd01











Akcję przeciw talibom 10 września 2009 r., o której mówi Corey Speck, uwiecznił fotoreporter amerykański Charles Eckert. Oto wybór jego zdjęć

FOT. CHARLES ECKERT

Ilu było talibów?

Gdy mieliśmy jeszcze wsparcie helikopterów, z powietrza ustalono, że wrogów było ponad 100.

Później okazało się, że w spotkaniu brało udział pięciu–sześciu przywódców i każdy z nich miał swoich ochroniarzy i świtę. Trzeba przyznać, że ci ludzie byli bardzo zdeterminowani, żeby nic złego nie stało się ich szefom. Wiedzieli, że mają nad nami ogromną przewagę. W większości przypadków jeździliśmy trzema pojazdami, ponieważ brakowało nam ludzi. Tymczasem nasze wytyczne jasno mówiły, że na patrol możemy wyjechać w minimum cztery pojazdy i 16 ludzi. To było absolutne minimum! My jednak musieliśmy wykonywać nasze zadania i jeżeli nie mieliśmy pełnego stanu, to i tak trzeba było wyjechać z bazy. Talibowie normalnie uciekliby, więc widząc, że postanowili stoczyć z nami bitwę, zrozumieliśmy, że w wiosce dzieje się coś dziwnego.

Dwa apache nad głowami dawały wam chyba spory komfort?

Gdy na niebie pojawiły się nasze helikoptery, mogliśmy wreszcie trochę odpocząć. Chyba każdy kojarzy, jakie uzbrojenie ma Apache. Gdy maszyny zaczęły ostrzał wrogich pozycji, talibowie jakby zapadli się pod ziemię.

Niestety, śmigłowce mają ten minus, że zużywają sporo paliwa...

Tak, nasze powietrzne wsparcie musiało wracać do bazy, by zatankować. Kiedy apache odlatywały, piloci powiedzieli przez radio: „Chłopaki, trzymajcie się, niedługo wracamy".

W międzyczasie nadjechała kawaleria – Polacy na rosomakach, którzy byli częścią Sił Szybkiego Reagowania (QRF – Quick Reaction Force).

W takich sytuacjach czekało się na takie oddziały jak na zbawienie. Gdziekolwiek siły NATO-wskie miały większy problem z talibami, tam zjawiała się „kawaleria" z QRF. Dojechało do nas ok. 20 Polaków. Talibowie przestali do nas strzelać. Gdy złączyliśmy siły, postanowiliśmy wejść do wioski i zobaczyć, co tam się dzieje. Zawsze trzeba było zabezpieczyć takie miejsca, zebrać broń zabitych i udokumentować straty wroga. Nie wiedzieliśmy jednak, że zmierzamy prosto w pułapkę.

Co zastaliście w wiosce?

Amerykańska drużyna podzielona została po połowie – jedni szli po lewej stronie wsi, drudzy po prawej. Ja byłem po lewej. W pewnej chwili usłyszałem, jak afgański żołnierz, który był z nami, krzyczy, że talibscy bojownicy są za nami. Myślałem, że reszta chłopaków pójdzie ze mną, ale nie zrozumieliśmy się. Ja zawróciłem, a oni poszli dalej przed siebie.

I w ten sposób natknął się pan na Polaków.

eprasa.pl 196ee5bd01



Ośmiu Polaków. Polacy byli już przed drzwiami wejściowymi do tego podejrzanego domu i przygotowywali się do szturmu. Pomyślałem, że skoro jest ich wystarczająco dużo z przodu tego domu, to ja pójdę ubezpieczać jego tyły.

Chwilę potem rozpoczęła się strzelanina. Trwała tylko chwilę i wszystko nagle ucichło. Myślałem, że Polacy opanowali sytuację w domu. Ale tak naprawdę – jak dowiedziałem się później – talibowie byli dobrze przygotowani i gdy tylko Polacy weszli do domu, zasypał ich grad pocisków. Polacy musieli się wycofać. Przypominam – stałem z tyłu całkiem sam. Nagle zobaczyłem, że ściana domu pęka. W dziurze ukazała się moim oczom głowa talibskiego bojownika w turbanie i okularach przeciwsłonecznych. Ten facet wybił karabinem dziurę w ścianie z gliny. Chyba był zaskoczony moim widokiem tak samo jak ja jego. Talib oddał serię strzałów, a ja schowałem się za rogiem domu. W tym momencie pojawił się obok mnie Polak Marcin Kulas. Pokazałem mu, że za rogiem jest wróg. Zaczęliśmy iść w tamtym kierunku. Ja szedłem nisko w rowie, a Marcin szedł obok mnie wyprostowany. Wtedy został postrzelony. Dostał sześć kul prosto w klatkę piersiową.

Jak to wyglądało?

Fatalnie. Marcin się rzucał, krzyczał, jego mundur momentalnie nasiąknął krwią. Złapałem go za uchwyt z tyłu kamizelki kuloodpornej i szybko przeciągnąłem go do pobliskiego do rowu. Nie mogłem wezwać pomocy, bo padło mi radio – rozładowała się bateria. Nie wiedziałem, gdzie jest moja drużyna. Kiedy wpadliśmy do rowu, zacząłem udzielać mu pierwszej pomocy. Opatrywałem go tak, jak pokazano mi na szkoleniu, dałem mu też zastrzyk z morfiny w rękę.

Ratował pan człowieka, ale talibowie przecież nigdzie sobie nie poszli.

To był wciąż „gorący" teren. Udzielałem Marcinowi pierwszej pomocy, gdy nagle coś kazało mi spojrzeć w górę. Zobaczyłem człowieka, który wyglądał jak dowódca talibów. Byli z nim dwaj ochroniarze. Szli w naszym kierunku z automatami. Zadziałałem odruchowo. Sięgnąłem po granat, wyciągnąłem zawleczkę, rzuciłem go i padłem na Marcina, zasłaniając go. Doszło do detonacji, wszyscy trzej talibowie zginęli. Znowu mogłem się skupić na pierwszej pomocy.

Miał pan nadzieję?

W jego ciele widać było wielkie rany, ale wtedy nie zastanawiałem się, czy przeżyje czy nie. Po prostu robiłem to, czego mnie uczono, i chciałem go jak najszybciej przenieść do bezpiecznego miejsca, gdzie czekałby na ewakuację śmigłowcem.

Polski żołnierz, który jako pierwszy wszedł do tamtego domu, zginął. Przez radio podano, że w czasie akcji w wiosce zginął jeden żołnierz. Nie było jednak informacji o jego narodowości. Kiedy więc chłopaki z mojej drużyny usłyszeli to, od razu sprawdzili, czy kogoś nie brakuje. I wtedy stwierdzili, że nigdzie mnie nie ma. Myśleli, że to ja zostałem zabity. Jak

eprasa.pl 196ee5bd01









już wspomniałem, bateria w moim radiu padła i nie reagowałem na ich wezwania. Najedli się wtedy mnóstwo stresu...

Przeskoczmy do przodu o 10 lat. Przez cały ten czas nic pan nie wiedział o Polaku, którego uratował pan tamtego dnia?

Nie miałem o nim żadnych informacji. W 2019 r. dostałem niespodziewany telefon. Dzwonił ktoś z Polski, kto chciał zrobić o tamtym dniu dokument. Towarzyszył nam wówczas amerykański fotoreporter, który uwiecznił tamte sceny, i kogoś z Polski bardzo to zainteresowało. Dostałem zaproszenie do Pragi na uroczystość 20-lecia przystąpienia Polski, Czech i Węgier do NATO. Ktoś postanowił wykorzystać to, co się stało 10 września 2009 r., jako przykład współpracy między armiami sojuszu. Nie miałem pojęcia, że na miejscu będzie Marcin.

Spotkanie z nim było wyjątkowo emocjonalne. Przytulił mnie i podziękował za uratowanie życia. Wciąż ma w swoim ciele kulę z kałasznikowa. Takich chwil nie sposób zapomnieć. Podczas naszego spotkania dałem mu zawleczkę od granatu, który nas uratował. Marcin jest dla mnie dziś jak brat. Gdy pojechał do Afganistanu, miał narzeczoną. Dziś są małżeństwem i mają trzech synów. To niesamowita sprawa, że udało się uratować Marcina i dzięki temu na świat przyszło trzech chłopaków!

W filmie dokumentalnym „Sierżant", wyprodukowanym przez TVP, mówił pan, że początkowo nie czuł pan wobec talibów złych emocji. Kiedy to się zmieniło?

Gdy w jeziorze, które leżało obok mojej bazy, znaleźliśmy potwornie okaleczone zwłoki. Ten człowiek miał odcięte palce, nie miał stopy i oczu. Przed śmiercią był torturowany. Najprawdopodobniej był to człowiek, który współpracował z Amerykanami. Talibowie nie mieli dla takich ludzi litości. Od tej pory miałem wobec nich same złe uczucia.

Co ciekawe, jest pan w niemałej części Polakiem. Od jak dawna odkrywa pan swoje polskie korzenie?

Dorastałem jak każdy inny amerykański dzieciak. Moja rodzina nie wiedziała zbyt dużo o polskich korzeniach, bo nasi przodkowie, którzy przyjechali z Polski, mało o tym opowiadali. Zachowało się bardzo mało dokumentów z tamtych czasów. Od kilku lat odkrywam coraz więcej okruchów mojej polskości. W Polsce czuję się jak w domu, widziałem wieś, gdzie mieszkali moi prapradziadkowie. Czuję, że mam prawdziwą rodzinę po drugiej stronie globu.

W filmie „Sierżant" mówił pan, że przygotowuje się do wystąpienia o polskie obywatelstwo. Coś się zmieniło w tej sprawie?

Wciąż pracuję nad dokumentami. A potem wszystko już będzie w rękach polskiego prezydenta. Żona chce kupić dom w Polsce, więc niewykluczone, że będę dzielił czas między moją Amerykę a moją Polskę.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja „Historii Do Rzeczy" dziękuje panu Charlesowi Eckertowi za udostępnienie zdjęć do fotoreportażu.

eprasa.pl 196ee5bd01

XIII–XX w. / Od kawalerów mieczowych do „Dzienników z Poll”



Niemieckie oddziały przeprawiają się przez cieśninę Muhu FOT. BLOG.RA.EE

Koniec świata Baltendeutschów



Sławomir Koper

Powstanie niepodległej Łotwy i Estonii zadało ostateczny cios inflanckiemu ziemiaństwu. Nie byli do tego potrzebni bolszewicy, wystarczyła reforma rolna ogłoszona w nowo powstałych państwach

Wprawdzie Zakon Kawalerów Mieczowych oficjalnie istniał tylko 35 lat, a następnie został wchłonięty przez Krzyżaków, ale bez nich losy Inflant zapewne potoczyłyby się zupełnie inaczej. Chociaż bowiem stali się częścią znacznie potężniejszego zgromadzenia, to jednak miejscowa linia prowadziła często odrębną politykę od pruskiej gałęzi zakonu, czego skutki były odczuwalne aż do XX stulecia. Oznaczały bowiem napływ niemieckiego rycerstwa i mieszczaństwa, które stworzyły warstwę Niemców bałtyckich (Baltendeutsche), dominującą w rosyjskim imperium Romanowów.

Gdy jednak w 1525 r. pruscy Krzyżacy przegrali kolejną wojnę z Polską, doszło do likwidacji tamtejszej linii zakonu. Ostatni wielki mistrz, Albrecht von Hohenzollern, złożył hołd lenny Zygmuntowi Staremu, przeszedł na luteranizm i został świeckim księciem Prus. W tej sytuacji bracia rycerze na Inflantach zaczęli używać nazwy Zakon Kawalerów Mieczowych.

Ich państwo stało się jednak zupełnym anachronizmem, gdyż w ówczesnej Europie nie było już miejsca na rycerskie państwa zakonne. Stało się jasne, że Inflanty zostaną wchłonięte przez jedno z pobliskich mocarstw, tym bardziej że opanowanie tamtejszych portów oznaczałoby zyski handlowe, a tamtejsze miasta uchodziły za bardzo zamożne.

Mistrz Zakonu Kawalerów Mieczowych Gothard Kettler był politycznym realistą. Doskonale rozumiał, że państwo zbrojnych mnichów nie ma szans na przetrwanie i jedyną szansą było oparcie się na Rzeczypospolitej. Kettler miał też osobiste ambicje i chciał zostać założycielem nowej dynastii, a niemiecką szlachtę i mieszczan nęciły swobody ustrojowe Korony i Litwy.

W listopadzie 1561 r. zawarto w Wilnie układ, na mocy którego ziemie kawalerów mieczowych poddały się Zygmuntowi Augustowi. Zakon miał ulec likwidacji, a Kettler przejść na luteranizm i otrzymać w lenno Kurlandię i Semigalię. Pozostałe tereny stały się wspólną własnością Polski i Litwy, a ich mieszkańcom zagwarantowano wolność wyznania i dotychczasowe prawa.

W rzeczywistości hołd Kettlera (w Rydze w marcu 1562 r.) niczego nie rozstrzygał, gdyż Inflanty trzeba było nie tylko zdobyć, lecz także utrzymać. Początkowo w walkach brały udział Rzeczpospolita, Rosja, Dania i Szwecja. Sojusze zmieniały się kilka razy, ale ostatecznie właściwe starcie nastąpiło w pierwszych dekadach następnego stulecia pomiędzy Polską i Szwecją. Rzeczpospolita była zbyt zaangażowana na innych frontach, by poradzić sobie ze Skandynawami, i to oni ostatecznie opanowali większość

eprasa.pl 196ee5bd01

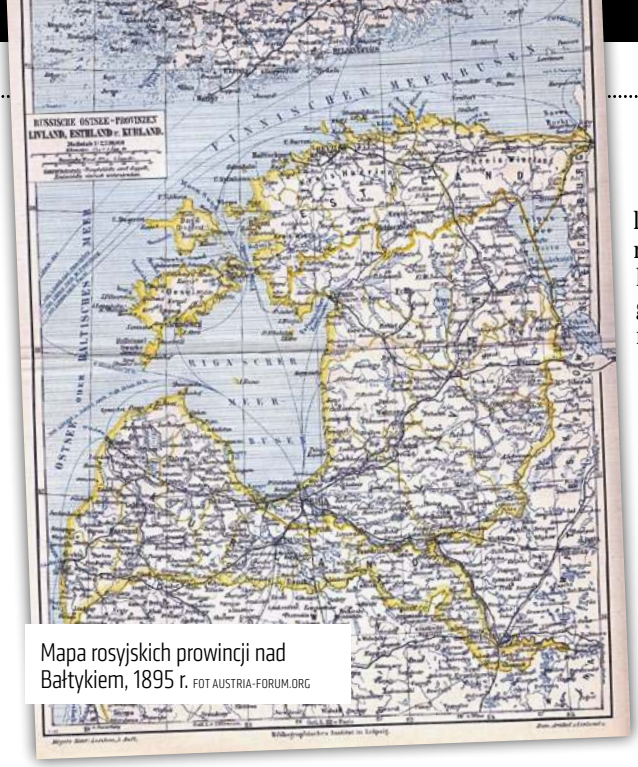
Inflant. Przy Rzeczypospolitej pozostały tylko południowa niewielka część zwana Łatgalią (Inflantami Polskimi) i lenne księstwo Kurlandii i Semigalii.

W imperium Romanowów

Panowanie szwedzkie okazało się całkiem znośne dla mieszkańców Inflant. Skandynawowie byli luteranami i zniknęły napięcia religijne, a mieszczanie i szlachta uzyskali potwierdzenie dotychczasowych przywilejów. Wprawdzie szwedzcy ziemianie zaczęli nabywać na Inflantach majątki, ale wspólny interes stanowy powodował, że nie notowano większych napięć. Niemcy zachowali przewagę nie tylko w sferach ziemiańskich, lecz także w miastach, a nastroje poprawiała dobra koniunktura i związany z nią rozwój handlu.

Sytuacja zmieniła się z chwilą wybuchu kolejnego konfliktu, zwanego wielką wojną północną. Rosja pod dynamicznymi rządami Piotra I dążyła do zdobycia szerokiego dostępu do Bałtyku, a najkrótsza droga wiodła przez szwedzkie Inflanty. Nie specjalnie podobało się to bałtyckim Niemcom, którzy zgodnie poparli Szwedów. Dla nich wojna z Rosją stanowiła bowiem kolejną fazę odwiecznej rywalizacji pomiędzy Wschodem i Zachodem, a imperium Romanowów uważali za dziki kraj zamieszkany przez krwawych barbarzyńców.

Rosjanie pokonali jednak Szwedów i podbili Inflanty, a Ryga skapitulowała w lipcu 1710 r. W tej sytuacji Niemcy bałtyccy musieli dojść do porozumienia ze zdobywcami, tym bardziej że Petersburg nie dążył do konfrontacji. Inflanty uzyskały status prowincji autonomicznej, a Piotr I potrzebował Baltendeutschów do przebudowy państwa w nowoczesną monarchię absolutną. Inflanccy baronowie dostrzegli w tym szansę dla siebie i szybko zaangażowali się w działalność polityczną w Rosji. Zdobywali najwyższe stanowiska państwowe, dominowali w korpusie oficerskim i w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej stanowili aż 15 proc. składu osobowego Sztabu Generalnego. Bałtyckim Niemcem był generał-gubernator Petersburga, hrabia Peter von Pahlen i minister wojny z czasów wojen napoleońskich, Barclay de Tolly. Podobnie jak znany polakożerca hrabia Fiodor Berg, namiestnik Królestwa Polskiego w latach powstania styczniowego, oraz Piotr Wrangel, ostatni przywódca „białych" w latach wojny domowej w Rosji.



Mapa rosyjskich prowincji nad Bałtykiem, 1895 r. FOT AUSTRIA-FORUM.ORG

Szczególną rolę odgrywali inflanccy Niemcy w rosyjskiej marynarce wojennej. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej niemieckiego pochodzenia było nie tylko dwóch głównodowodzących flotą, lecz także dowódcy kluczowych okrętów. Niektórzy z nich, jak Robert von Wiren czy Nikołaj von Essen, dosłużyli się admiralskich szlifów, uchodząc za znakomitych fachowców.

Bałtyckich Niemców nie obowiązywały ograniczenia w przyjęciach do rosyjskich szkół oficerskich. Wprawdzie stosowano tam numerus clausus, ale dotyczyło to wyłącznie katolików, czyli głównie Polaków. Natomiast luteranów przyjmowano bez żadnych ograniczeń, co powodowało, że faktycznie dominowali w korpusie oficerskim.

Warto zwrócić uwagę, że pomimo pewnych analogii pozycji inflanckich Niemców nie można porównywać z sytuacją polskich ziemian na Ukrainie czy Białorusi. Chociaż pod koniec XIX w. Baltedeutsche stanowili zaledwie 7 proc. ogółu mieszkańców (ok. 135 tys. osób), to w odróżnieniu od naszych rodaków na Kresach całkowicie zdominowali Inflanty. W ich rękach były bowiem nie tylko własność ziemska, przemysł i handel, lecz także administracja, sądownictwo, szkolnictwo i Kościół luterański. W wielu kwestiach głos decydujący należał wyłącznie do zgromadzenia szlachty inflanckiej, które o swoich uchwałach informowało tylko władze gubernialne.

Panowanie rosyjskie na Inflantach było niezauważalne, tym bardziej że miejscowi Niemcy w ogóle nie podlegali asymilacji, a Rosjanie nie zostali dopuszczeni do swobodnego nabywania majątków ziemskich. W miastach dominowali natomiast niemieccy kupcy i przemysłowcy, dzięki czemu tereny dzisiejszej Łotwy i Estonii pozostały niemiecką enklawą w imperium carów. Nic zatem dziwnego, że inflanccy Niemcy czuli się nad Bałtykiem tak, jakby przez ostatnich kilka stuleci nic się nie zmieniło.

Księstwo Bałtyckie

Ten świat runął wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej. Rosja i Rzesza Niemiecka znalazły się w przeciwnych obozach i Baltendeutsche stanęli przed bolesnym wyborem. Sytuacja była tym trudniejsza, że władze z Petersburga zaczęły traktować bałtyckich Niemców jako potencjalnych zdrajców, którzy będą popierać swoich rodaków z zachodu. Zakazano używania języka niemieckiego (nawet w prywatnych rozmowach i korespondencji), zlikwidowano większość instytucji samorządowych. Ze Sztabu Generalnego usunięto praktycznie wszystkich oficerów pochodzenia niemieckiego – podobnie zresztą jak w jednostkach frontowych. Szlachta inflancka od pokoleń utrzymywała bowiem przyjazne stosunki z junkrami pruskimi i wojnę z rodakami uznawała za absurd. Historia jednak ponownie przyspieszyła i latem 1915 r. wojska kajzera opanowały Kurlandię, a rok później zajęto Rygę. W pierwszych miesiącach 1918 r. armia niemiecka okupowała już całe Inflanty.

W trakcie wojny bałtyccy Niemcy ponieśli straszliwe straty, gdyż wycofujący się Rosjanie stosowali taktykę „spalonej ziemi". Nie chcieli dopuścić, by dobrze prosperujące majątki wpadły w ręce zdobywców, ponadto na wschód

eprasa.pl 196ee5bd01

ewakuowano zakłady przemysłowe wraz z ich obsługą, nie przejmując się specjalnie kwestią własności..

Gdy władzę w Rosji zdobyli bolszewicy, w marcu 1918 r. podpisali w Brześciu traktat pokojowy z państwami centralnymi. Inflanty znalazły się w niemieckiej sferze wpływów. W tej sytuacji przedstawiciele Baltendeutschów opracowali plan powołania Zjednoczonego Księstwa Bałtyckiego, które miało obejmować terytorium Inflant i zostać połączone unią personalną z Cesarstwem Niemieckim. Historia jednak ponownie zakpiła z inflanckich baronów, gdyż jesienią w Berlinie wybuchła rewolucja, która zmiotła z tronu Hohenzollernów. Wprawdzie oddziały niemieckie wciąż okupowały zachodnią Rosję, ale wojna była skończona.

Inflanccy Niemcy usiłowali jeszcze ratować, co tylko było możliwe. Na początku listopada 1918 r. proklamowano powstanie Zjednoczonego Księstwa Bałtyckiego z Adolfem Fryderykiem z książęcego rodu z Meklemburgii na tronie. Flaga nowo powstałego państwa przypominała symbole państw skandynawskich, ale nawiązywała również do niemieckiej przeszłości Inflant. Na białym tle widniał bowiem czarny krzyż, co było ewidentnym zapożyczeniem z tradycji zakonu krzyżackiego. Niemiecki dynasta nie zdążył przybyć do swojego księstwa, gdyż Łotysze ogłosili niepodległość, a Estończycy toczyli zwycięskie boje z bolszewikami. W Rosji trwała wojna domowa, a zwycięskie państwa ententy nie zamierzały uznawać żadnego państwa niemieckiego na Inflantach. W tej sytuacji pod koniec listopada Rada Regencyjna zakończyła swoją działalność.

Niedoszły książę bałtycki w pierwszych latach XX stulecia wsławił się jako podróżnik po Afryce, a następnie został ostatnim niemieckim gubernatorem Togo. Raczej dobrze się zapisał w pamięci miejscowej ludności, gdyż zaproszono go nawet na obchody związane z uzyskaniem niepodległości. Był również członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, a po drugiej wojnie światowej prezesem Komitetu Olimpijskiego RFN.

Powstanie niepodległych Łotwy i Estonii zadało ostateczny cios inflanckiemu ziemiaństwu. Nie byli do tego potrzebni bolszewicy – wystarczyła reforma rolna ogłoszona w nowo powstałych państwach. Rozparcelowano wielkie



SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „KRESY PÓŁNOCY”
FRONDA

majątki ziemskie, wprawdzie za odszkodowaniem, ale w praktyce po znacznie zaniżonej cenie. W rękach dotychczasowych właścicieli pozostawiano do 100 ha ziemi, podczas gdy przeciętna posiadłość inflanckich Niemców liczyła ok. 2,5 tys. ha. Zdecydowanie lepiej prosperowali przemysłowcy i handlowcy, jednak liczba Baltendeutschów zmalała o połowę, a zdeklasowani ziemianie emigrowali głównie do Niemiec.

Ostateczny koniec ich historii nastąpił w 1940 r., po opanowaniu Łotwy i Estonii przez Sowietów. Na mocy układu Ribbentrop-Mołotow większość ludności niemieckiej została przesiedlona do Wielkopolski, gdzie przejęła majątki po wygnanych Polakach. Pięć lat później wkroczyła tam Armia Czerwona i Niemcy bałtyccy zostali wygnani na zachód. Dzieje osadnictwa niemieckiego na Inflantach dobiegły końca i nawet ich dialekt obecnie już praktycznie zanikł.

Utracony raj

Niemcy bałtyccy nigdy jednak nie zapomnieli o Inflantach, czego najlepszym dowodem jest film z 2010 r. o polskim tytule „Dzienniki z Poll”. To niezwykły obraz, przedstawiający nostalgię i tęsknoty potomków Baltendeutshów w sposób godny ekranizacji Czechowa lub wczesnego Gorkiego. Akcja rozgrywa się w majątku bałtyckich Niemców w Poll w Estonii. Było lato 1914 r. i do posiadłości przyjechała z Berlina na wakacje 14-letnia licealistka, Oda Schaefer, pochodząca ze starej rodziny Niemców bałtyckich. To właśnie ona miała po latach napisać wspomnienia, którymi zajął się jej cioteczny wnuk Chris Kraus. Na ich podstawie stworzył scenariusz filmu i sam go wyreżyserował, a do tego na potrzeby obrazu wskrzesił praktycznie już wymarły dialekt Niemców bałtyckich.


Adolf Fryderyk, książę Meklemburgii FOT. WIKIPEDIA

Na ekranie nie brakuje dekadenckich typów ludzkich. Na Inflantach czaili się jednak nie liberałowie, ale bolszewicy, których symbolem był zbiegły estoński anarchista poszukiwany przez policję. Główna bohaterka ukrywała go na strychu i oczywiście się w nim zakochała. Przerażenie wzbudzał natomiast ojciec Ody, szalony lekarz, który zajmował się preparowaniem makabrycznych okazów medycznych. To czytelna zapowiedź doktora Mengele i podobnych mu pseudonaukowców z czasów III Rzeszy. Okazał się również zwolennikiem teorii rasowych, mających wykazywać wyższość Germanów nad innymi ludami. Tak na marginesie, Alfred Rosenberg, twórca hitlerowskiej koncepcji o wyższości rasy aryjskiej i zbrodniarz wojenny, również był Niemcem bałtyckim – z Tallina.

Macocha Ody okazała się natomiast zajadłą nacjonalistką i nie ukrywała pogardy dla Rosjan. Zdradzała też męża z zarządcą majątku, ale kochanek był Baltendeutschem, zatem wszystko pozostawało w rodzinie. Być może jednak zaangażowanie zarządcy w romans spowodowało, że posiadłość chyliła się ku upadkowi. Gospodarze majątku i ich sąsiedzi nie widzieli powodu, by zrezygnować z cotygodniowych tłumnych spotkań i spędzania czasu przy muzyce niemieckich kompozytorów.

Film kończy się z chwilą wybuchu wojny, gdy Siering, chcąc zademonstrować swoją lojalność, polecił uraczyć wódką stacjonujące w pobliżu wojsko. Polecenia wydawał w swoim rodzinnym języku, co wzbudziło furię rosyjskiego oficera, wykrzykującego, że niebawem już nie wolno będzie mówić na Inflantach po niemiecku. I miał zupełną rację…

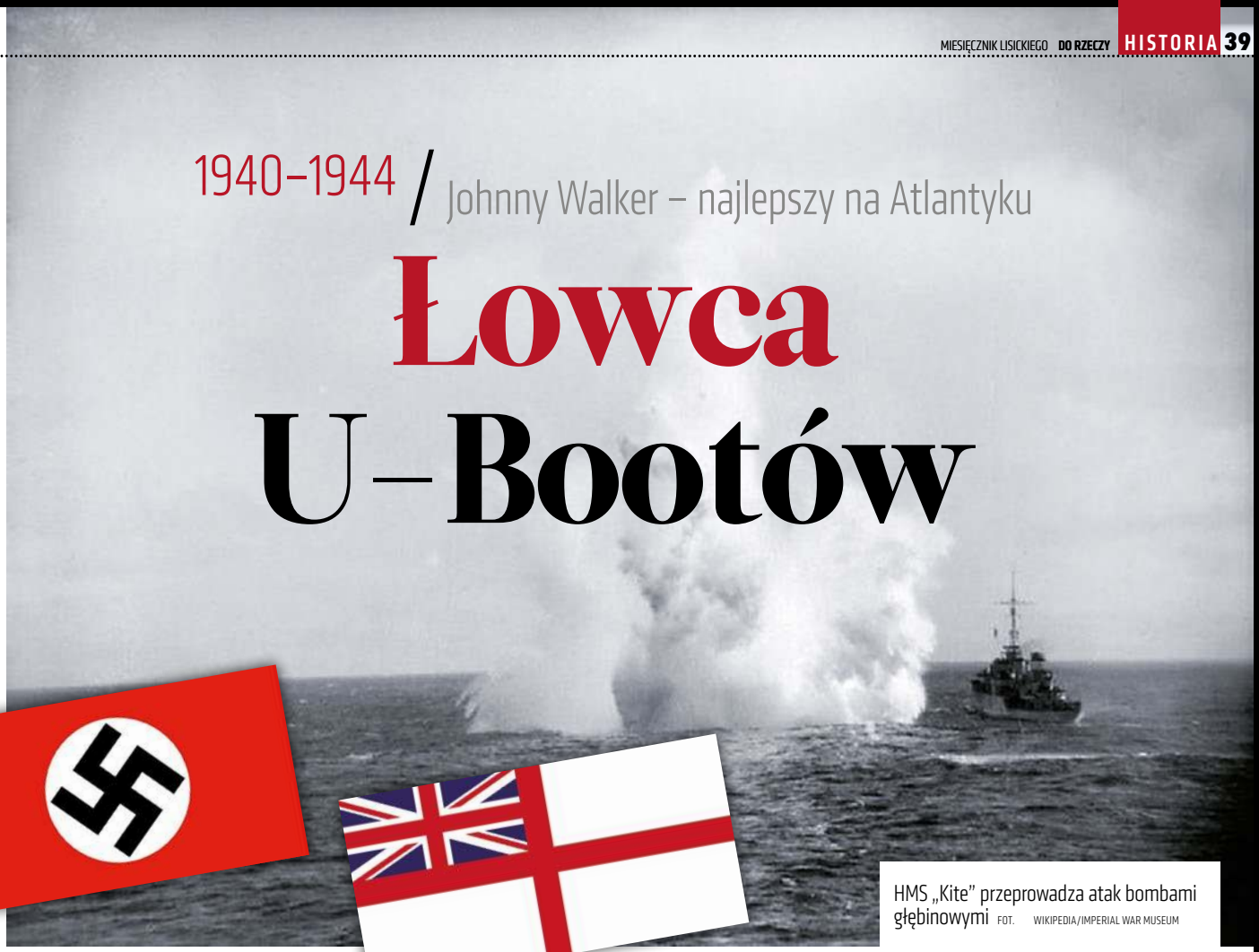
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Semka, „Nostalgia za najdalszymi kresami Niemców”, https://www.rp.pl/plus-minus/art14669741-nostalgia-za-najdalszymi-kresami-niemcow.

eprasa.pl 196ee5bd01

1940–1944 / Johnny Walker – najlepszy na Atlantyku

Łowca U-Bootów



HMS „Kite" przeprowadza atak bombami głębinowymi FOT. WIKIPEDIA/IMPERIAL WAR MUSEUM



Piotr Semka

Jego eskortowce skupiały się na pogoni i niszczeniu U-Bootów, zamiast tylko chronić statki konwoju

Turyści szukający pomnika Beatlesów na dawnym nabrzeżu portowym w Liverpoolu zazwyczaj mijają bez większego zainteresowania niewielki pomnik wilka morskiego z lornetką w ręku. Większość z nich nie wie, że monument uwiecznia kpt. Frederica Johna Walkera, najskuteczniejszego dowódcę brytyjskich okrętów zwalczających niemieckie łodzie podwodne w bitwie o Atlantyk z lat 1939–1944. Tradycja pamięci o bohaterskich zmaganiach o „okrutne morze" powoli blednie w Zjednoczonym Królestwie. A tych, którzy zawdzięczali szczęśliwe dopłynięcie konwojów do celu kapitanowi zwanemu slangowo Johnnym Walkerem, też jest już dziś garstka. Ale jego wojenne wyczyny do dziś pobudzają wyobraźnię historyków morskich zmagań.

Arterie życia

O ile Londyn był symbolem powietrznej bitwy o Anglię, o tyle Liverpool – największy port na angielskim zachodnim wybrzeżu – był centrum dowodzenia konwojami. W 1940 r., po klęsce Norwegii i Francji, niemal cały kontynent został podbity przez Hitlera. Dostawy niezbędne dla przetrwania Wielkiej Brytanii z USA, Kanady, Australii i innych dominiów imperium możliwe były tylko drogą morską. Najważniejsze dla Brytyjczyków były dwa szlaki: jeden przez Atlantyk i drugi na szlaku Gibraltar – Kanał Sueski – Indie. Od ok. 1942 r. doszedł trzeci polarny szlak konwojów – z Wielkiej Brytanii do sowieckiego Murmańska. Na wszystkich tych trasach na statki czyhała niemiecka Kriegsmarine.

Początkowo Brytyjczycy najbardziej obawiali się rajdów dużych liniowców, jak „Admiral Graf Spee". Ale szybko dowódcy Admiralicji zrozumieli, jaki skok wykonali Niemcy w rozbudowie armady okrętów podwodnych. Hitler łącznie podczas wojny skierował do służby 1162 U-Booty. Była to liczba, która nie mieściła się w wyobraźni większości wyższych dowódców brytyjskiej marynarki. Dla porównania: w czasie pierwszej wojny światowej Niemcy kajzerowskie rozpoczynały wojnę z 10 U-Bootami, a w 1917 r. miały ich 140.

Teraz konwoje Albionu stanęły wobec ataków setek jednostek podwodnych zgrupowanych w siedem flotylli. Po 1940 r. U-Booty operowały z baz francuskich w Breście, Lorient i St Pallice koło La Rochelle oraz z baz w Norwegii. Na dodatek z Kriegsmarine sprawnie

eprasa.pl 196ee5bd01

współdziałały grupy samolotów rozpoznawczych Luftwaffe, z których niektóre – jak np. Focke Wulf Fw-200 „Condor" – dysponowały imponującym zasięgiem 3650 km.

Koszmarem dla konwojów stała się taktyka „wilczych stad", które dzięki łączności radiowej i korzystaniu z efektów obserwacji lotniczej mogły osaczać konwoje dużymi grupami. Niemcy postawili na długie rejsy podmorskich rabusiów. Aby okręty nie musiały wracać z Atlantyku do francuskich i norweskich baz, paliwo na różne zakątki Atlantyku przywoziły im tzw. Milchkueche – mleczne krowy – czyli specjalne U-Booty zajmujące się dostawą paliwa, amunicji i prowiantu.

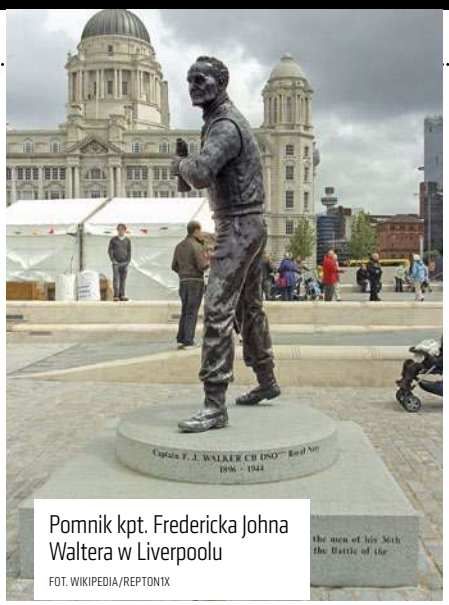
Skala strat, które zaczęli ponosić Brytyjczycy w tonażu konwojów od września 1940 r. – momentu wprowadzenia niemieckiej taktyki „wilczych stad" – zadziała na Admiralicję jak zimny prysznic. Wielka Brytania musiała podjąć szybką i skuteczną walkę z U-Bootami. W przeciwnym razie egzystencji wysp groziła katastrofa.

Premier Winston Churchill po raz pierwszy użył określenia „bitwa o Atlantyk" w przemówieniu z lutego 1941 r. Uznał to pole zmagań z III Rzeszą za najważniejszy front wojny. Na gwałt trzeba było znaleźć wojowników do walki z tym zagrożeniem. Kogoś, kto znajdzie nowe sposoby na unieszkodliwienie „wilczych stad".

Na pierwszej linii

W lutym 1941 r. centrum planistyczne konwojów na rozkaz Churchilla przeniesiono z Pribouth w południowej Anglii do Liverpoolu na zachodzie kraju, głównego celu konwojów. Organizacją morskich przepraw zajął się wyspecjalizowany sztab Western Approached Command (WAC), czyli dowództwo zachodniej drogi dostaw, centrum logistyczne marynarki brytyjskiej. Nadzorowało ono poszczególne konwoje i koordynowało współpracę okrętów ochrony z lotnictwem. Najgorszym odcinkiem na Atlantyku była tzw. czarna otchłań „black pitch", czyli obszar, gdzie konwojom nie mogły pomóc samoloty – czy to amerykańskie, czy brytyjskie – i konwoje zdane były tylko na siebie.

Ktoś w końcu w dowództwie WAC przypomniał sobie o kpt. Fryderyku



Pomnik kpt. Fredericka Johna Waltera w Liverpoolu

FOT. WIKIPEDIA/REPTON1X

Johnie Walkerze, który już w 1944 r. podjął badania nad technikami walki z łodziami podwodnymi. Wtedy, sześć lat po pierwszej wojnie światowej, badania te nie były priorytetem marynarki. Uznano, że traktat wersalski skutecznie zakazał Niemcom posiadania U-Bootów i sprawa została rozwiązania środkami politycznymi. Na dodatek w Wielkiej Brytanii w okresie międzywojennym kolejne rządy cięły budżety dla marynarki i pieniędzy na nowe badania nigdy nie było zbyt wiele. Kapitan Walker, jako pionier badań nad wojną, z podmorskim wrogiem wywojował tyle, że uzyskał nominację na dowodzenie dwoma kolejnymi eksperymentalnymi okrętami do zwalczania łodzi podwodnych.

Najpierw był to HMS „Shikari", a potem HMS „Falmouth". Ale działania Walkera nie znalazły specjalnie silnych protektorów. Był pomijany w kolejnych nominacjach na dowódców jednostek liniowych i w 1939 r. wyraźnie znalazł się na bocznym torze. Urodzony w 1896 r. komandor miał już 43 lata i planowano jego przedterminowe przeniesienie w stan spoczynku. Skąd ten stosunkowo szybki schyłek kariery? Nie jest to jasne. Mógł mieć wrogów w dowództwie. Na dodatek protestanccy bigoci za plecami Walkera krzywili się na fakt, że jego syn przeszedł na katolicyzm i studiował w watykańskim Collegium Britannicum. Jednak szybkie i dramatycznie skuteczne postępy Hitlera zmusiły Admiralicję do zaangażowania wszystkich sił do walki.

W czerwcu 1940 r. Walker zabłysnął, gdy skierowano go do uczestnictwa w operacji „Dynamo", wielkiej morskiej ewakuacji z Dunkierki blisko 330 tys. żołnierzy Jego Królewskiej Mości. Za swoje zasługi został z superlatywami wymieniony w raportach. W 1941 r. straty spowodowane przez U-Booty były już tak dotkliwe, że zaczęto uważnie przeglądać teczki wszystkich oficerów, którzy zetknęli się z zagadnieniem walki z okrętami podwodnymi. Walker zaczął być coraz częstszym gościem w „Lochu" („The Dungeon"), jak nazywano sztab operacji atlantyckich w podziemiach solidnego biurowca Derby House niedaleko liverpoolskiego ratusza.

Sytuacje kryzysowe premiują ludzi czynu. Walker szybko więc znalazł wspólny język z szefem WAC – adm. Maxem Hortonem. W grudniu 1941 r. Walker po wielu latach oczekiwania otrzymuje wreszcie dowództwo na pierwszej linii. Pod jego komendę przechodzi 36. Grupa Eskortowa, którą kieruje z eskortowca HMS „Stork". Ten typ statków w nomenklaturze brytyjskiej nazywany jest sloop. We flocie francuskiej zwany był awizo, a w Polsce po prostu eskortowcem. Grupa Walkera składała się z dwóch sloopów i sześciu korwet, a służyła do eskortowania konwojów do i z Gibraltaru. W grudniu 1941 r. „wyżły" Walkera miały za zadanie bronić konwój HG76 złożony z 32 statków. W czasie przeprawy udało się zatopić pięć U-Bootów, z tego cztery zatopienia były dziełem grupy Walkera.

Szczególnie cenną zdobyczą był niemiecki okręt podwodny U-574, który posiadał będące nowością techniki głębokiego zanurzenia. Owe cudo niemieckiej techniki zostało staranowane przez statek Walkera HMS „Stork" 19 grudnia 1941 r. Konwój stracił jedynie jeden eskortowiec Audacity, jeden niszczyciel Stanley i tylko dwa statki handlowe. Na tle innych konwojów, gdzie straty sięgały niekiedy połowę tonażu, był to bardzo dobry wynik. Historycy uważają, że było to pierwsze zwycięstwo Brytyjczyków w bitwie o Atlantyk.

Nic dziwnego, że Walker otrzymał za nie 6 stycznia 1942 r. wysokie odznaczenie Distinguished Service Order. Jak głosił wniosek orderowy, odznaczenie nadano za „pełne oddania, wymagające najwyższych umiejętności i determinacji eskortowanie cennego konwoju w obliczu wytężonych ataków wroga, w trakcie których zatopiono trzy wrogie łodzie podwodne i dwa samoloty wroga zostały zestrzelone". W ciągu kolejnych miesięcy grupa Walkera zatopiła trzy dalsze U-Booty. Walker otrzymał za to

eprasa.pl 196ee5bd01

dodatkową belkę do swego orderu DSO w lutym 1942 r.

Kłopoty ze zdrowiem

Jak groźne memento pojawiły się w połowie 1942 r. pierwsze oznaki kryzysu zdrowia Walkera. Po otrzymaniu nominacji na kapitana okrętu klasy D otrzymał on długi urlop na odbudowanie zdrowia. Ale ten urlop zdrowotny nie mógł trwać długo, gdyż wojna z U-Bootami trwała wciąż w wyjątkowo ostrej fazie. W 1943 r. Walker zostaje dowódcą drugiej grupy wsparcia, składającej się z sześciu eskortowców. Walker dowodził z pokładu HMS „Starling" należącego do nowej klasy eskortowców Black Swan. Te statki – naładowane najnowocześniejszą elektroniką, które skonstruowano na potrzeby wczesnego wykrywania obecności U-Bootów – stały się dla Walkera idealnym narzędziem do nowej taktyki chronienia konwojów.

Walker zasugerował głównodowodzącemu WAC Maxowi Hartonowi nowe rozwiązanie. Okręty konwojowe miały bardziej skupić się na pogoni i niszczeniu U-Bootów niż na tradycyjnej ochronie statków. Krótko mówiąc, Walker proponował, by w określonych sytuacjach część eskortowców ruszyła za uciekającym U-Bootem i zostawiała na jakiś czas konwój. W czerwcu 1943 r. zatopił dwa U-Booty. Pierwszy (U-202) został zniszczony 2 czerwca poprzez ostrzał z artylerii pokładowej, a drugi (U-119) zniszczony został 24 czerwca wypróbowaną już przez Walkera taktyką taranowania. Tego samego dnia grupa bojowa Walkera zniszczyła U-Boot (U-449).

Jeszcze cenniejsza była zdobycz 30 lipca, kiedy to grupa Walkera zmusiła do wynurzenia na powierzchnię trzy U-Booty w Zatoce Biskajskiej. Dla Anglików bardzo ważna była możliwość odholowania do brytyjskich portów dwóch U-Bootów typu XIV, czyli tzw. mlecznych krów. Kolejne sukcesy Walkera to zatopione U-462, U-504 i wreszcie U-461, które zatopiła australijska łódź latająca Short Sunderland, współpracująca z grupą bojową Walkera. Dowódca szybko stał się legendą i nadzieją dla dowódców statków handlowych, którzy uczestniczyli w konwojach. Walker miewał też swoje ekscentryczne pomysły – gdy jego okręt wracał do bazy, sygnalizował udane łowy wygrywaniem melodii myśliwskiej „A hunting we will go".

Przegrany wyścig

W sierpniu 1943 r. satysfakcję z wielu kolejnych udanych operacji przyćmiła gorzka informacja o śmierci jego syna Timothy'ego Walkera, który zaginął wraz z łodzią podwodną HMS „Parthian" na Morzu Śródziemnym. We wrześniu 1943 r. Walker otrzymał kolejne odznaczenie za sukcesy w walce z U-Bootami – Companion of the Order of the Bath. Listopad 1943 r. przyniósł zatopienie dwóch U-Bootów: U-226 i U-842. Na początku 1944 r. grupa bojowa Walkera znów udowadnia swoją niewiarygodną skuteczność, likwidując sześć niemieckich okrętów podwodnych w czasie jednego patrolu. To pasmo sukcesów przerywa storpedowanie jednego z okrętów Walkera – HMS „Woockpeckera" – ale wszyscy członkowie załogi zostali uratowani. Gdy uratowana w komplecie załoga powróciła do Liverpoolu, przywitał ją pierwszy lord Admiralicji, a na Walkera czekała kolejna, druga belka do orderu DSO.

Od 1944 r. niemiecka machina wojenna wyraźnie zaczyna się zacinać. Konwoje zyskują coraz silniejszą ochronę także dzięki wkładowi okrętów amerykańskich US Navy. Nie zmienia to tempa, w jakim Walker likwiduje kolejne niemieckie łodzie. 29 marca 1944 r. jego okręt HMS „Starling", ochraniając konwój do sowieckiego Murmańska, likwiduje kolejno łodzie U-961, U-360 i U-288. W uznaniu wielkich zasług w walce z niemiecką bronią podwodną Walker otrzymuje zadanie zabezpieczenia lądowania w Normandii przed atakiem U-Bootów. Akcja udaje się w zupełności. Przez dwa tygodnie kursowania setek jednostek między Wielką Brytanią a wybrzeżem w Normandii nie udaje się żaden atak torpedowy na flotę inwazyjną. Za ten ogromny sukces Walker otrzymuje trzecią belkę do swojego orderu DSO.

O ile jednak Walker był zawsze zwycięski w rywalizacji z niemieckim wrogiem, o tyle nie był w stanie oszukać własnego zdrowia. Nasilała się niezwykle groźna choroba celebral thrombosis – czyli zakrzepica żył mózgowych. Atak choroby nastąpił 7 lipca 1944 r. i bohater wojny o Atlantyk zmarł dwa dni później w szpitalu marynarki Seaforth w wieku 48 lat. Jego śmierć wiązano z przepracowaniem i wyczerpaniem. Walkerowi wyprawiono wspaniały pogrzeb w katedrze liverpoolskiej, z pełnymi honorami marynarki wojennej oraz udziałem tysiąca ludzi. Trumna dowódcy wieziona na lawecie armaty przejechała przez główne ulice Liverpoolu, po czym została złożona na pokładzie niszczyciela HMS „Hesperus", z którego jego trumnę oddano morzu.

Łącznie Walkerowi przypisano w pełni sprawdzone zatopienie 17 łodzi podwodnych. Być może było ich więcej, ale w wielu wypadkach nie dało się całkowicie stwierdzić likwidacji U-Boota. W 1998 r. liverpoolski rzeźbiarz Tom Murphy wykonał rzeźbę kpt. Walkera, którą umieszczono obok pomnika ofiar marynarki wojennej. Dzwon z macierzystego okrętu Walkera – HMS „Starling" – został przekazany do ratusza miasta Bootle w październiku 1964 r.



Kapitan Frederick John Walker

FOT. WIKIPEDIA/IMPERIAL WAR MUSEUM

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01

1981 r. / Czy wypadek ujawnił misję szpiegowską?

Tajemnica okrętu S-363



Sowiecki okręt podwodny S-363 na mieliźnie

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 196ee5bd01



Jakub Ostromęcki

Rybacka sieć i polodowcowe dno uziemiły sowiecki okręt podwodny u wybrzeży Szwecji

Do 28 października 1981 r. mieszkający nieopodal Karlskrony szwedzki rybak Bertil Svensson wiódł dość spokojne życie. Tego dnia rano popłynął, jak zwykle, ku otaczającym miasto wyspom, aby sprawdzić sieci. Najpierw zaniepokoiła go plama oleju. O tej porze nikt przecież nie pływał tu statkami z napędem spalinowym. Zaczął krążyć wokół małych wysepek, aż zamarł ze zdziwienia. W jednej z cieśnin stał w pełnym wynurzeniu okręt podwodny. Był przechylony na jedną burtę – widać było od razu, że wpadł na mieliznę. W kiosku okrętu stali jacyś mundurowi. W pacyfistycznej Szwecji żołnierze z reguły machają do rybaków, ci jednakowoż wymierzyli w niego karabiny automatyczne.

Svensson był pierwszym Szwedem, który natknął się na sowiecki okręt podwodny S-363, który uległ wypadkowi w zamkniętej dla obcych jednostek strefie wokół szwedzkiej bazy marynarki wojennej w Karlskronie. Nie świadczyło to dobrze o szwedzkim systemie ostrzegania. Dopiero po kilku godzinach wokół zaklinowanej maszyny zaroiło się od szwedzkich okrętów. Jak na kraj demokratyczny przystało, na osobnym statku przybył też tłum reporterów.

Wypadek S-363 przeszedł do historii jako „Whiskey on the Rocks". Whiskey dlatego, że to NATO-wska nazwa okrętów Projektu 613, a reszta powiedzonka nawiązuje oczywiście do słynnego drinka, gdzie szlachetny rudy trunek, zamiast na prawdziwych skałach, rozlewa się po kostkach lodu. Owo wydarzenie – a w zasadzie sowieckie próby odbicia okrętu – zmieniło postrzeganie Sowietów w Szwecji. Pchnęło też Sztokholm ku cichej współpracy militarnej z NATO. Jak wiemy dziś, z powodu rosyjskiej agresji na Ukrainę, a także słanych z Kremla gróźb, Szwecja do NATO podążyła już z otwartymi ramionami. Z tej okazji warto przypomnieć perypetie związane z nieszczęsnym okrętem sprzed ponad 40 lat.

Sowiecki pech

S-363 nie pływał pod swoją prawdziwą nazwą. Na burcie widniało enigmatyczne „137", stąd pierwsze szwedzkie raporty opisywały okręt jako „U 137". Była to dość stara konstrukcja, oparta w dużej mierze na niemieckich pomysłach z drugiej wojny światowej. 16 września S-363 wypłynął w rutynowy – jak do dziś podtrzymuje się w Rosji – rejs. Dowodził kpt. Anatolij Guszczin, ale jego zwierzchnicy z Floty Bałtyckiej z jakiegoś powodu przydzielili mu szefa sztabu 157. Brygady Okrętów Podwodnych kmdr. Josifa Awrukiewicza. Tak wysokie szarże nie meldują się na okrętach podwodnych bez powodu. Pamiętajmy, że grupa czterech okrętów, która w 1962 r. miała przerwać blokadę Kuby, też miała na pokładzie szefa sztabu brygady.



Wszystko zaczęło się kilka dni przed feralnym 27 października. Płynąc przez Bałtyk, gdzieś w okolicach Ławicy Słupskiej, okręt zahaczył o rybacki włok. Sieć uszkodziła antenę radionamiernika – czyli jednego z podstawowych urządzeń nawigacyjnych, które służą do określania położenia okrętu na podstawie sygnałów nadawanych przez cywilne urządzenia na linii brzegowej. Antenę ową marynarze próbowali naprawić w wasalnym Świnoujściu. Bez efektu. Okręt wyruszył mimo to w dalszy rejs. Nocą z 27 na 28 października przez kadłub przeszedł potężny chrobot, a załoga poczuła gwałtowne szarpnięcie. S-363 płynął wtedy w wynurzeniu, toteż stojący na szczycie kiosku oficerowie zostali niemalże wyrzuceni za burtę.

Okręt osiadł na kamiennej mieliźnie, pochylony na jedną burtę o 15 stopni. Kapitan natychmiast kazał omieść morze reflektorem, ale w ciemności i parszywej – jak zwykle o tej poprze roku – pogodzie nic szczególnego nie dało się zauważyć. Przez całą noc marynarze próbowali uwolnić okręt ze skał. Silnik Diesla wył na najwyższych obrotach, ale wszystko na nic. O świcie wachtowi zamarli ze zdziwienia. S-363 tkwił bowiem w cieśninie ograniczonej płaskimi, skalistymi wysepkami. Był, jak się potem okazało, w cieśninie Gåsefjärden, niedaleko bazy szwedzkiej marynarki wojennej w Karlskronie. Za pośrednictwem sowieckiego samolotu patrolującego Bałtyk nawiązano więc łączność z dowództwem floty w Kaliningradzie. Nie była to miła rozmowa.

Do dziś nie da się przesądzić, czy S-363 prowadził misję szpiegowską czy też jego wypadek był skutkiem niesamowitego zbiegu okoliczności. Za tą pierwszą ewentualnością przemawia to, że do wąskiego Gåsefjärden nie da się dostać przypadkiem. Co więcej, nawet początkujący żeglarz byłby w stanie określić, choćby za pomocą gwiazd, czy znajduje się na środku Bałtyku czy też u wybrzeży Szwecji. Szwedzi twierdzą też, że w czasie inspekcji, którą przeprowadzili na S-363, Sowieci pokazali im najpierw szcze-

eprasa.pl 196ee5bd01



Inne ujęcie unieruchomionego S-363
FOT. JAN COLLSIÖÖ/TT/SCANPIX/FORUM

gółową mapę szwedzkiego wybrzeża, po czym w panice zamienili na mniej dokładną, chcąc wykazać, jak mało wiedzieli o terenie, na którym się znaleźli. W czasie przesłuchania oficerowie podawali tez różne współrzędne, w których miał znajdować się według nich okręt.

Za błędem nawigacyjnym przemawia z kolei to, że w momencie uderzenia o dno okręt płynął w wynurzeniu – nie robi się takich rzeczy w czasie misji szpiegowskich. Sowieci, ale też współcześni Rosjanie są gotowi z własnych konstruktorów zrobić skończonych partaczy, a z marynarzy dyletantów, aby tylko wykazać, że nie była to misja szpiegowska. Wiele lat po incydencie oficjalną wersję zdarzeń popierali Michaił Lerner, zastępca głównego inżyniera zakładu konstruującego S-363, oraz oficer polityczny okrętu Wasilij Besedin, który opublikował swoje wspomnienia w 2009 r. Według nich zderzenie z włokiem miało dopiero zapoczątkować serię usterek na okręcie. Wkrótce zawodzić miały nie tylko urządzenia radiolokacyjne, lecz także echosonda. Winę za wejście na mieliznę zrzucono w konsekwencji na nawigatora, który miał być podobno tak niedouczony, że nie potrafił czytać położenia okrętu z gwiazd i używać sekstansu. Nie bez winy miał być też kapitan, który nie reagował na to, że nagle z horyzontu zaczęły znikać statki rybackie, a pojawiło się więcej kontenerowców, co mogło świadczyć o zbliżaniu się do większego portu. Jeden z operatorów meldował, że okręt płynie wprost na szwedzki radar przybrzeżny – został za to zrugany przez kapitana, a nawigator skorygował posłusznie namiar, tak aby wyszło, iż okręt znajduje się na pełnym morzu. W nocy zaś skraj szwedzkiego szkieru kapitan miał wziąć za… rozlane paliwo.

O krok od wojny

Wróćmy jednak do nocy z 27 na 28 października. Około godz. 11 obok unieruchomionego okrętu pojawił się patrolowiec Smyge, z szefem sztabu bazy w Karlskronie, kmdr. Karlem Andessonem na pokładzie. Szwedzki oficer zapytał, z kim ma przyjemność. Po angielsku nikt na sowieckim pokładzie nie mówił. Andersson zapytał więc po niemiecku i wtedy odezwał się Awrukiewicz, informując, że okręt znalazł się tu przez przypadek na skutek błędu nawigacyjnego. Wkrótce też Sowieci za pośrednictwem swojej ambasady zaproponowali Szwedom, że sami usuną okręt z ich wód. Szwedzi nie chcieli o tym słyszeć. Mimo to z Kaliningradu wypłynęła wydzielona grupa operacyjna, złożona z dwóch niszczycieli, kilku fregat, holowników, okrętu ratowniczego, która miała przejąć okręt siłą. W pogotowiu była też 561. Jednostka Zwiadu Morskiego, czyli, mówiąc potocznie, morski specnaz. Jego dowódca Gienadij Zacharow wspominał: „Zadanie polegało na zmuszeniu szwedzkiej załogi do wyciągnięcia naszej łodzi z mielizny i odholowania jej na neutralne wody. Jeśli odmówiliby, to mieliśmy ze sobą własnych specjalistów od kierowania tego typu statkami”.

Szwedzki premier Thorbjorn Feldin wydał polecenie szefowi tamtejszego MON Lenartowi Ljungowi: „Utrzymać granicę!”. W armii wstrzymano urlopy, a jednostki obrony wybrzeża były od tej pory w pełnej gotowości bojowej. Radary artylerii nadbrzeżnej zaczęły zmieniać częstotliwości pracy, dając w ten sposób Sowietom znać o gotowości do walki. Artyleria nadbrzeżna oddała kilka salw w kierunku, z którego nadpływali Sowieci. Na archipelagu wylądowali szwedzcy rangersi. Ich dowódca Thorbjorn Elming wspominał: „Przez głośniki mieliśmy wezwać załogę, aby opuściła łódź i nie stawiała oporu. W przypadku odmowy mieliśmy działać z użyciem broni. Oficer polityczny Besedin prawie zawsze tkwił na kiosku. Znajdował się na muszce snajpera w odległości 78 metrów. Nie miałby czasu wydać rozkazu wysadzenia okrętu – snajper usunąłby go wcześniej”. Po raz pierwszy od 150 lat Szwedzi i Rosjanie stanęli przeciwko sobie gotowi do walki.

Był 29 października. Sowieci zatrzymali swoje okręty kilkaset metrów od granicy szwedzkich wód terytorialnych. Z wyjątkiem jednego holownika, który samopas wdarł się na szwedzkie wody. Przeciwko niemu wyruszył szwedzki okręt podwodny „Neptun”, którego jedyną bronią były torpedy. Szwedzi, nie chcąc w tym momencie oddawać salw i eskalować napięcia, zaczęli jedynie ścigać sowiecką jednostkę. Holowniki są małymi statkami o potężnych silnikach, toteż sowiecki statek szybko umknął Szwedom na pełny Bałtyk. W odpowiedzi „Neptun” przepłynął w zanurzeniu

eprasa.pl 196ee5bd01

przez środek sowieckiego zgrupowania, ostentacyjnie omiatając je aktywnym sygnałem sonaru. Techniki tej używa się zwykle na chwilę przed odpaleniem torped. Gonitwy te trwały do świtu 30 października. Żeby zniechęcić kolejnych intruzów, szwedzki lodołamacz zablokował cieśninę, gdzie tkwił S-363.

Problem rozwiązany

Tymczasem w Gåsefjärden Szwedzi zadawali sobie pytanie, czy na pokładzie S-363 jest broń jądrowa. Wieczorem 30 października do unieruchomionego okrętu podpłynął zatem niepozorny statek rybacki, na pokładzie którego znajdowali się pracownicy Szwedzkiego Narodowego Instytutu Obrony. Krążąc wokół unieruchomionego kadłuba, zmierzyli jego promieniowanie. Wykryto ślad izotopu uranu, który choć sam nieszkodliwy, używany był jako element konstrukcyjny głowic atomowych. W istocie w przedniej komorze S-363 przewoził torpedy z głowicami atomowymi. Nie chodziło teraz o to, czy unieruchomiony okręt jest w stanie zagrozić szwedzkiej flocie – tego zrobić oczywiście nie mógł. Szwedzi niepokoili się jednak, co się stanie, jeśli załoga, ratując „honor floty sowieckiej", zdecyduje się wysadzić własny okręt, aby nie wpadł w ręce wroga.

O tym, że taki scenariusz był rozważany, informował po latach politruk Besedin. „Cała załoga by zginęła […], łódź zostałaby rozerwana na kawałki. Wybuch uszkodziłby również szwedzkie statki". Innego zdania był oficer sztabu generalnego marynarki Władimir Wazow, który twierdził, że 20 granatów na okręcie mogło zniszczyć jego wyposażenie, w tym tajne systemy do szyfrowania i łączności, ale nie rozerwać go od środka. Eksplozja ta, wedle Wazowa, nie mogła również zniszczyć głowic nuklearnych, co najwyżej zniszczyć same torpedy.

30 października Szwedzi zaproponowali Sowietom: „Przepraszacie za najście, akcję ratowniczą przeprowadzamy my, płacicie za nią i pozwalacie na przesłuchanie kapitana i inspekcję okrętu". Moskwa zgodziła się na trzy pierwsze warunki. Widząc twarde stanowisko Szwedów, zgodzono się też i na ostatni – z tym że w przesłuchaniu mieli uczestniczyć przedstawiciele ambasady sowieckiej; w rzeczywistości byli to funkcjonariusze wywiadu.

Guszczin oraz Besedin przesłuchani zostali na pokładzie jednego ze szwedzkich okrętów 2 listopada. Wpłynięcie na kręty i najeżony podwodnym skałami szlak sowieccy podwodniacy tłumaczyli… niebywałym szczęściem. To fortuna również kazała okrętowi wynurzyć się na głębokość peryskopową na kilka minut przed podwodnym skałami, w które niechybnie by uderzył. Szwedzi nie dali oczywiście wiary wyjaśnieniom. „Jak mogliście pobłądzić w kałuży takiej jak Bałtyk? Wszyscy sowieccy marynarze z tego słyną?" – zaczął kpić Andersson. „Protestuję przeciwko obrażaniu honoru sowieckiego oficera!" – odezwał się wtedy attaché marynarki Jurij Proswirnin. Tu mała dygresja. Jeśli wierzyć wspomnieniom Edmonda Pope'a, to attaché US Navy w Szwecji Proswirin miał był figurą skrajnie arogancką i oschłą. Miał być wściekły na to, że oficerowie US Navy mieli do Szwedów dużo łatwiejszy dostęp – co akurat było prawdą. Pół roku po incydencie z S-363, podczas zimowej wycieczki zorganizowanej dla attaché marynarki akredytowanych w Szwecji, amerykański oficer zrobił swojemu sowieckiemu koledze głupi żart, kradnąc mu kijek narciarski, podczas gdy Proswirin leżał w śniegu po jakiejś nieudanej ewolucji. Kijek ten rzekomo wciąż wisi na ścianie w domu Pope'a. Kilkadziesiąt lat później to Rosjanie wykręcili Amerykaninowi psikusa – w 2000 r. został aresztowany w Moskwie pod zarzutem szpiegostwa i skazany na 20 lat więzienia. Ułaskawił go po kilku miesiącach świeżo upieczony prezydent Władimir Putin.

Wróćmy do roku 1981 r. 4 listopada szwedzcy marynarze przeszukali zaś okręt – do przedziału torpedowego ich jednak nie wpuszczono. Inspekcja niewiele dała, poza potwierdzeniem faktu, że radionamiernik rzeczywiście był zniszczony, a w dzienniku okrętowym i na mapach zaznaczono kompletnie różne pozycje okrętu. Szwedzi zostali więc przy swoim stanowisku, Sowieci zaś przy swoim. Ostatecznie z powodu sztormu okręt wyprowadzono na pełne morze dopiero 6 listopada, gdzie przejęli go Sowieci. Szef sztabu brygady, kapitan okrętu i nawigator zostali karnie przeniesieni do innych jednostek. W toku śledztwa dostało się też lotnictwu morskiemu, które w czasie incydentu było kompletnie nieobecne i nie koordynowało swoich działań z flotą. Było to zatem niedołęstwo podobne do tego, o którym mówiło się na początku rosyjskiego ataku na Ukrainę.

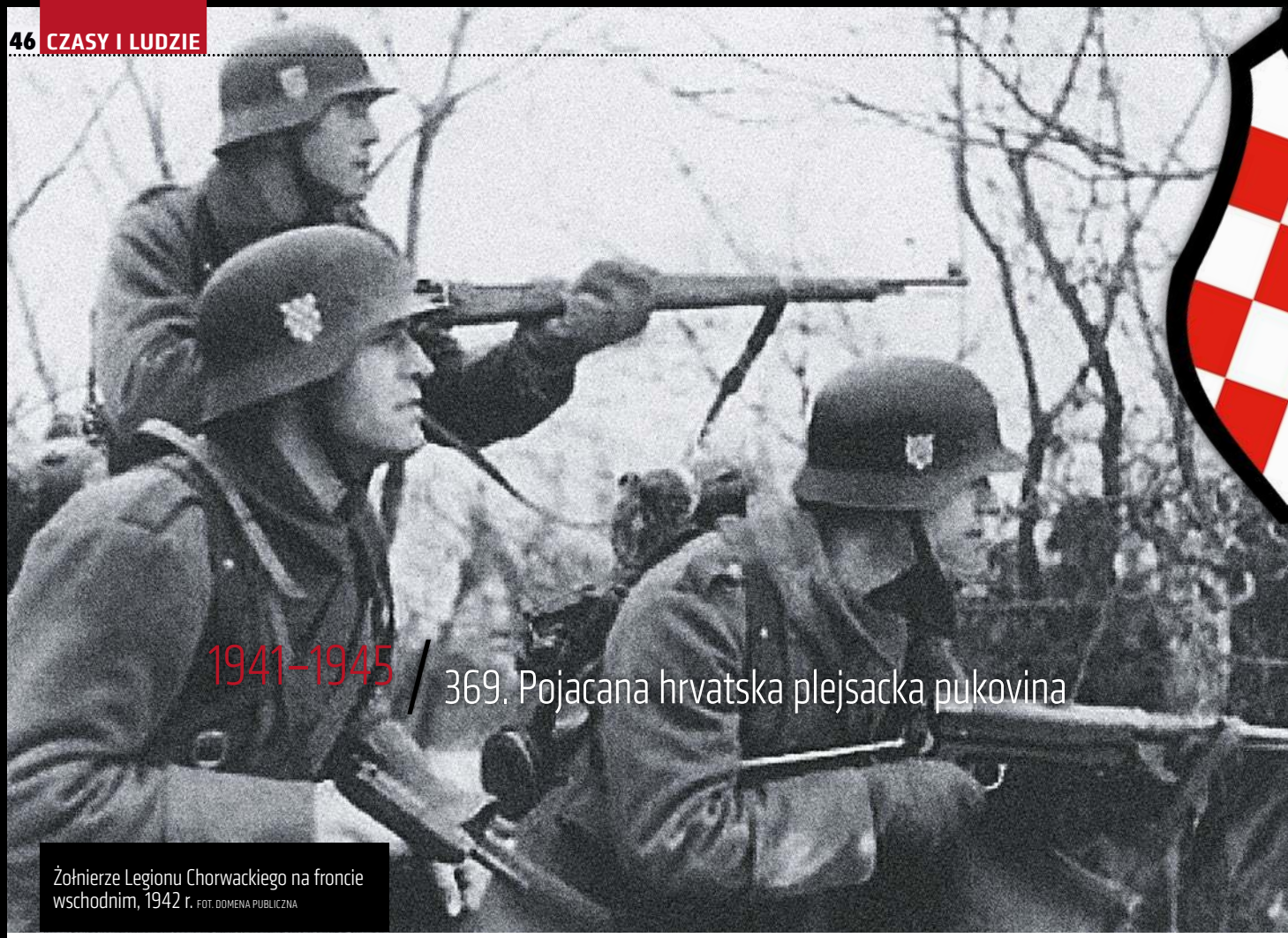
***

W latach 80. S-363 nie był jedynym obcym okrętem penetrującym szwedzkie wody terytorialne. Po incydencie pojawiły się tam prawdziwe ławice. Kilka z nich miało wpłynąć do samego Sztokholmu. „Sowieckie okręty kilkaset metrów od pałacu królewskiego!" – grzmiały szwedzkie gazety. Intruzi nie pochodzili jednak z Sowietów, lecz z krajów NATO – głównie z USA, Wielkiej Brytanii i Włoch. Jaki był cel tych misji? Dokładna odpowiedź tkwi wciąż w otchłaniach szwedzkich i NATO-wskich archiwów wywiadowczych, ale w grę wchodzą dwa wytłumaczenia. To pierwsze, bardziej oficjalne, zostało wyłuszczone w wywiadzie, którego Kaspar Weinberger, sekretarz obrony USA w latach 80., udzielił 7 marca 2000 r. programowi drugieu szwedzkiej telewizji. Według niego najścia owe miały być efektem cichego porozumienia między marynarką i wywiadem szwedzkim a USA, służąc testowaniu szwedzkiego systemu obrony. Rewelacje te potwierdził w tym samym medium Keith Speed, brytyjski minister do spraw marynarki wojennej.

Inne wytłumaczenie podaje szwedzki badacz tematu Ola Tunander. Daje się ono streścić tajemniczym skrótem PSYOPS. Jest to termin oznaczający wojskowe operacje wywiadowcze, mające na celu sterowanie opinią publiczną w danym państwie. W tym akurat przypadku podszywające się pod ZSRS zachodnie okręty miały wywołać u przeciętnego Szweda wrażenie, że Sowieci zagrażają jego bezpieczeństwu, i skłonić go do większych wydatków na zbrojenia. W 1976 r. tylko 6 proc. Szwedów uznawało ZSRS za bezpośrednie zagrożenie. Po incydencie z S-363 odsetek ten wzrósł do 34 proc., a w połowie lat 80., po tajemniczych wizytach okrętów podwodnych – do 42 proc. Jeśli przyjąć odkrycia Tunandera za dobrą monetę, to tajne operacje NATO okazały się sukcesem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01



1941–1945 / 369. Pojacana hrvatska plejsacka pukovina

Żołnierze Legionu Chorwackiego na froncie wschodnim, 1942 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Chorwaci w sortach Wehrmachtu



Arkadiusz Karbowiak

Straty wiernych Paveliciowi i Hitlerowi legionistów chorwackich na froncie wschodnim wyniosły 886 poległych oraz 935 zaginionych

Dzień po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej przywódca (poglavnik) Niepodległego Państwa Chorwackiego (NDH – Nezavisna Država Hrvatska) Ante Pavelić spotkał się z niemieckim Pełnomocnikiem Generalnym w Chorwacji (Bevollmächtiger Deutscher General in Kroatien), gen. Edmundem Glaise von Horstenau, w celu omówienia spraw związanych z włączeniem swego kraju do antybolszewickiej krucjaty. Generał w trakcie rozmowy zasugerował mu wysłanie w tej sprawie osobistego listu do kanclerza Rzeszy. Pavelić, wychodząc naprzeciw tej sugestii, przedstawił w nim propozycję wysłania na front wschodni chorwackiej jednostki wojskowej. Führer przyjął ofertę lidera ustaszy, dając tym samym zielone światło do realizacji wspomnianej inicjatywy.

Chorwacki koncept zirytował bardzo włoskich sojuszników, uzurpujących sobie prawo do „nadzorowania" wszelkich posunięć politycznych władz NDH. Bez

eprasa.pl 196ee5bd01

wątpienia zwrócenie się Zagrzebia do Niemców w sprawie utworzenia chorwackiego legionu miało na celu zmniejszenie zależności NDH od Królestwa Italii i zwiększenie stopnia suwerenności chorwackiego państwa. Pomimo włoskiego niezadowolenia 2 lipca 1941 r. na falach chorwackiego radia Pavelić wezwał Chorwatów do wstępowania w szeregi Legionu Chorwackiego (Hrvatska Legija). W ciągu zaledwie kilku dni zgłosiło się 5 tys. ochotników, z których 3895 zostało przyjętych.

W ten sposób powstała jednostka nosząca oficjalną nazwę 369. Wzmocniony Chorwacki Pułk Piechoty – Verstärkten (Kroatisches) Infanterie Regimente 369 – (Pojacana hrvatska plejsacka pukovina). W gronie ochotników znaleźli się nie tylko Chorwaci, lecz także bośniaccy muzułmanie. Poza nimi prawo służby w pułku przyznano również Ukraińcom oraz białym Rosjanom. Ponieważ pułk był jednostką Wehrmachtu, chorwaccy wolontariusze otrzymali niemieckie sorty mundurowe. Jedynymi wyróżnikami świadczącymi o przynależności narodowej służących w nim ochotników były tarcza z biało-czerwoną szachownicą, znajdująca się na prawej stronie hełmu, oraz napis „Hrvatska" umieszczony na lewym rękawie kurtki mundurowej.

Dowódcą jednostki mianowano płk. Iwana Markulja, oficera mającego doświadczenie wojskowe wyniesione ze służby w szeregach armii austro-węgierskiej oraz jugosłowiańskiej. Po wojnie zasługi generała (awansowano go na ten stopień w 1942 r.) w swoisty sposób „docenili" komuniści, skazując go na śmierć i mordując w Belgradzie we wrześniu 1945 r.

31 lipca 1941 r. legioniści złożyli uroczystą przysięgę na wierność poglavnikowi i Führerowi. Po przysiędze bałkańscy ochotnicy rozpoczęli proces intensywnego szkolenia i zapoznawania się z niemiecką bronią i taktyką. Miejscem nabywania owych umiejętności był poligon Döllersheim (Truppenübungsplatz Döllersheim) znajdujący się w Dolnej Austrii. Po zakończeniu szkolenia 369. pułk poprzez Węgry i Rumunię przewieziony został do zajętej przez wojska Osi Besarabii. Stamtąd żołnierze rozpoczęli 755-kilometrowy marsz na pierwszą linię frontu. Podczas jego trwania 43 oficerów i podoficerów oraz 114 wolontariuszy ukaranych za różne wykroczenia dyscyplinarnie odesłano do kraju.

Pod Charkowem

9 października 1941 r. Chorwatów włączono do składu dowodzonej przez zmarłego potem w sowieckim łagrze gen. Wernera Sannego, 100. Dywizji Strzelców (100. Jäger-Division) należącej do 17. Armii z Grupy Armii „Południe". Cztery dni później w okolicach Charkowa doszło do nawiązania pierwszego kontaktu bojowego z przeciwnikiem. Żołnierze NDH od razu ujawnili swoje znakomite umiejętności wojskowe. Jednym z wyróżniających się był kpt. Eduard Bakarec – dowódca przemieszczającej się na rowerach 11. kompanii zwiadu, który wraz z kilkoma swoimi podkomendnymi zniszczył w walce sowiecki czołg T-34, za co otrzymał Krzyż Żelazny II klasy. Był pierwszym Chorwatem udekorowanym tym odznaczeniem. Nie udało się mu przeżyć wojny. Choć ewakuowano go z okrążonego przez Sowietów Stalingradu, to zginął w czerwcu 1944 r. podczas walk z komunistyczną partyzantką.



Plakat wzywający Bośniaków do wstępowania do Waffen-SS

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W listopadzie 1941 r. Chorwaci zajęli pozycje obronne nad rzeką Mius. Znaleźli się tam wraz ze Słowakami z Rýchlej Brigády i esesmanami z 5. Dywizji Zmotoryzowanej SS „Wiking". Panujące wówczas na froncie warunki atmosferyczne były nader trudne. Temperatura spadła początkowo do –18 st. C stopni a potem –43 st. C, co dla żołnierzy legionu było poważnym problemem, ponieważ nie posiadali oni wtedy jeszcze odzieży zimowej. W połowie stycznia Chorwatów przerzucono do miejscowości Stalino, gdzie mieli za zadanie ustabilizować linię frontu i zahamować działania ofensywne sowieckiej brygady kawalerii.

Także tutaj ochotnicy spod znaku biało-czerwonej szachownicy stanęli na wysokości zadania. Dokonania bojowe chorwackiego legionu spowodowały, że Niemcy oceniali go jako jeden z najbardziej wartościowych kontyngentów wystawionych przez państwa sojusznicze. Ten fakt zadecydował, że w maju 1942 r. Chorwatów skierowano do ważnej tzw. drugiej bitwy o Charków. Tym razem osiągnięcia militarne pułku zauważyło nawet Naczelne Dowództwo Wehrmachtu (Oberkommando der Wehrmacht), gratulując żołnierzom chorwackim w komunikacie z 31 maja wzięcia do niewoli 5 tys. sowieckich jeńców.

W uznaniu godnej postawy zaprezentowanej na polu walki dowódca legionu oraz siedmiu innych oficerów otrzymali Krzyże Żelazne I klasy. W początkowej fazie operacji „Fall Blau" (ofensywa rozpoczęta w czerwcu 1942 r. na południowym odcinku frontu wschodniego) 369. pułk wziął udział w toczącej się w dniach 25–27 lipca 1942 r. zaciętej bitwie o kołchoz Proletariacka Kultura, leżący w pobliżu miejscowości Seliwanowo. W ogniu toczonych walk poległo 46 Chorwatów, a 176 odniosło rany. O postawie prezentowanej przez chorwackich ochotników mówi jedna z relacji: „Fakt, osobliwi to ci ludzie

eprasa.pl 196ee5bd01

z 369. Zuchwali i zdolni do »każdego haniebnego czynu«, niezastąpieni w zdobywaniu wszystkiego, ale bardzo towarzyscy. Dobrzy w natarciu nawet z pełnym brzuchem, w którym nie brak też wódki. Niezbyt wytrwali w obronie i skłonni do paniki, gdy się atakuje znienacka".

W Stalingradzie

24 września 1942 r. do kwatery – wtedy jeszcze generała pułkownika, a później feldmarszałka – Fridricha Paulusa, znajdującej się w miejscowości Gołubinskaja, przybył, aby spotkać się z żołnierzami, sam Ante Pavelić. Trzy dni później 369. pułk wkroczył na przedmieścia Stalingradu, rozpoczynając swój udział w bitwie o to miasto. Te początki tak zapamiętał dowódca II batalionu kpt. Ivan Čorić: „W nocy z 26 na 27 września rosyjskie samoloty latały bardzo nisko, bombardując teren, na którym był rozlokowany mój batalion... Po zaledwie kilkuset metrach uderzył w nas silny ogień artyleryjski, a moi ludzie zaczęli ginąć, jeden po drugim... Samoloty myśliwskie... bombardowały nas bombami fosforowymi... Many of my men were in flames. Wielu moich ludzi spłonęło... It was a horrible sight... My Battalion, now attached to the 227th Regiment, advanced with great difficulty, taking house by house... I later heard that my men continued to fight heroically until the last man of the 2nd battalion had fallen. To był straszny widok... Mój batalion, teraz wchodzący w skład 227. pułku, z wielkim trudem zajmował dom w domu... moi ludzie walczyli bohatersko, aż ostatni żołnierz z II batalionu nie poległ".

Podobnie moment wkroczenia do miasta Stalina zapamiętał dowódca 3. Kompanii, ppor. Ivo Bukar: „Kiedy weszliśmy do Stalingradu, miasto było zniszczone i stało w płomieniach. Kiedy ukryliśmy się w okopach i bunkrach, wróg obłożył nas ogniem artylerii, rakiet katiusza i bombami lotniczymi. Na szczęście nie straciłem żadnego żołnierza. W drugim plutonie był 1 zabity i pięciu rannych, a w trzecim 13 zabitych i rannych. Około 6.00 rano niemieckie Junkersy zaczęły bombardować obszar położny przed nami, a walki przeniosły się do północnej części miasta. Moim zadaniem było połączyć się z niemiecką jednostką, przeprowadzić zwiad na stacji przeładunkowej, oczyścić teren przy torach kolejowych oraz dotrzeć do Wołgi. W nocy byliśmy ciągle bombardowani... nasze służby transportowe poniosły znaczne straty. Zginęło 10 ludzi, zabito 40 koni i zniszczono ciężarówkę ze sprzętem i amunicją".



Adolf Hitler i Ante Pavelić, szef Niepodległego Państwa Chorwackiego w Berghofie, 1941 r.

FOT. WIKIPEDIA/USHMM

Chorwatów skierowano do walk w kompleksie fabrycznym Czerwony Październik. Tam wspierali działania Niemców. Niezwykłym poświęceniem wykazał się w starciach na terenie fabryki sierżant Dragutin Podobnik, który wraz z 18 podkomendnymi zdobył trzy działa, dwa moździerze, ciężki karabin maszynowy Maxim oraz kilkanaście granatów i pistoletów maszynowych. 16 października gen. W. Sanne udekorował śmiałka oraz dowódcę pułku Krzyżem Żelaznym I klasy. Odznaczenia w postaci Krzyży Żelaznych II klasy otrzymali także dwaj bośniaccy ochotnicy: ppor. Josip Zambata i sierż. Džafer Babović. Coraz cięższe walki w Stalingradzie wyczerpywały siły witalne chorwackiej jednostki. W połowie października liczebność pułku spadła do 983 żołnierzy, czyli do poziomu batalionu. Liczba ta nieco wzrosła po przybyciu posiłków z batalionu szkolno-zapasowego ze Stockerau.

Odcięcie 6. Armii pod Stalingradem w listopadzie 1942 r., do czego doszło w wyniku sowieckiej operacji „Saturn", stało się początkiem zagłady 369. pułku. Okrążonym Chorwatom, podobnie jak Niemcom, zaczęło brakować żywności i amunicji. Chorwaccy żołnierze byli coraz bardziej zmęczeni, głodni i wyczerpani. O ich kondycji fizycznej mówi raport z 10 stycznia 1943 r., sporządzony przez dowódcę legionu płk. Victora Pavicicia: „Muszę powiedzieć, że w okresie od 27 września, kiedy dotarliśmy do Stalingradu, do dziś moi żołnierze mieli tylko cztery dni odpoczynku. W ostatni dzień odpoczynku, 30 grudnia, nie mając wystarczająco dużo czasu na sen po wielu dniach i nocach ciągłej walki, oni nie byli w stanie się umyć i ogolić, bo po raz kolejny zostali skierowani do ataku".

Sam pułkownik, widząc dramat swoich podkomendnych, popadł w depresję i poprosił o ewakuację ze Stalingradu. Generał W. Sanne wyraził zgodę i 21 stycznia 1943 r. dowódca 369. pułku opuścił miasto. Nie dotarł jednak do linii niemieckich, ponieważ samolot, którym leciał, najprawdopodobniej został zestrzelony. W dniu wylotu pułkownika z miasta stany osobowe legionu wynosiły 443 żołnierzy piechoty i 444 artylerzystów. Komendę nad tymi resztkami objął ppłk Marko Mesić. 23 stycznia 1943 r. ostatnich 18 rannych Chorwatów ewakuowano ze Stalingradu. Wśród nich był sierż. Erwin Jurić, który wywiózł do kraju dziennik bojowy jednostki. 31 stycznia 1943 r. broniący się w budynku Akademii Wojsk Lotniczych Chorwaci wraz ze swym dowódcą się poddali.

Podczas walk na froncie wschodnim poległo ich 886, a 935 uznano za zaginionych. Nieliczni weterani 369. pułku, którym udało się przeżyć kampanię na wschodzie, stali się potem kadrą tworzącej się od połowy 1942 r. 369. niemiecko-chorwackiej dywizji piechoty, zwanej potocznie Diabelską Dywizją (Vražja Divizija). Obok niej powstały jeszcze dwie inne podobne jednostki – 392. Dywizja Piechoty nazywana Błękitną Dywizją (Plava Divizija) i 373. Dywizja Piechoty określana mianem Dywizji Tygrysiej (Tigar Divizija). Żołnierzy służących w tych

eprasa.pl 196ee5bd01

jednostkach spotkał po wojnie tragiczny los. W maju 1945 r. Brytyjczycy wydali ich w ręce siepaczy z oddziałów komunistycznej armii jugosłowiańskiej, którzy ich natychmiast wymordowali.

Lotnicy i marynarze

Obok żołnierzy z 369. pułku piechoty na froncie wschodnim znaleźli się również chorwaccy lotnicy. Ante Pavelić w liście do Adolfa Hitlera tak pisał o ich walorach bojowych: „Żołnierz chorwacki udowodnił, że jest obowiązkowy, i zapisywał się w annałach wojskowości. Sercem i umysłem wdzięczny za wskrzeszenie NDH naród chorwacki, który został niedawno uwolniony, myśli o swej ojczyźnie i będzie walczyć jak lew, i podbije niebo nad wrogim krajem".

Chorwacki Legion Lotniczy (Hrvatska Zrakoplovna Legija), bo tak oficjalnie nazywała się chorwacka lotnicza jednostka, złożony był z jednej eskadry myśliwskiej i jednej bombowej. Aby podnieść umiejętności pilotażowe ochotników, skierowano ich na szkolenie do Niemiec. Myśliwscy piloci trafili do Fürth pod Norymbergą, a piloci bombowców do Greiswald w Meklemburgii. Proces szkolenia nie był łatwy, o czym świadczą zapiski jednego z uczestników, Zdenka Avdicia: „Było nas 120 kandydatów, przez pierwsze sito przeszło 50, a szkołę i kurs ukończyło zaledwie 22. Nawet z tej grupy nie wszyscy nadawaliśmy się na front wschodni, instruktorzy wytypowali spośród nas 15".

Dowódcą eskadry myśliwskiej mianowano mjr./ppłk. Franjo Džala. Chorwatów ubrano w mundury Luftwaffe, na których umieszczono naramienną tarczę z szachownicą. Piloci chorwaccy latali na maszynach typu Messerschmitt Bf 109 E i Bf 109 F. Oznakowanie zewnętrzne było podobne jak w innych samolotach Luftwaffe. Jedyną cechą wyróżniającą był namalowany pomiędzy kabiną pilota a silnikiem maszyny herb w postaci litery U, czyli symbolu ruchu ustaszowskiego, pod którym widniała czarno-biała szachownica.

Chorwaci jako 15. eskadra przydzieleni zostali do III Dywizjonu 52. Pułku Myśliwskiego 15/III JG 52 (Jagdgeschwander 52) walczącego w składzie IV Korpusu Lotniczego podlegającego 4. Flocie Powietrznej. W czasie toczonych podniebnych walk zanotowali 284 zestrzeleń. 21 Chorwatów uzyskało status asa myśliwskiego. Najlepszymi pilotami myśliwskimi okazali się kpt. Mato Dukovac z 44 zestrzeleniami i jednym prawdopodobnym oraz porucznik (pośmiertnie awansowany do stopnia kapitana) Cvitan Galić z 38 zestrzeleniami i pięcioma prawdopodobnymi. Pomimo sukcesów zdarzało się, że lotnicy spod znaku czerwono-białej szachownicy czasami znajdowali się w poważnych tarapatach.

O jednym takim zdarzeniu wspominał dowódca lotniczego legionu mjr Franjo Džal: „Braliśmy udział w misji zwiadowczej w rejonie Matwiejew Kurhan […]. O 6.10 zauważyliśmy pięć I-153 i trzy I-16. Zaatakowaliśmy natychmiast. Wszystkie wrogie myśliwce były uzbrojone w 10-kilogramowe bomby. Biorąc pod uwagę, że każdy z nich był obciążony, rzuciły się do ucieczki. Jeden z myśliwców, nie wiadomo dlaczego, nagle wylądował. Więcej nowocześniejszych myśliwców wroga zaszło nas od tyłu i zaatakowało naszą parę. Znaleźliśmy się pod ciężkim rosyjskim ostrzałem również z ziemi".

Służbę obfitującą w nieco mniej starć powietrznych zanotowali chorwaccy piloci latający na bombowcach typu Dornier 17 Z w składzie 10. eskadry 3. pułku lotnictwa bombowego 10/KG 3 (Kampfgeschwander 3). Wykonali oni 1332 misje bojowe – początkowo na froncie centralnym, bombardując m.in. Moskwę, a potem na północnym, uczestnicząc w bombardowaniu Leningradu. W lipcu 1944 r. legion lotniczy rozwiązano, a piloci wrócili do kraju.

Ostatnią jednostką chorwacką, która znalazła się na froncie wschodnim jako część składowa armii niemieckiej, był Chorwacki Legion Morski (Hrvatska Pomorska Legija). Jego personel liczył 343 marynarzy, w tym 20 oficerów, 220 podoficerów oraz 100 marynarzy i stanowił część składową Kriegsmarine. Dowódcą został Andre Vrkljan, a potem Stjepan Rumenović. Szkolenie marynarze odbywali się w mieście Warna w Bułgarii. Po jego ukończeniu Chorwatów przydzielono do służby na Morzu Azowskim w 23. Flotylli Trałowców. Ich zadaniem było patrolowanie wybrzeża i wyszukiwanie min. Miejscem stacjonowania był port Geniczewsk.

Początkowo sprzęt morskich legionistów był bardzo ubogi. Pierwsze okręty, na których pływali, stanowiły sowieckie łodzie i kutry rybackie. Uzbrojono je w ciężkie karabiny maszynowe. Z biegiem czasu flota chorwacka uległa stopniowemu rozrostowi, aż do 130 jednostek pływających. W grudniu 1941 r. chorwaccy marynarze jako zwykła piechota stanęli do walki z sowieckim desantem, próbującym zdobyć Geniczewsk. Atakujących odparto. Podczas pobytu w mieście legioniści nawiązali bardzo dobre stosunki z miejscową ludnością. Świadczy o tym m.in. nadanie jednej z miejskich ulic nazwy Chorwacja, co nastąpiło po przebazowaniu morskiej legii do Mariupola. Pod koniec 1942 r. Chorwatów wysłano do Warny na kolejne szkolenie.

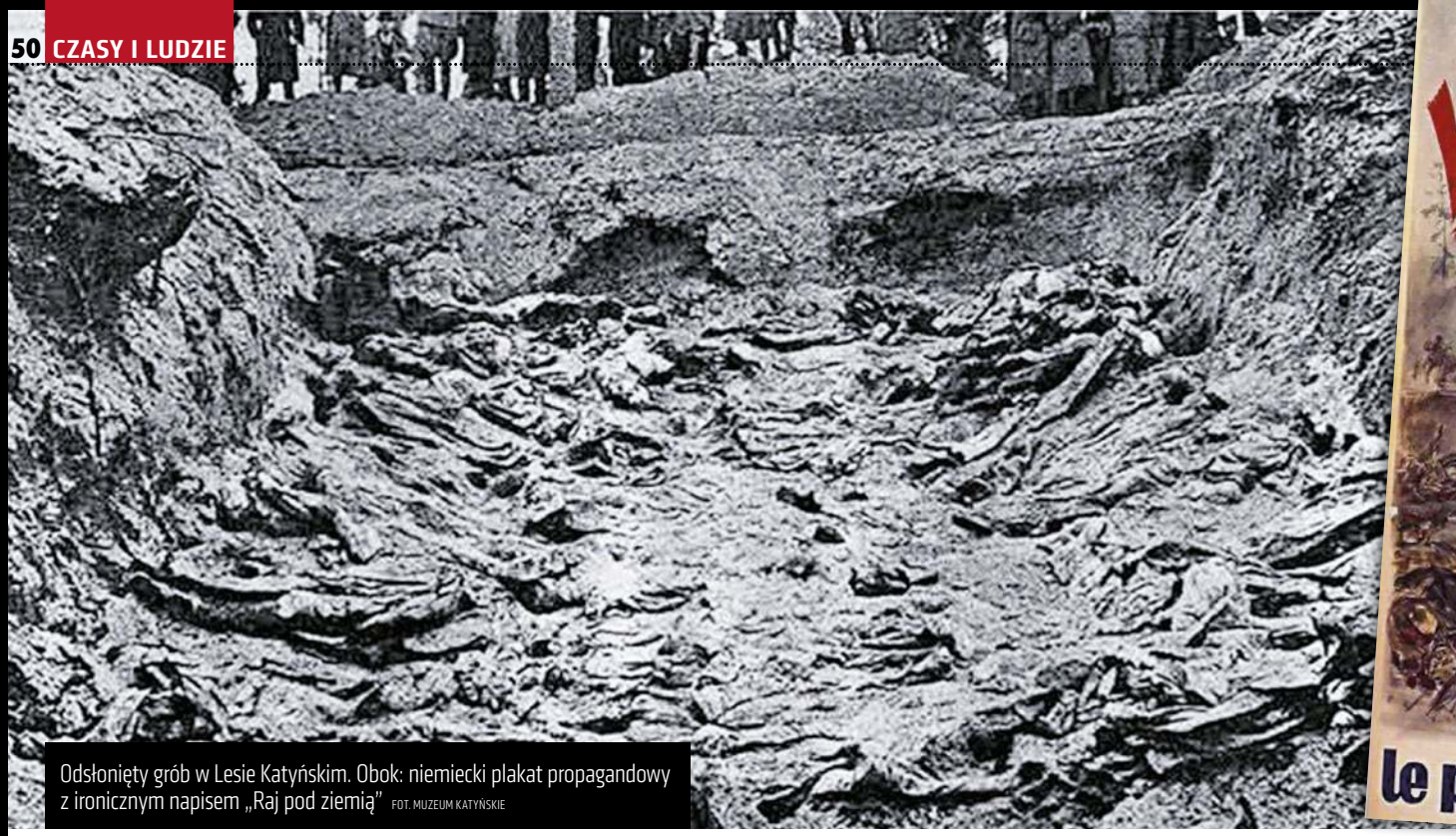
Powrócili na Morze Czarne w składzie 23. Flotylli Ścigaczy Okrętów Podwodnych (23 Untersseeuboot Flotilla). Nowe wyposażenie morskiego legionu stanowił tuzin 100-tonowych okrętów typu KFK o numerach UJ2301, UJ2313 i UJ2314. Na ścigaczach obok Chorwatów służyło 200 Niemców, a 60 proc. 1000-osobowego personelu jednostki stanowili Ukraińcy i Rosjanie. Od października 1943 r. do maja 1944 r. rozpoczęto przerzucanie marynarzy legionistów do ojczyzny. Tam część z nich kontynuowała służbę w szeregach Kriegsmarine, a część wstąpiła do chorwackiej marynarki wojennej.



Znaczek upamiętniający walkę Legionu Chorwackiego FOT. DOMENA PUBLICZNA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01



Odsłonięty grób w Lesie Katyńskim. Obok: niemiecki plakat propagandowy z ironicznym napisem „Raj pod ziemią” FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

Ferdynand Goetel / Na wierchach i nad dołami śmierci

Inny świadek Katynia



Marek Gałęzowski

Gdy Goetel pisał sprawozdanie z miejsca bolszewickiej zbrodni, zastał go przy tym Marian Ruth–Buczkowski: „Widziałem, jak wystukując raport na maszynie – płakał”

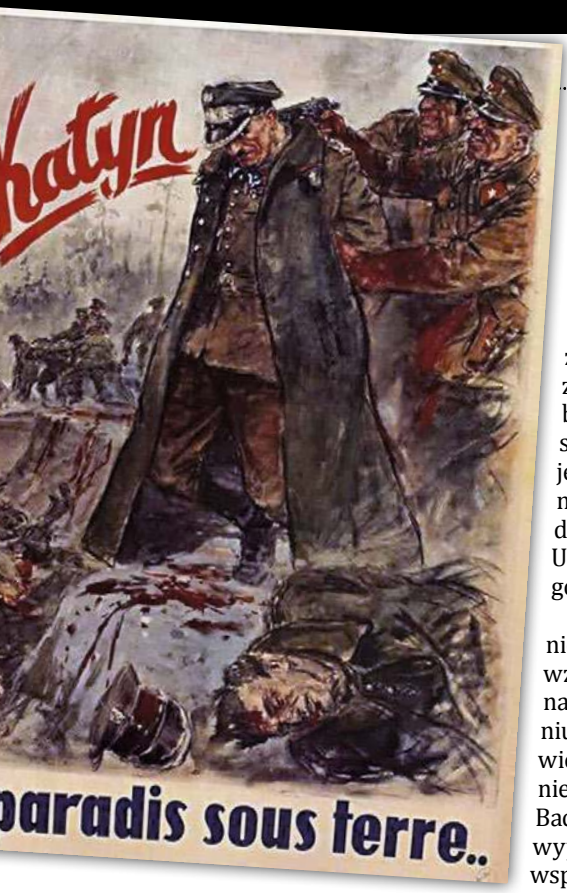
Pierwszeństwo w zapoczątkowaniu upamiętnienia zbrodni katyńskiej na zawsze pozostanie przy Józefie Mackiewiczu i zdarzające się do dziś małostkowe przemilczenia tego nie zmienią. Był jednak jeszcze drugi pisarz, wtedy, w 1943 r., nieporównanie bardziej rozpoznawalny, który sporządził pierwszą chronologicznie relację z katyńskiego lasu. To Ferdynand Goetel.

„Zobaczyłem go zmienionego nie do poznania. Zmęczony, zmizerowany, całkowicie rozbity. Bolszewicy to zrobili, powiedział mi na wstępie, Stalin popełnił tę zbrodnię. Zobaczyłem przywiezione z Katynia dowody. Miałem w ręku metalowe znaczki żołnierskie, listy, poplamiony osoczem kalendarzyk z notatkami, potwierdzającymi opinię Goetla. W takim jak wówczas stanie nigdy dotychczas Goetla nie widziałem” – wspominał swoją wizytę u pisarza po jego powrocie z Katynia Kazimierz Truchanowski.

Taternik

„Krwi niemieckiej mam w żyłach, jak sądzę, 50 procent. Nie było chwili w życiu, abym przypisywał temu jakiekolwiek znaczenie. Poczucie moje narodowe urabiało środowisko polskie, książka,

eprasa.pl 196ee5bd01



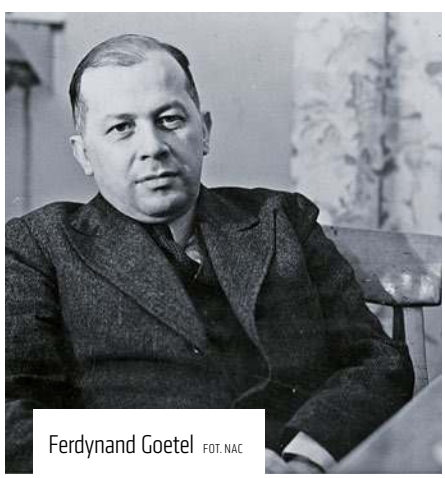
pieśń, a także i to,
czym pachnie nasza ziemia, nasz chleb żytni, czym jest budząca się długo i burzliwie polska wiosna, czym posępność naszej jesieni, czym chata ze strzechą słomianą i bielonymi z niebieska ścianami" – pisał Goetel w „Patrząc wstecz". Młodość pisarza to Kraków, Lwów, znów Kraków, Wiedeń – nauka w szkole średniej i nieukończona architektura.

I jeszcze Zakopane. W pierwszych latach XX stulecia Goetel był jednym z nielicznych jeszcze polskich taterników: „W Kaczym Stawie poiły się jelenie, zdziwione i bynajmniej nieprzestraszone widokiem człowieka! [...] Ten oto świat musiał przemawiać do wyobraźni naszej zapowiedzią przyjaźni trudnej i trwałej, a tak niebezpiecznej, jak groźnymi były bory, potoki i przepaści. Zaczęło się od wycieczek zbiorowych na podobieństwo wypraw Chałubińskiego. Bez górali i muzyki, bo nas nie było stać na taką świtę, bez namiotów i bez koców, bo ich nie miał kto nieść. Wyzwaniem rzuconym starszemu pokoleniu był mieszany nasz zespół. Chłopcy po równi z dziewczętami" – wspominał. Uczestniczył w wytyczaniu nowych szlaków górskich, w pierwszym wejściu na Zasłonistą Turnię i wschodnią ścianę Rysów.

We wrześniu 1909 r. z trzema kolegami podjął próbę zdobycia Buczynowej Turni. „Po przebyciu dość trudnego ustępu i paru przepaścistych płyt stanąłem przed wyborem osiągnięcia grzbietu niezbyt trudnym kominem ku przełączce lub atakowania bardzo stromej i kruchej spaszty wprost na szczyt. Wybrałem drugie, nie bacząc, że właśnie górna część szkliła się zlodowaciałym śniegiem. Po trudnej bardzo wspinaczce nastąpiła katastrofa i wszyscy czterej, uwiązani na jednej tylko linie, zlecieliśmy w dół, nie na dno doliny na szczęście, lecz do opuszczonego wcześniej komina". Upadek zakończył się śmiercią jednego z towarzyszy Goetla.

Przygoda z taternictwem trwała niespełna cztery lata. W 1911 r. Goetel wziął udział w wyprawie ratowniczej na Małym Jaworowym w poszukiwaniu zaginionego Stanisława Szulakiewicza. Zginął wówczas jeden z najsłynniejszych polskich taterników – Klimek Bachleda. Wstrząs spowodowany wypadkiem spowodował zerwanie ze wspinaczką. „Gdym wracał do Zakopanego wygodnym powozikiem, uśmiechnął się do mnie jeden z najpiękniejszych dni. Niebo było czyste, powietrze miękkie, nic nie poruszało koron drzew. Przytulność ta podrażniła mnie. Poczułem się zdradzonym. Nie chciałem już zawierzyć wdziękowi górskich zaciszy, skoro w równie piękny dzień Szulakiewicz wyruszał na śmierć. A potem... cóż? Jedna już tylko i druga wyprawa i... wierność lasom, dolinom, potokom i górom... Dożywotnia" – pisał.

Nie tylko taternictwo wypełniło wczesną biografię pisarza. Młodzież tamtych czasów angażowała się w działalność licznych organizacji ideowych, Goetel – tych związanych z nurtem lewicowym i niepodległościowym. Choć nie należał do elity przywódczej, to jednak przyszło mu wziąć udział w wydarzeniu, o którym informacja znajduje się w każdym podręczniku najnowszych dziejów Polski. W sierpniu 1912 r. w willi przy ul. Sienkiewicza w Zakopanem odbył się zjazd, na którym Józef Piłsudski, Władysław Studnicki, Ignacy Daszyński, Walery Sławek i inni przedstawiciele irredenty powołali Polski Skarb Wojskowy. Sekretarzem zjazdu zaś był były już taternik.


Ferdynand Goetel FOT. NAC

Pisarz

Udział w zakopiańskim zjeździe nie przełożył się na późniejszą aktywność Goetla w pracach niepodległościowych. W tym samym roku wyjechał do Warszawy, a po wybuchu pierwszej wojny jako obywatel austriacki został deportowany przez władze rosyjskie do Azji Środkowej. Kilka lat przebywał w Taszkiencie, na terytorium dzisiejszego Uzbekistanu, pracował jako robotnik, a następnie projektant i nadzorca budowlany, zajmując się osuszaniem bagien, budową dróg oraz przystosowaniem obozów jenieckich na potrzeby przebywających tam żołnierzy. Angażował się w życie polskiej społeczności w Taszkiencie, a po rewolucji lutowej, w rocznicę konstytucji majowej, na jej zgromadzeniu wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że rola Polaków w Rosji jest skończona, a „powstająca z gruzów Polska woła o ludzi". Na jego wniosek powzięto następnie uchwałę wzywającą Polaków przebywających na terenie Rosji do powrotu do kraju. W wypadku Goetla okazało się to niełatwe – przymusowo wcielony do Armii Czerwonej dopiero w 1920 r. zdołał zbiec i przez Persję dotrzeć do Indii, a stamtąd, przez Anglię, wrócił do Polski, do rodzinnego Krakowa.

Imał się różnych zajęć, z których można wymienić redagowanie nowo założonego „Przeglądu Sportowego", mimo że – jak twierdził jego redakcyjny kolega Tadeusz Grabowski – nie rozumiał „zupełnie spraw związanych ze sportami »nowoczesnymi«". Wraz z przeniesieniem redakcji do Warszawy wyjechał tam i Goetel. Był już autorem powieści „Kar-chat", która przyniosła na tyle duży rozgłos, że wkrótce mógł zrezygnować ze stanowiska redaktora naczelnego i zająć się pisaniem. W ciągu kilku lat

eprasa.pl 196ee5bd01

stał się jednym z najbardziej znanych i chętnie tłumaczonych pisarzy polskich, wszechstronnym jako autor nie tylko beletrystyki, lecz także książek i artykułów o tematyce podróżniczej oraz scenariuszy do filmów. Nie zawsze udanych, jak ekranizacja „Pana Tadeusza" w reżyserii Ryszarda Ordyńskiego, o której Rafał Malczewski pisał, że to „najstraszniejszy film, jaki ludzkość złożona z Polaków widziała".

Goetel angażował się także w życie środowiska literackiego jako prezes Polskiego PEN Clubu i trzykrotny prezes Związku Zawodowego Literatów Polskich. Związany z piłsudczykami, jak deklarował, „losem życia, przekonaniem wewnętrznym i osobistą przyjaźnią", popierał autorytarne rządy tego obozu. Tym samym był traktowany niechętnie przez lewicową i liberalną część środowiska literackiego. Mimo to, jako prezes związku literatów, interweniował na rzecz pisarzy aresztowanych za wrogą Polsce działalność komunistyczną.

Świadek

W końcu sierpnia 1939 r. ogłosił list otwarty do Knuta Hamsuna. Protestował przeciw proniemieckiemu oświadczeniu norweskiego pisarza w sprawie Gdańska: „Bronimy spraw moralnych i chyba już jeden Knut Hamsun w całej Norwegii nie wie czy nie chce wiedzieć, że za pretensją Niemiec do Gdańska kryje się brutalny i bezwzględny zamach na wolność Polski i jej swobodny rozwój". We wrześniu 1939 r., mimo możliwości ewakuacji, pozostał w Warszawie i czynnie uczestniczył w cywilnej obronie stolicy przed Niemcami. Pod okupacją niemiecką współorganizował opiekę materialną nad przebywającymi w Warszawie pisarzami, był przez pewien czas więziony na Pawiaku, redagował pismo „Nurt", jeden z najciekawszych periodyków kulturalnych ukazujących się w podziemiu. Pismo wydawał piłsudczykowski Obóz Polski Walczącej, o czym niestety nie wspomina niemal nikt spośród popularyzujących twórczość Goetla.

W przededniu ogłoszenia przez Niemców informacji o odkryciu mogił polskich oficerów w Lesie Katyńskim, 10 kwietnia 1943 r., udała się tam delegacja polska, wśród której członków był Ferdynand Goetel. Jak pisał Marian Ruth-Buczkowski, jeden z autorów „Biuletynu Informacyjnego": „Kiedy Niemcy po odkryciu grobów katyńskich zaproponowali mu wyjazd na miejsce zbrodni, zwrócił się za moim pośrednictwem do Komendy Głównej AK o upoważnienie i zgodę na wyjazd. Otrzymał ją pod dwoma warunkami: 1. że natychmiast po powrocie złoży raport o tym, co zobaczył i sam stwierdził; 2. że nie weźmie udziału, nie da się zmusić do udziału w propagandzie niemieckiej". Waga sprawy pozwalała jednak niewątpliwie na podjęcie samodzielnej decyzji; Goetel zastrzegł zresztą Niemcom, że wszelkie wnioski przekaże wyłącznie przedstawicielom PCK lub wybranym przez siebie osobom z polskiego środowiska.



Krzyże Katyń – Charków – Miednoje w górach u podnóża Świętego Krzyża (Łysej Góry) FOT. WIKIPEDIA/GOKU 122

O swoim pobycie na miejscu zbrodni pisał później w „Czasach wojny": „Dookoła w baraku leżą w niejakim nieładzie zwłoki świeżo wydobyte. W głębi, na leśnej łysinie, rozłożono dwie setki już obdukowanych sinawo-białych mumii czy lalek woskowych z numerem porządkowym u głowy. Przed nami ciągnie się główna mogiła. Przeszywa ją wąwóz wykopany wzdłuż pokładu trupów, leżących zwartą i zlepioną masą jeden na drugim. Tu wychyla się ze ściany ręka bezwładna, ówdzie zwisają nogi. W miejscu, gdzie odkryta jest wierzchnia warstwa zwłok, jest postać związana sznurem. Ta zdaje się żyć jeszcze dramatem przedśmiertnej walki. Na dnie opadającej ku dołowi mogiły czernieje woda zmieszana z krwią. Profesor zwraca się do nas, abyśmy wskazali jakiekolwiek zwłoki w grobie, gdyż chce dokonać przy nas na nich obdukcji. Przekona nas wówczas naocznie, że zwłoki będą miały przestrzeloną czaszkę. Wynoszą wskazanego przez nas trupa. Rosły, barczysty człowiek z emblematami rotmistrza. Mundur niezniszczony. Buty prześliczne, »warszawskie«. Twarz: woskowa maska. Coś kurczy się w nas i drży, gdyż profesor paru ruchami noża odłącza głowę od ciała i skalpuje ją, aby wskazać na wlot kuli w tyle głowy i wylot jej ponad czołem. A teraz nożyczki tną mundur i poszukują papierów. Są. Poklejone i nadżarte jadem, mało czytelne. Wśród nich kartka z częściowo czytelnym adresem wysyłającego: »Zielińska... powiat Grodziec... wiec...« – już nie pomnę jaka. I dalej: »Drogi mężu...« – Jeszcze kogoś? – pyta profesor. – Nie, nie, wystarczy! – A oto zwłoki generała Bohatyrowicza [gen. Bronisław Bohaterewicz] – słyszę, przystanąwszy nad postacią, leżącą na uboczu. Nie mogę dłuższy czas oderwać od niej wzroku, gdyż więzi mnie wstążką Virtuti Militari na krawędzi płaszcza... Z tamtej wojny – biegnę myślą wstecz – Bohatyrowicz... Bohatyrowicz... Skąd znam to nazwisko? Ach, prawda! To z powieści Orzeszkowej »Nad Niemnem«".

Wróciwszy do Warszawy, Goetel odmówił wypowiedzi na temat zbrodni katyńskiej w prasie wydawanej przez niemieckie władze okupacyjne. Po dwóch dniach przekazał swój raport do PCK, odpis dowództwu AK i już 20 kwietnia 1943 r. w „Biuletynie Informacyjnym", niewątpliwie na podstawie świadectwa Goetla, pisano o „potwornej zbrodni masowego mordu, popełnionego przez Moskali na osobach polskich oficerów".

Ścigany za Katyń

Jesienią 1944 r. Goetel wrócił po wielu latach do rodzinnego Krakowa. Po raz ostatni – i na krótko. Natychmiast po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną komunistyczna bezpieka załomotała do drzwi mieszkania pisarza. Szczęśliwie nie zastali go w domu. Zdołał ukryć się w klasztorze Karmelitów Bosych przy ul. Rakowickiej. Wkrótce komuniści rozpisali za nim listy gończe w związku z rzekomą kolaboracją z Niemcami. W rzeczywistości – by zmusić go do zaprzeczenia prawdy o zbrodni. W tej sytuacji Goetel zdecydował o potajemnym opuszczeniu Polski. Niestety – nie udało się wydostać z kraju jego towarzyszki życia – Haliny Winowskiej – i dwojga małych dzieci – Elżbiety i Romana. Nigdy się już nie spotkali.

Dotarł do II Korpusu PSZ na Zachodzie, a za nim – owe kłamliwe pogłoski o kolaboracji. „Dwójka" korpusu kilkakrotnie wzywała Goetla na przesłuchania. „Pytam, na czym polegać miała współpraca, co w wydawnictwach tych drukowałem, jakie są tytuły wydanych tam przeze mnie książek [...]. Odpowiedzi

eprasa.pl 196ee5bd01

nie ma". W tej sytuacji Goetel napisał do gen. Andersa, ten zaś nakazał zakończenie dochodzenia, pisarz zaś wkrótce został wcielony do II Korpusu jako oficer prasowy. W tym czasie zapewnił też opiekę Iwanowi Kriwozercowowi, Rosjaninowi – świadkowi zbrodni katyńskiej, który później został zamordowany w tajemniczych okolicznościach w Wielkiej Brytanii.

Po rozformowaniu II Korpusu Goetel osiadł w Londynie. Napisał kilka książek, w tym szczególnie wartościowe wspomnienia „Czasy wojny", współpracował z „Kulturą" i z „Wiadomościami", a w 1959 r. został wybrany przez czytelników „Wiadomości" do Akademii Grydzewskiego (jej członkiem został wówczas także Józef Mackiewicz), przyznającej nagrody za najlepsze książki wydane na uchodźstwie. W kwietniu 1952 r. został przesłuchany w Londynie przez członków komisji Kongresu USA, mającej ustalić okoliczności zbrodni katyńskiej. W ostatnich latach życia żył samotnie, w ciężkich warunkach materialnych, tracąc wzrok. „Trzymam się głównie dlatego, że trzyma mnie wola życia i tworzenia, stare hasło naszej młodości" – pisał w 1950 r. do brata Walerego. Zmarł 10 lat później.

W kraju komuniści usunęli wszystkie jego książki z bibliotek publicznych i zakazali ich wznawiania. „O Goetlu [w kraju] – zmarł tu wśród nas przed kilkunastu laty, oślepły, w skrajnej nędzy – nic! Chyba tylko same świństwa. I to nawet Słonimski [...]. My tu zachowaliśmy o Goetlu jak najlepszą pamięć, jako o świetnym, prawdomównym pisarzu i człowieku nieposzlakowanie uczciwym" – pisał Wiesław Wohnout. Tę nieposzlakowaną uczciwość dobrze oddają słowa pisarza z listu pisarza do Haliny Winowskiej z 1956 r.: „Możność powrotu do kraju na warunkach ustalonych przez Ciebie z miarodajną osobą, która ma moje sprawy w ręku, jest kusząca. 10 lat pobytu w Anglii, a 11 od chwili opuszczenia Polski i Ciebie, dało mi się ciężko we znaki, a myśl, że oto mógłbym ujrzeć Ciebie i dzieci, żyć z Wami i pod waszą czułą opieką, poruszać się, gdzie chcę, chodzi za mną dzień i noc. Znasz jednak powody, które mnie zmusiły do opuszczenia kraju. Było ich wiele. Pierwszym z nich była sprawa katyńska. [...] Jestem, jak wiesz, starym już człowiekiem. Nie znaczy to jednak, bym korzystając z możności emerytury, miał się znaleźć we własnym Kraju jak na wygnaniu i gorzej jak na wygnaniu, bo tu na obczyźnie mogę drukować to, co myślę, i mogę liczyć na to, że kiedyś po mojej śmierci książki moje dotrą do rąk wszystkich Polaków i ujawnią im, czym naprawdę byłem".

Takie było przesłanie wybitnego polskiego pisarza, świadka ekshumacji oficerów Wojska Polskiego zamordowanych w Katyniu, który zaraz po powrocie napisał sprawozdanie z miejsca zbrodni. Zastał go przy tym Marian Ruth-Buczkowski: „Widziałem, jak wystukując raport na maszynie – płakał".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.



Ferdynand Goetel (trzeci z lewej) w Lesie Katyńskim FOT. MUZEUM KATYŃSKIE

eprasa.pl 196ee5bd01

1461 r. / Historia ukryta w obrazie Jana Matejki

Okrutny mord Tęczyńskiego



Jan Matejko „Śmierć Tęczyńskiego w kościele Franciszkanów" (1879 r.), olej/deska dębowa, 49 x 63 cm FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Leszek Lubicki

W lipcu 1461 r. król Kazimierz IV Jagiellończyk szykował się wraz z pospolitym ruszeniem do wyprawy wojennej i znajdował się poza Krakowem. Wtem do polskiego obozu doszła wiadomość, że krakowscy mieszczanie zamordowali szlachcica Andrzeja Tęczyńskiego. I to gdzie? W kościele!

Wielkie wzburzenie wśród szlachty podniosło się w obozie. Chcieli od razu chwytać za broń i ruszać zbrojnie na krakowskich mieszczan. Królewski autorytet i rozsądek powstrzymał gorące głowy braci szlachty. Monarcha obiecał jednocześnie, że zaraz po powrocie do stolicy zajmie się sprawą, a winni mordu dadzą gardła.

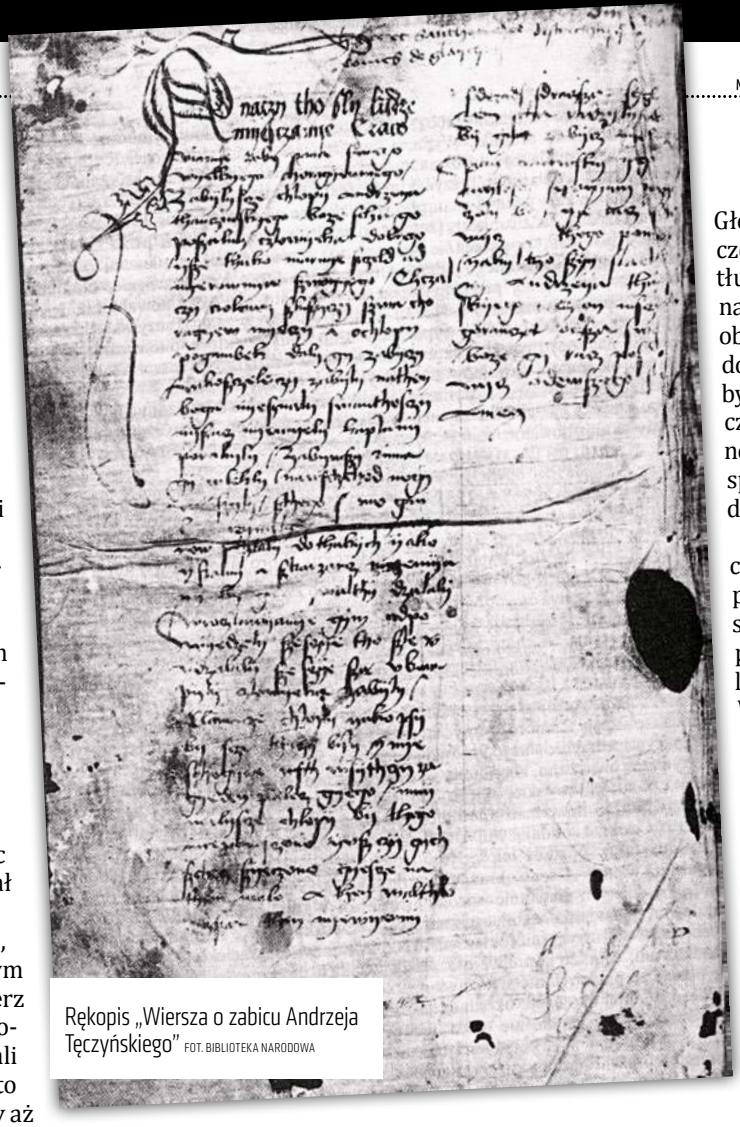
W tym akurat czasie Jan Długosz tworzył swoje annales. Należy przyjąć zatem, że bardzo dobrze znał sprawę. W swojej „Kronice" poświęcił owemu wydarzeniu sporo miejsca, dając tytuł temu ustępowi: „Andrzej Tęczyński od wzburzonego pospólstwa w Krakowie w kościele franciszkańskim zabity (1461)".

Pozwolę sobie zacytować tylko sam początek zapisu naszego dziejopisa.

Opis Jana Długosza

„Kiedy Kazimierz, król polski, znajdował się na wyprawie pruskiej i był już w Inowrocławiu, zdarzył się w Krakowie okropny wypadek, który między mieszczanami krakowskimi a szlachtą, osobliwie zaś Toporczykami, długie i straszliwe zapalił niezgody. Dnia bowiem szesnastego lipca, we czwartek, rycerz znakomity Andrzej z Tęczyna rozgniewany na Klemensa płatnerza,

eprasa.pl 196ee5bd01



Rękopis „Wiersza o zabicu Andrzeja Tęczyńskiego" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

że mu wychodzącemu na wojnę nie wygotował na czas i w zupełności zbroi, opryskliwego w odpowiedzi łajaniem zelżył i lekko uderzył. Skrzywdzony płatnerz pobiegł na ratusz ze skargą do rajców, że od Andrzeja Tęczyńskiego ciężko był pobity. A gdy wracał [...], spotkał go Andrzej Tęczyński wraz z Mikołajem Kridlarem i Walterem Keslingiem, rajcami krakowskimi, z którymi razem mieszkał. Klemens wpadłszy na niego z gniewem o owo pobicie, grożąc Tęczyńskiemu, że mu wkrótce lepiej zapłaci, zamierzył się ręką, bądź to uniesiony zemstą, bądź od rajców ośmielony nadzieją słusznego odwetu. Andrzej Tęczyński, nie mogąc ścierpieć tych odgrażań, kazał schwytać Klemensa i sam, wraz z domownikami swymi, jeszcze bardziej go obił. O czym gdy rzeczony Klemens płatnerz i obecni przy tej sprawie Mikołaj Kridlar i Walter Kesling dali znak na ratusz, wielce się na to rada oburzyła i wszyscy rajcy aż do zbytku gniewem uniesieni, gdy między rzemieślnikami i całym ludem miejskim coraz większy wszczynał się rozruch, starali się nie tak uspokajać, jak raczej zapalać burzę".

Jednak czytając te słowa, należy mieć na uwadze, jak dowiadujemy się z komentarza do „Kroniki" Długosza, że relacja jego „jest zdecydowanie stronnicza, podobnie zresztą jak relacja drugiej strony, tj. miasta, które ucierpiało tu bardzo. W rzeczywistości sprawa ma jeszcze wiele punktów niejasnych. Oprócz ostrego konfliktu stanowego być może wchodziły w grę również sprawy narodowościowe. Tęczyński udawał się przecież na wojnę pruską, a nie jest wykluczone, że płatnerz celowo opóźniał wykonanie dla niego zbroi. Nie bez przyczyny też może rozruch wybuchł 16 lipca, czyli dokładnie w rocznicę bitwy grunwaldzkiej".

Zwróćmy uwagę na fakt, że Długosz pisze, że ów płatnerz, spotykając na ulicy Tęczyńskiego, zamierzył się na niego ręką. Raczej należy to wykluczyć, ponieważ trudno sobie wyobrazić, aby rzemieślnik ośmielił się podnieść rękę na szlachcica, który po ulicach miasta spacerował wraz ze swoimi ludźmi. Poza tym Andrzej Tęczyński był bratem Jana, kasztelana krakowskiego, a więc wielkiej szychy na królewskim dworze i przywódcy małopolskich panów.

W kościele go zabili

Tego dnia sprawy potoczyły się już bardzo szybko i gwałtownie. W mieście zaczęły się zamieszki. Zaniepokojona królowa, Elżbieta Rakuszanka, czyli w danej chwili najwyższa władza wobec nieobecności króla, nakazała, aby Tęczyński zgłosił się na Wawel, gdzie byłby bezpieczny. Ten jednak zignorował polecenie i dalej przechadzał się dumnie po mieście, czym prowokował mieszczan. Jan Kocznur pisał: „Tymczasem z wieży Mariackiej odezwał się dzwon oznajmiający, że władze miejskie wzywają obywateli przed ratusz. Wkrótce na Rynku Głównym wokół ratusza zaczęły się gromadzić uzbrojone tłumy mieszczan. Rozlegały się nawoływania i groźne okrzyki oburzenia. Mieszczanie mieli dość uzasadnionych powodów, by żywić do szlachty niechęć czy też nienawiść. Czyn dumnego magnata jeszcze bardziej spotęgował gniew tłumu za doznane krzywdy".

Tęczyński dopiero wówczas zorientował się, że to nie przelewki. Wiedział, że czas się jednak ukryć. Zapewne pomyślał, że nie ma do tego lepszego miejsca niż kościół. Wraz z synem Janem oraz kilkoma swoimi ludźmi udał się do kościoła Franciszkanów. Ktoś wypatrzył, jak umykali do świątyni, i zaraz tłum ruszył za nimi. Tęczyński z synem skryli się w zakrystii. Wyważono jednak drzwi i rzucono się na szlachcica. Relacjonuje Długosz: „Głowa, długo opierająca się zabójczym ciosom, pękła i mózg z niej wytrysnął. Pastwił się lud jeszcze nad ciałem zabitego, wlokąc je z kościoła aż do ratusza kanałem ulicznym, w błocie uwalane, a od miejsca do miejsca skłute i skrwawione, z wyszarpaną brodą i głową obdartą. Przez dwa dni leżało potem w ratuszu, dopiero dnia trzeciego przeniesiono je do kościoła św. Wojciecha, a czwartego oddano przyjaciołom, którzy je pochowali w Książu Wielkim, z czcią należną, ale z płaczem i żałością wielką". W tym zamieszaniu synowi nieszczęśnika udało się umknąć. Kolejnego dnia nierozpoznany opuścił Kraków.

Sześciu ich ścięto

Pierwsza rozprawa przeciwko sprawcom z imienia nieustalonym odbyła się 7 grudnia w Korczynie. Zarzucano tej rozprawie błędy proceduralne. Odraczano ją kilkakrotnie. 15 stycznia odczytano i wykonano wyrok na sześciu osobach, które wskazał syn zabitego, Jan Tęczyński, gdyż nie ustalono bezpośrednich sprawców. Nie wiemy, jak się z tym czuł, mając ich na sumieniu, ale zapewne

eprasa.pl 196ee5bd01

chęć zemsty przysłoniła zwykłą ludzką przyzwoitość. Płatnerz Klemens, z którym Tęczyński miał zatarg, uciekł do Wrocławia, potem do Żagania, gdzie wkrótce zmarł.

Skazanych zaprowadzono na zamek. Obawiano się wykonania wyroku na rynku, aby tłum się nie wzburzył. W narożnej nowej wieży ścięto sześć osób, w tym rajców i burmistrza Krakowa.

Paweł Jasienica relacjonuje: „Żaden z nich nie uczestniczył w rozruchu, ale w tamtych czasach władze miejskie odpowiadały gardłem za to, co dzieje się w mieście. Nie pomogły nawet osobiste interwencje królowej… […] Ciała straconych pochowano wśród rozpaczy miasta w kościele Mariackim we wspólnym grobie". Zasądzono także odszkodowanie finansowe na rzecz syna Tęczyńskiego – w tak wielkiej kwocie, że miasto zostałoby doprowadzone do ruiny. Jan Tęczyński natomiast trzech mieszczan uwięził w swoim zamku w Rabsztynie, jako zabezpieczenie na „poczet grzywny". Po roku zawarto ugodę. Jan otrzymał kilka procent z zasądzonej kwoty i wypuścił uwięzionych.

Wydarzenie z lipca 1461 r. mogło się zakończyć dla kraju bardzo tragicznie, na co zwraca uwagę Andrzej Nowak. „Brat zabitego, kasztelan krakowski, był na krawędzi ważnej decyzji: czy zacząć pod nieobecność króla rodową, a właściwie stanową, szlachecką rozprawę z miastem […], odbudować potęgę małopolskich panów – czy zatrzymać się w granicach prawa i podporządkować sprawiedliwości królewskiej. Miał Jan Tęczyński do dyspozycji dwie chorągwie rycerstwa, jedną swoją, jedną po zabitym bracie. Obie miały wyjść na Pomorze i obie rwały się nie tam, ale do rzezi Krakowa. [...] Do wojny domowej jednak nie doszło. Jan Tęczyński wykazał dojrzałość odpowiedzialnego męża stanu. […] Posłał do króla skargę na morderców swego brata i pogodził się z sądową drogą dochodzenia sprawiedliwości".

Co prawda, sprawiedliwość w tym wypadku była wątpliwa. P. Jasienica: „Zniweczono i podeptano prawo miast do odrębnego sądownictwa. Odtąd w zatargach między stanami szlachta występuje jako sędzia we własnych sprawach". Ot, psychologiczna demonstracja siły. Szlachta pokazała, który stan w kraju rządzi i kto na szlachtę podniesie rękę, to – nawiązując do wypowiedzi pewnego dygnitarza komunistycznego – szlachta mu tę rękę odrąbie. W tym przypadku odrąbano głowy.



Autoportret Jana Matejki

FOT. WIKIPEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Dydaktyczne przesłanie Matejki

Niedługo po tych wydarzeniach napisano wiersz czy, jak sądzą inni, pieśń „O zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego". Utwór ukazał się drukiem dopiero w roku 1842. Nie znamy nazwiska twórcy tego utworu, jednak przypuszcza się, że musiał to być szlachcic bliski rodzinie Tęczyńskich, ponieważ obciąża on winą mieszczan, jest przepojony do nich nienawiścią i uporczywie nazywa chłopami. Posłuchajmy tylko początku:

A jacy to źli ludzie mieszczanie krakowianie,
Żeby pana swego, wielkiego chorągiewnego,
Zabiliście, chłopi, Andrzeja Tęczyńskiego!
Boże się go pożałuj, człowieka dobrego,
Iże tako marnie szczedł od nierownia swojego!

[Czyli targnęli się na szlachcica ludzie nierównego stanu – przyp. L.L.].

Z drugiej strony, jak zauważa Anna Kochan: „Skoro tekst powstał w kręgu rodzinnym, a śmierć członka tej rodziny nie przynosiła chluby rodowi, trzeba zadać pytanie, w jakim celu ten wiersz napisano. […] Wydaje się oczywiste, że obnoszenie się z hańbiącą śmiercią ojca nie leżało w interesie syna zabitego, z tej samej przyczyny domniemany autor – klient rodu Tęczyńskich – nie miałby powodu ani pozwolenia, by takie wieści rozgłaszać (zwłaszcza o wleczeniu rynsztokiem i o porzuceniu ciała na schodach)". Dla naszej opowieści nie jest jednak ważne, kto ów wiersz napisał, niemniej trzeba było wspomnieć ten utwór, ponieważ uważa się, że jego treść posłużyła Janowi Matejce do namalowania obrazu „Śmierć Tęczyńskiego w kościele Franciszkanów".

Artysta ukazuje na nim moment kluczowy, czyli chwilę samego zabójstwa szlachcica. Tak dzieło mistrza Matejki zostało opisane w „Katalogu" jego obrazów olejnych: „Pośrodku obrazu nad trupem Tęczyńskiego oprawca z zakrwawionym mieczem, obok z lewej młodzieniec z płonącą żagwią idący w stronę zamordowanego, by opalić mu włosy, z prawej mężczyzna krępujący sznurami jego nogi, by wlec go po ulicach. Za oprawcą płatnerz (?) unoszący w górę półzbrojek – przyczynę waśni. Na pierwszym planie i w głębi obrazu – przerażeni świadkowie zbrodni".

Natomiast motywację wielkiego już wówczas artysty do stworzenia tego małego w sumie obrazka, malowanego na desce, opisał jego sekretarz, Jan Gorzkowski. „Zdaje się, że widok tego strasznego zdarzenia jest może dzisiaj, jak twierdził ze smutkiem artysta, bardzo potrzebny, bo ileż to w tych czasach istnieje u nas pychy, dumy, zawziętości, a zachowanie się mocniejszych do słabszych względem ludu, czy to po wsiach, czy w miastach, ma w sobie wiele do zarzucenia! Gdy jednak w tem zabójstwie brali udział i rajcy krakowscy, czyli, jak dziś mówią ojcowie miasta, przeto nadmienił artysta, że i krakowskiemu magistratowi dostało się także upomnienie, bardzo potrzebne!".

Obraz został w czasie drugiej wojny światowej skradziony przez Niemców. Zaraz po jej zakończeniu został rewindykowany i w 1945 r. powrócił do Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:
M. Gorzkowski, „Jan Matejko, „Epoka lat dalszych do końca życia artysty", Kraków 1898; J. Kocznur, „Proces o zabójstwo Andrzeja Tęczyńskiego", „Palestra" 4/7–8, 1960; A. Kochan, „Wiersz o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego w świetle poetyki tzw. listu odpowiedniego", „Pamiętniki Literackie" 3/2008; P. Jasienica, „Polska Jagiellonów", Warszawa 1985; A. Nowak, „Dzieje Polski", t. 3, Kraków 2017; K. Sroczyńska (red.), „Matejko. Obrazy olejne. Katalog", Warszawa 1991.

eprasa.pl 196ee5bd01

REPUBLIKA

NA POMOC!

niedziela

21:10

W programie prezentujemy reportaże
o problemach Polaków z różnych części kraju.

zaprasza

Ilona Januszewska



RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl
oraz drogą naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2
w Warszawie na kanale 23, we Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.

eprasa.pl 196ee5bd01



XIX–XX w. / O. Alojzy Korzeniecki, Wanda Malczewska i ks. Bronisław Markiewicz...

Proroctwa o Polsce i wojnie



Tomasz Stańczyk

W latach zaborów pojawiały się wizje, dające nadzieje na dziejowy przełom i odzyskanie niepodległości

Wileński dominikanin, o. Korzeniecki, żyjący na przełomie XVIII i XIX w., bardzo bolał nad wymazaniem Rzeczypospolitej z mapy Europy. W kazaniach często wspominał utraconą ojczyznę. Został z tego powodu osadzony w areszcie domowym w swojej celi przez władze rosyjskie.

W 1819 r., gdy modlił się, by Polacy pozostali wierni religii katolickiej i nie ulegli prawosławiu, objawił się mu mężczyzna w szatach zakonu jezuitów. Był to Andrzej Bobola. Nieprzypadkowo to on właśnie pojawił się w celi dominikanina, został bowiem zamordowany w 1657 r. na Polesiu przez prawosławnych Kozaków, tępiących jezuitów, którzy nawracali ludność wschodnich ziem Rzeczypospolitej na obrządek unicki.

Dominikanin usłyszał głos: „Otóż jestem, Ojcze Korzeniecki, jestem ten, którego pomocy wzywałeś. Otwórz okno i popatrz, a zobaczysz dziwy, jakich nie

eprasa.pl 196ee5bd01



Jerzy Kossak „Bitwa Warszawska"
FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

widziałeś i o jakich nie słyszałeś". Okno w celi wychodziło na ogródek klasztorny, lecz gdy dominikanin otworzył je, ujrzał zupełnie coś innego: wielką równinę, na której zacięty bój toczyli Rosjanie, Turcy, Francuzi, Anglicy, Austriacy i Prusacy. „Kiedy po tej wojnie, której obraz widziałeś – powiedział Bobola – nastąpi pokój, wtedy Polska dźwignie się z niewoli, a ja będę jej pierwszym patronem" (G. Augustynik, „Mała sybilla polska, czyli przepowiednie różnych pobożnych mężów").

Proroctwo to zostało opublikowane w 1854 r. przez pismo „La Civilita Cattolica", rok po beatyfikacji Boboli przez papieża Piusa IX, a przedrukowano je ponad 20 lat później w książce „Mała sybilla polska".

Korzeniecki obawiał się jednak, że zarówno postać Boboli, jak i wizja wojny jest złudzeniem, dlatego też poprosił przybysza o materialny znak jego obecności. Bobola położył dłoń na stole i pozostawił na nim jej odcisk, „co na drugi dzień wszyscy Ojcowie i Bracia sprawdzili, a ksiądz Grzegorz Felkierzamb Jezuita w Połocku rozgłosił to całemu katolickiemu światu, oczekującemu spełnienia się proroctwa" (G. Augustynik).

W II Rzeczypospolitej Andrzej Bobola, uznany za proroka wskrzeszenia Polski, został odznaczony w 1938 r. Krzyżem Niepodległości. W tym samym roku kanonizował go papież Pius XI, a Jan Paweł II ogłosił świętego patronem Polski.

Ksiądz Jan Wieteska, biograf Andrzeja Boboli, prostował nazwisko dominikanina. W wileńskim klasztorze Dominikanów nie było zakonnika o nazwisku Korzeniecki, lecz Alojzy Korzeniewski, uczący fizyki w szkole prowadzonej przez zakon. „Był to umysł trzeźwy, przyzwyczajany do kierowania się raczej rozumem niż uczuciem i wyobraźnią. To daje nam pewną rękojmię, że człowiek ten nie był skłonny do ulegania halucynacjom i przywidzeniom".

Zapowiedź Bitwy Warszawskiej

Urodzona w ziemiańskiej rodzinie Wanda Malczewska (1822–1896) była spokrewniona z poetą Antonim Malczewskim i malarzem Jackiem Malczewskim, który w wielu swoich symbolicznych obrazach odnosił się do przeszłości Polski. Wanda natomiast miała widzenia o przyszłości ojczyzny.

Po pierwszej komunii proboszcz, nawiązując do tego, że na chrzcie otrzymała imię Wanda (z powodów patriotycznych, choć nie było takiej świętej) oraz imiona świętych Justyna i Nepomucena, powiedział jej: „Jeśli będziesz żyła pobożnie, podług nauki pana Jezusa, zostaniesz i ty świętą i naród polski będzie miał nową patronkę – świętą Wandę" (A. Majewski, „Żywot świątobliwej Wandy Justyny Nepomuceny Malczewskiej", 1822–1896).



Andrzej Bobola
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zapytana przez matkę, dlaczego nie bawi się z dziećmi, odpowiedziała, że ta zabawa ją zmęczyła i przyszła pobawić się z Panem Jezusem. Ubrała krzyż kwiatami, w tym stokrotkami, gdyż ojciec powiedział jej, że są symbolem Polski – te, które kwiatki mają w połowie białe, w połowie czerwone (amarantowe). Mówił też, że są wytrzymałe na wszelkie przeciwności, kwitną, jak tylko śnieg stopnieje. Podobnie Polska jest wytrzymała – mimo że rozebrali ją nieprzyjaciele, podnosi głowę i żyje.

„Ja to zapamiętałam – wspominała Malczewska – dlatego te kwiateczki w imieniu całej Polski złożyłam Panu Jezusowi [...]. Gdy ustroiłam ołtarzyk i modliłam się, by Pan Jezus przyjął tę ofiarę, usłyszałam głos: »Dziecko moje, ty będziesz moją na zawsze«". Nikogo koło siebie nie zauważyła i zrozumiała, że to Chrystus do niej przemówił.

Gdy doszła do pełnoletności, rodzina chciała ją wydać za mąż, lecz ona ślubowała Jezusowi, że nie wstąpi w związek małżeński. Zanosiła gorące modlitwy, aby, skoro już – wbrew jej woli – została zaręczona, małżeństwo nie doszło do skutku. Tak też się stało, choć w sposób nader drastyczny: „Pan Jezus ją wysłuchał, bo ów młodzieniec-narzeczony zachorował ciężko i po kilku dniach

eprasa.pl 196ee5bd01

choroby, opatrzony świętymi Sakramentami, w dzień przeznaczony na ślub umarł" (A. Majewski).

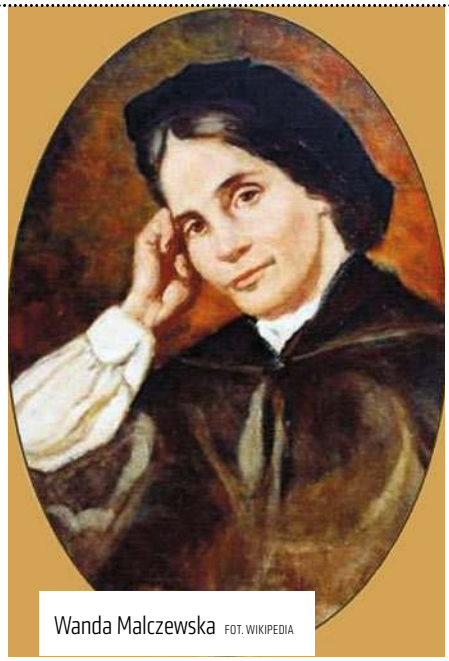
Wanda Malczewska miała wyrzuty sumienia, martwiła się, że stało się to przez nią, ale Jezus pocieszył ją, że zbliża się wojna, na której zginąłby bez spowiedzi. „Zbawienie jego duszy jest pewne" – zapewnił.

Gdy jej krewny Jacek Siemieński został aresztowany za udział w powstaniu styczniowym, modliła się do Jezusa, a potem pocieszała rodzinę. „Nie płaczcie – bądźcie dobrej myśli: Pan Jezus powiedział mi, że Matka Najświętsza za to, że Ją Jacek kocha, uwolni go z cytadeli" (G. Augustynik, „Miłość Boga i ojczyzny w życiu Wandy Malczewskiej").

Groziła mu jednak konfiskata majątku, Malczewska więc znów modliła się do Jezusa, który pocieszał ją, żeby się nie martwiła. Za miłość do Matki Boskiej i opiekę nad ludem majątek nie będzie mu odebrany.

O objawieniach, które miała, mówiła jedynie spowiednikom, prosząc, by zachowali tajemnicę do jej śmierci.

15 sierpnia 1873 r. objawiła się Malczewskiej Matka Boska, w dniu swojego święta, z następującym przekazem: „Uroczystość dzisiejsza niezadługo stanie się świętem narodowym dla was Polaków, bo w tym dniu odniesiecie świetne zwycięstwo nad wrogiem waszym dążącym do zagłady waszej […]. Polskę kocham, bo to moje królestwo. Nie zapomnę o was, a Syn mój nie da wam zginąć. Jeszcze jedna chwila cierpienia, a wolność odzyskacie".



Wanda Malczewska FOT. WIKIPEDIA

Przepowiednie odnoszono później do zwycięstwa w Bitwie Warszawskiej w sierpniu 1920 r. Bolszewicy zostali pokonani, a do nich odnosiła się jeszcze jedna wizja Malczewskiej, związana z prześladowaniami unitów. Chrystus powiedział jej, że car, który jest odpowiedzialny za represje, „niedługo gospodarować będzie". Aleksander II zginął w 1881 r. w zamachu zorganizowanym przez rewolucjonistów, siedem lat po krwawej masakrze unitów, jakiej dokonało wojsko rosyjskie w Pratulinie i Drelowie. Proroctwo odnosiło się także do rodziny Aleksandra II – „Jego dzieci i wnuki sromotnie wymordują jego właśni podani, wrogowie mojego krzyża". Mikołaj II wraz z rodziną zostali rozstrzelani przez bolszewików w 1918 r.



Grób Wandy Malczewskiej w kościele w Parznie
FOT. EKAI.PL/KS.PAWEŁ KŁYS

Innym razem Wanda bezprzytomna zrywa się pośród modlitwy, wołając nieswoim głosem: „Widzę, widzę krew unitów wołającą o pomstę do Pana! Kara idzie... blisko już... Rosja ginie!", a po chwili przytomniej dodaje: „Ja tego nie doczekam, ale wy doczekacie".

Wydawać by się mogło, że dla Malczewskiej, osoby o tak wybitnej pobożności, mającej wizje, naturalnym miejscem byłby zakon. Nie wstąpiła jednak do żadnego zgromadzenia zakonnego.

Ksiądz Grzegorz Augustynik tłumaczył, że widać nie było takiej woli Bożej. Jezus chciał z niej zrobić wzór, jak można „żyć w świecie" dla Boga i społeczeństwa. Wanda Malczewska była natomiast tercjarką zakonu marianów, założonego przez ks. Stanisława Papczyńskiego. Opiekowała się biednymi, leczyła i uczyła wiejskie dzieci.

Zmarła 26 września 1896 r. w święto św. Justyny, jej patronki. Pochowana została na cmentarzu w Parznie; później jej trumnę przeniesiono do tamtejszego kościoła. Prosiła o napis: „Tu spoczywają kości-prochy siostry ludu polskiego, służebnicy Pana Jezusa i Najświętszej Matki Jego".

W 2006 r. Watykan wydał dekret o heroiczności cnót Wandy Malczewskiej. Odtąd przysługuje jej tytuł czcigodnej sługi Bożej. Jest to wstęp do beatyfikacji.

Zapowiedź polskiego papieża

Biografowie ks. Bronisława Markiewicza (1843–1912) nie są zgodni co do tego, czy to jemu czy też jego koledze 3 maja 1863 r. – w rocznicę uchwalenia przez Sejm Wielki konstytucji, a zarazem podczas powstania styczniowego – objawił się anioł. Ksiądz Bronisław Groch pisał, że jeden z kolegów Markiewicza „miał ujrzeć anioła w postaci szesnastoletniego młodzieńca wiejskiego, który idąc przez Przemyśl w dniu 3 maja 1863 r., nakazywał mu nie tracić wiary w lepszą przyszłość Polski – mimo nieszczęść, mających nawiedzić ten kraj wskutek wojny światowej – i zanim zniknął, polecił mu zaopiekować się najuboższymi. To widzenie swoje głosił on przez dłuższy czas znajomym, zapewniając ich o prawdziwości faktu" (B. Groch, „Ks. Bronisław Markiewicz a wojna wszechświatowa").

eprasa.pl 196ee5bd01



Sanktuarium św. Michała Archanioła i bł. Bronisława Markiewicza w Miejscu Piastowym
FOT. WIKIPEDIA/SPARS

Jednym z tych znajomych był Bronisław Markiewicz, który owo widzenie wziął sobie mocno do serca. Ksiądz Władysław Staich – znający Markiewicza – stwierdzał natomiast, że nigdy nie wspominał on o owym przyjacielu, więc to zapewne jemu, gdy miał 21 lat, miał się objawić Anioł Polski. Zdaniem Staicha Markiewicz „tylko dla pokory ukrywał tutaj własną osobę" (W. Staich, „Ks. Bronisław Markiewicz").

Pod wrażeniem tej wizji Markiewicz postanowił zostać księdzem i rzeczywiście zajmował się najuboższymi. W 1892 r. objął parafię w Miejscu, nazwanym przez Sejm Krajowy – na jego wniosek – Piastowym. Dojeżdżając pierwszy raz do Miejsca, spotkał po drodze głodnego chłopca sierotę. Uznał to za znak dla siebie i utworzył zakłady wychowawcze dla opuszczonej, zaniedbanej moralnie i materialnie młodzieży. W 1898 r. założył, także w celu opieki nad młodzieżą, Towarzystwo „Powściągliwość i Praca", był wydawcą pisma „Powściągliwość i Praca", cieszącego się popularnością w Galicji. Założył Zgromadzenie św. Michała Archanioła (michalici), które zostało zatwierdzone przez papieża w 1921 r., już po śmierci ks. Markiewicza.

W 1912 r. ks. Bronisław Markiewicz opublikował dramat „Bój bezkrwawy". Pojawia się w nim „postać nadludzka", 16-letni młodzieniec z różańcem i modlitewnikiem, identyfikowany przez bohaterów sztuki jako anioł. Mówił on: „Oto już stoją zbrojne miliony wojsk z bronią w ręku strasznie morderczą. Na całej kuli ziemskiej będzie wojna powszechna, i tak



Ksiądz Bronisław Markiewicz
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

krwawa, iż naród położony na południu Polski wyginie wśród niej zupełnie. Groza jej będzie tak wielką, iż wielu ze strachu rozum postrada. Za nią przyjdą następstwa jej: głód, mór na bydło i dwie zarazy na ludzi, które więcej ludzi pochłoną aniżeli wojna sama" (B. Markiewicz, „Bój bezkrwawy").

Wprawdzie żaden naród na południe od Polski nie wyginął, lecz słowa o zarazie kojarzono później z pandemią hiszpanki, której ofiarą padły miliony ludzi w latach pierwszej wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu.

Anioł mówił też o wojnie religijnej, którą miał się skończyć wielki konflikt europejski – pomiędzy ludźmi wierzącymi w Boga i kwestionującymi jego istnienie. Odnoszono to później do wojny Polski z bolszewicką Rosją, aczkolwiek przesłanie anioła z dramatu Markiewicza mówiło o prowadzeniu przez Polaków „boju bezkrwawego" przeciw „nieprzyjaciołom dusz".

Ksiądz Markiewicz zmarł w 1912 r. Jak stwierdzał ks. Staich, parę tygodni przed śmiercią – i dwa lata przed wybuchem pierwszej wojny światowej. Markiewicz pisał: „W górę serca, Polacy! Oto nadchodzi chwila ostatniej próby naszej oraz straszliwego pohańbienia wrogów naszych. Oto teraz dokona się na nich straszliwa chłosta Boża. Walczyć będą na ziemi i na morzu, orężem niesłychanie morderczym, odniosą nawet zwycięstwa, ale zwycięstwa takie, jakie odniósł Pyrrhus, który zatracił wojska swoje" (W. Staich).

Kilkanaście lat wcześniej powiedział Staichowi, swojemu wychowankowi: „Na pierwszej wojnie nie skończy się jeszcze nieszczęście ludzkie. Koniec jego nastąpi dopiero wtedy, gdy wszystkie narody uznają się za braci, a wolność Polski będzie całkowicie ubezpieczona" (W. Staich).

Wprawdzie nie spełniła się przepowiednia anioła z „Boju bezkrwawego" o tym, że wśród Polaków pojawi się dużo ludzi „świętych i mądrych i wielkich mistrzów", którzy zajmą poczesne miejsce w świecie, ale najciekawsze było jego proroctwo dla Polaków: „Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie, kiedy dacie światu wielkiego papieża".

Nieco ponad miesiąc po śmierci Jana Pawła II Bronisław Markiewicz został beatyfikowany.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01



Propagandowe zdjęcie mające świadczyć o powszechnym poparciu dla PRL-owskiego projektu FOT. PAP/CAF/PODOLSKI

1952 r. / Ogłoszenie ustawy zasadniczej PRL

Konstytucja po sowiecku



Maciej Rosalak

Około 50 poprawek naniósł własnoręcznie na projekt konstytucji PRL sam towarzysz Stalin, a Bierut je przetłumaczył i przenosił na dokument...

70 lat mija 22 lipca bieżącego roku od momentu, gdy Polsce oficjalnie nadano miano Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – na wzór innych środkowoeuropejskich państw wasali rosyjskiego imperium epoki stalinowskiej. Już każde z nich zdążyło wzbogacić swe dawne, nacjonalistyczne nazwy republik o postępowe przymiotniki: ludowa, demokratyczna, ludowo-demokratyczna, socjalistyczna... Środki flag państwowych niemal każda upiększyła sierpami, młotami, cyrklami, kłosami zbóż (w 1989 r. zwykli wschodni Niemcy, Węgrzy, Rumuni czy Bułgarzy skrupulatnie je wycinali, zostawiając krągłe otwory). Komponowano nowe hymny państwowe. Wszystkie inne kraje, skrupulatnie kopiujące sowiecki pierwowzór, uchwalały też konstytucje na miarę nowych czasów. Tylko polscy towarzysze jakoś się spóźniali, a lata biegły. W rezultacie musieli 15 grudnia 1951 r. przedłużyć kadencję Sejmu, by ten dokonał dzieła i wreszcie konstytucję uchwalił.

Tylko tzw. Mała Konstytucja, przyjęta w 1947 r. przez Sejm po ordynarnie sfałszowanych wyborach, opisywała, jakież to będą działać najwyższe organy władzy

eprasa.pl 196ee5bd01

państwowej. Było to nieprecyzyjne i oczywiście zupełnie pomijało ośrodek rzeczywistej władzy – tj. kilkuosobowe grono kierownicze PPR (poza Bierutem – Jakub Berman, Hilary Minc, Roman Zambrowski, Stanisław Radkiewicz). Wprowadzono natomiast m.in. urząd prezydenta, wybieranego na siedem lat bezwzględną większością głosów w obecności przynajmniej trzech czwartych ustawowej liczby posłów. W praktyce oznaczało to farsę wyboru kandydata PPR – Bolesława Bieruta, który na koniec tej farsy złożył nawet przysięgę z zakończeniem „Tak mi dopomóż Bóg!". Powołania Senatu – zgodnie z również sfałszowanymi wynikami referendum 3 x TAK w 1946 r. – nie przewidziano.

Sędziowie mieli być oczywiście „niezawiśli", co – biorąc pod uwagę ich dobór i ferowane wyroki wobec polskich patriotów – było upiornym paradoksem. Ustawa konstytucyjna, która wprawdzie przedstawiła jednolitą, hierarchiczną drabinę szczebli sądów, od rejonowych przez wojewódzkie do Sądu Najwyższego, w istocie nie mogła ograniczyć dominującej kontroli politycznej PZPR. Tej kontroli długo nic nie mogło podważyć; najpiękniej pozornie brzmiąca ustawa zasadnicza także. Jak pisał prof. Wojciech Roszkowski: „Kształt konstytucji PRL wynikał z rosyjskiego rozumienia prawa jako narzędzia w ręku absolutnej władzy, a nie zbioru powszechnie obowiązujących norm precyzujących zasady zachowania jednostek i grup dla dobra ogółu".

Sowiecka osobliwość

Konstytucja rozwinęła po prostu ów, jak wówczas mówiono, „pic fotomontaż". Instytucjonalna rola w tym względzie przypadła osobliwości w dziedzinie naszego państwa i prawa – czyli Radzie Państwa wprowadzonej już do Małej Konstytucji. „Duża" konstytucja zwiększyła jej znaczenie i uprawnienia po zrezygnowaniu z urzędu prezydenta oraz zwiększeniu jej składu. Obecnie składać się miała z przewodniczącego, który pełnił dotychczasowe funkcje prezydenta państwa, z czterech jego zastępców oraz 11 członków.

To ona zarządzała wybory do Sejmu, zwoływała jego sesje, ustalała powszechnie obowiązującą wykładnię ustaw, nadzorowała rady narodowe, sądownictwo i prokuraturę, mianowała i odwoływała ambasadorów, ratyfikowała i wypowiadała umowy międzynarodowe, nadawała ordery, odznaczenia i tytuły honorowe, a także stosowała prawo łaski. Gdy Sejm nie obradował – wydawała dekrety z mocą ustaw oraz mogła na wniosek prezesa Rady Ministrów powoływać i odwoływać członków rządu. Profesor Andrzej Ajnenkiel tak ocenił ów twór: „Tak jak systematyka konstytucji wskazywała wyraźnie na odejście od zasady monteskiuszowskiego podziału władz, tak z kolei w instytucji Rady Państwa uwidaczniała się inna zasada. Było to wzorowane na rozwiązaniach sowieckich zatarcie różnic między władzą ustawodawczą i wykonawczą. Rada Państwa sprawować bowiem miała funkcje należące do pierwszej i drugiej kategorii".

Między sesjami Sejmu Rada Państwa mogła również – przez „wzgląd na obronność lub bezpieczeństwo państwa" – podjąć uchwałę o stanie wojny.



Na plakacie widnieją towarzysze Stalin i – niżej – Bierut

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Na to nocą z 12 na 13 grudnia 1981 r. powoływali się Wojciech Jaruzelski i jego generałowie z junty o nazwie Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, ustanawiając, pozakonstytucyjny zresztą, „stan wojenny".

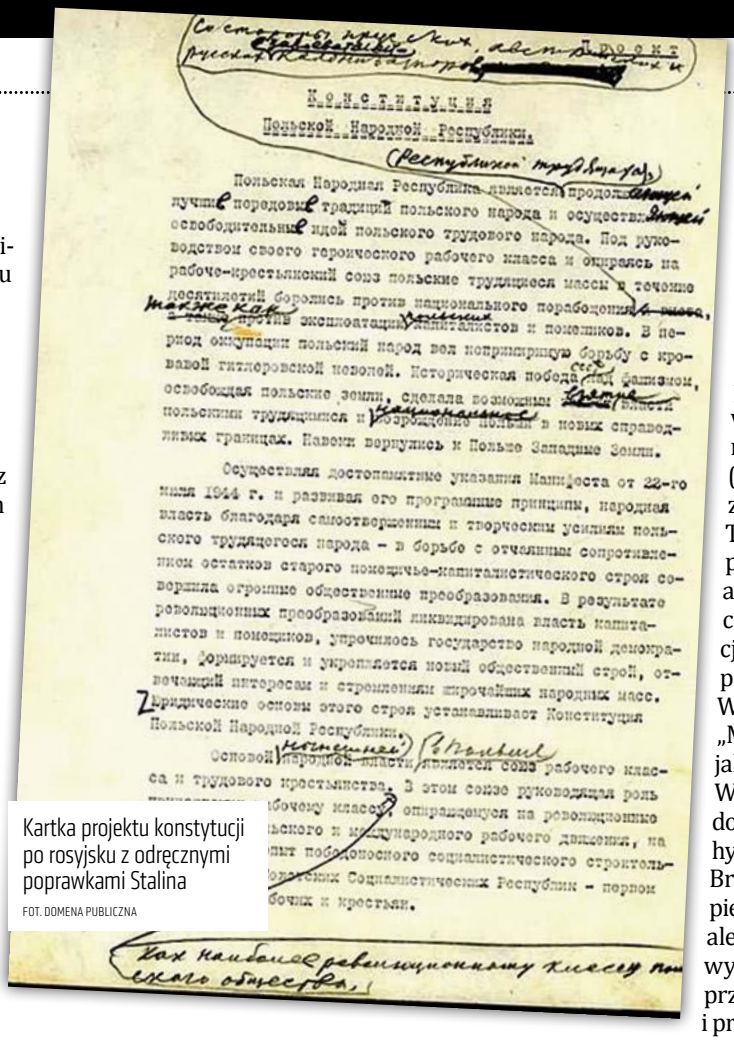
Systemowy brak praworządności bardzo komunistom odpowiadał przy „utrwalaniu władzy ludowej". „Utrwalanie" polegało bowiem na mordowaniu przeciwników politycznych oraz kłamliwej propagandzie i terrorze trzymającym w ryzach większość społeczeństwa. „Władza" oznaczała antynarodową ekipę wprowadzoną do kraju dzięki sowieckiej przemocy. Przymiotnik „ludowa" nie miał zastosowania do tej ekipy, która lud – czyli robotników, chłopów i inteligentów, którym gwarantowała ośmiogodzinny dzień pracy sześć razy w tygodniu – wykorzystywała do pracy siedem dni w tygodniu za zapłatę niestarczającą na przeżycie, a na protestujących czekały kule i więzienia. „Utrwalanie władzy ludowej" było więc zwyczajnym kłamstwem, typowo sowiecką nowomową, tak celnie przedstawioną przez Orwella w „Roku 1984". Za orwellowskim parawanem Małej Konstytucji komuniści też zresztą całkiem skutecznie dzierżyli władzę.

Toteż komisje mające przygotować projekt „dużej" konstytucji powołał dopiero w lutym 1949 r. Sekretariat KC PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która powstała po przyłączeniu w grudniu 1948 r. do Polskiej Partii Robotniczej kolaborującego z komunistami odłamu Polskiej Partii Socjalistycznej, m.in. z Józefem Cyrankiewiczem i Edwardem Osóbką Morawskim na czele). Pracę wszystkich komisji miał nadzorować i koordynować minister sprawiedliwości i członek Biura Politycznego KC PZPR Henryk Świątkowski. Ów przedwojenny prawnik – odpowiadając po roku 1956 za wymiar sprawiedliwości – niejako siłą rzeczy odpowiadał też za najgorsze zbrodnie komunizmu w Polsce.

Natomiast na głównego autora projektu konstytucji wyznaczono Stefana Rozmaryna, adwokata ze Lwowa, który w latach 1940–1941 był prodziekanem Wydziału Prawa na sowietyzowanym już

eprasa.pl 196ee5bd01

Uniwersytecie Lwowskim – akurat w czasie, gdy polskich oficerów rozstrzeliwano w Katyniu i w Charkowie, a setki tysięcy deportowanych z kresów Polaków ginęło w łagrach i stepach. Po ataku III Rzeszy na ZSRS dalszą karierę „naukową" robił w instytutach Swierdłowska i Kazania. Do Polski wrócił wraz z Sowietami i stanęła przed nim otworem profesura na Uniwersytecie Warszawskim (katedra prawa państwowego), PAN i urzędy państwowe. Podobno wychował pokolenie polskich prawników, z których wielu być może czule go do dziś wspomina.



Kartka projektu konstytucji po rosyjsku z odręcznymi poprawkami Stalina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Poprawki tow. Stalina

Zespół konstytucyjny, który natchnienie i gotowe wzory czerpał ze słynnej „stalinowskiej" konstytucji ZSRS z 1936 r. oraz z przekazanych na przełomie lat 1950 i 1951 przez Biuro Polityczne KC PZPR wytycznych, zakończył prace w marcu 1951 r. Wspomniane wytyczne, jak zapewne domyślali się towarzysze z komisji, uwzględniały właśnie uwagi samego towarzysza Stalina.

Krzysztof Persak w artykule „Troskliwy opiekun i światły doradca Polski Ludowej" (w: „Trwanie i zmiana", red. Dariusz Stola i Marcin Zaremba) stwierdza: „Dostępne źródła wskazują, że Bolesław Bierut zwracał się do Stalina z prośbą o opinię w sprawie konstytucji nie raz, ale przynajmniej dwukrotnie – jesienią 1950 r. oraz rok później". Natomiast Paweł Borecki w artykule „Historia powstania Konstytucji PRL" (witryna Racjonalista) te zmiany wyrażone w ok. 50 poprawkach sowieckiego dyktatora ujmuje tak:

„[…] Można je podzielić na trzy grupy: zmiany merytoryczne, sugestie polegające na odmiennym wyrażeniu tych samych myśli oraz zmiany redakcyjne".

Poprawki merytoryczne dotyczyły przede wszystkim treści preambuły. PRL została zatem określona jako „republika ludu pracującego". Stalin zalecił także uwzględnienie faktu istnienia w przeszłości trzech zaborców, a zatem również rosyjskiego. Usunął ponadto ze wstępu słowa: „pod przewodem ZSRR", jakby pragnąc uniknąć wszelkich legislacyjnych przejawów ograniczonej suwerenności Polski. Sformułowanie – dość neutralne – że PRL „ogranicza, wypiera i likwiduje stosunki społeczne oparte na wyzysku" zmieniono na wyrażenie brzmiące jak groźba: „ogranicza, wypiera i likwiduje klasy społeczne żyjące z wyzysku robotników i chłopów" (art. 3). Pojęcie własności prywatnej zastąpiono nieznanym polskiemu prawu pojęciem własności „indywidualnej". Warto odnotować, że „[…] w zakresie regulacji spraw wyznaniowych skreślił sformułowanie: »nawiązując do chlubnej tradycji narodu polskiego«, zamieścił natomiast w art. 69 zasadę, że »Kościół jest oddzielony od państwa«. Usunięto także sformułowanie o prawie jako o wspólnym dobru narodu. W myśl zmodyfikowanego projektu miało być ono wyłącznie »wyrazem woli ludu pracującego«. Jest rzeczą charakterystyczną, że przywódca radziecki szczególnie często zalecał dodanie słowa: »narodowy«".

Prawdopodobnie wedle zaleceń Stalina zrezygnowano z nazwy Polska Republika Socjalistyczna, do Polska Rzeczpospolita dodając jednak Ludowa; oraz skreślono sformułowanie o „kierowniczej roli PZPR". Orła Białego według projektu godła państwowego z 1927 r. prof. Zygmunta Kamińskiego (zapewne we współpracy z żoną, rzeźbiarką Zofią Trzcińską-Kamińską) pozostawiono jako ptaka, ale pozbawiono go korony, co zniekształciło proporcje i odebrało mu symbol państwowej niezależności. Wreszcie pozostawiono „Mazurek Dąbrowskiego" jako hymn narodowy. Wprawdzie Bierut z uporem do napisania nowych słów hymnu skłaniał Władysława Broniewskiego, ale ten – najpierw listownie, stanowczo, ale spokojnie, a następnie wykpiwając go na jakimś przyjęciu z alkoholem głośno i przy świadkach – odmówił. „Czułbym się jakbym Orłowi Białemu urwał głowę!" – powiedział podobno „towarzyszowi Bolesławowi", specjalnie wymawiając słowa z rosyjskim akcentem.

Wygląda na to, że Józef Stalin jako troskliwy opiekun wiernych mu komunistów w PRL chciał uchronić ich przed niepotrzebnymi kłopotami wynikającymi ze sporów o słowa i symbole, na które wrażliwy jest polski słuch i wzrok, natomiast pozostawiał i wzmacniał wszystko, co rzeczywiście umacniało ich totalną władzę. Pragmatykiem bolszewickim był Josif S., ot co.

22 Lipca

W maju 1951 r. uchwalono ustawę o trybie przygotowania konstytucji, a we wrześniu zebrała się sejmowa Komisja Konstytucyjna. Jej obrady nie miały większego znaczenia, ponieważ „Projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej", który opublikowano w styczniu 1952 r. i przekazano do „konsultacji społecznych", ulepiła prawnicza grupa robocza prof. Rozmaryna, która skrupulatnie wprowadzała uwagi kierownictwa

eprasa.pl 196ee5bd01

partii. Te zawierały oczywiście wszystkie poprawki towarzysza Stalina. Projekt sygnowała pro forma sejmowa Komisja Konstytucyjna, która w sumie zebrała się zaledwie cztery razy pod przewodnictwem Bieruta.

On też przed Sejmem omawiał 18 lipca 1952 r. prace komisji i ich wynik, z dumą mówiąc o 11 mln obywateli, którzy podobno poparli projekt konstytucji „jako wyraz pragnień i poglądów najszerszych mas polskiego ludu pracującego w ciągu minionych ośmiu lat". O wrogach zarzucających sowieckie naśladownictwo powiedział: „Obrazuje to wyjątkową wprost obłudę i tępotę amerykańskich najmitów. Jest bowiem rzeczą jasną, że, jako kraj budującego się socjalizmu, korzystamy z olbrzymiego dorobku kraju, w którym socjalizm zwyciężył. Ale jest również rzeczą bezsporną i jasną, że nasza konstytucja wyrasta z najgłębszych pokładów polskiej gleby [...]. Jest wcieleniem wielowiekowych dążeń (narodu), jest rozwinięciem jego najbardziej postępowych tradycji, które są dla nas przedmiotem dumy".

Na uchwalenie tej ustawy zasadniczej wyznaczono dzień 22 lipca, nawiązując do daty powstania – rzekomo w Lublinie – Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w 1944 r. To w ogóle ciekawa data. Na przykład 22 lipca 1018 r. Bolesław Chrobry pokonał nad Bugiem ruskiego księcia Jarosława Mądrego, otwierając sobie drogę do Kijowa. Z kolei 22 lipca 1793 r. deputacja sejmu grodzieńskiego, obradującego pod lufami dział moskiewskich, podpisała traktat z Rosją, zrzekając się na jej rzecz ogromnych obszarów kresowych (250 tys. km kw.). Był to akt pierwszy II rozbioru. Ale znów 22 lipca 1807 r. Bonaparte nadał konstytucję Księstwu Warszawskiemu… Wiele innych jeszcze ciekawych wydarzeń miało miejsce tego dnia. Było z czego wybierać. Wybrano utworzony w Moskwie PKWN.

Konstytucję PRL za czasów istnienia PRL, czyli od 1952 do 1989 r., modyfikowano 18 razy (do 1997 r., kiedy ją zastąpiła obecna konstytucja – 24 razy). Nowelizacja była nader prosta – następowała w drodze ustawy uchwalonej przez Sejm większością co najmniej dwóch trzecich głosów w obecności co najmniej połowy ogólnej liczby posłów. Konstytucja nie określała jednak zasad powyższej procedury, co ułatwiło w przyszłości częste jej przeprowadzanie. W miarę potrzeb, chciałoby się powiedzieć, i to bynajmniej nie obywateli.

I tak ustawą z 10 lutego 1976 r. wprowadzono zapis, że Polska jest państwem socjalistycznym (w miejsce dotychczasowego określenia – państwo demokracji ludowej), PZPR – przewodnią siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu, a PRL w swej polityce umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich i innymi państwami socjalistycznymi. Zapisy te wywołały protesty społeczne, a te – zwłaszcza listy złożone do Sejmu przez opozycjonistów o znanych nazwiskach – wywołały rezonans na Zachodzie. Były to: List 59 oraz Memoriał 101.

Na koniec zacytuję, z niewielkimi skrótami, pierwszy z dokumentów, który powstał z inicjatywy Jana Olszewskiego i w jego – wraz z Jakubem Karpińskim i Jackiem Kuroniem – redakcji. Zawiera on protest przeciw aroganckiemu nadużyciu wobec Polaków, a także najbardziej lapidarną i celną analizę istoty ustroju PRL:

„Powodowani troską obywatelską uważamy, że Konstytucja i oparte na niej prawodawstwo powinny zagwarantować przede wszystkim następujące wolności obywatelskie:

Wolność sumienia i praktyk religijnych. Wolności tych nie ma, gdyż ludzie przyznający się do wierzeń religijnych lub ujawniający światopogląd odmienny od oficjalnie obowiązującego nie są dopuszczani do znacznej części kierowniczych stanowisk w urzędach i instytucjach publicznych, organizacjach społecznych i gospodarce narodowej. Dlatego należy zapewnić wszystkim obywatelom, bez różnicy religii, światopoglądu lub przynależności partyjno-politycznej jednakowe prawo do obejmowania stanowisk państwowych. […] Należy także umożliwić wszystkim grupom wyznaniowym swobodne wykonywanie praktyk religijnych oraz budowę świątyń.

Wolność pracy. Wolności tej nie ma, gdy państwo jest jedynym pracodawcą, a związki zawodowe są podporządkowane instancjom partyjnym, sprawującym w praktyce władzę państwową. W tych warunkach – jak wskazują doświadczenia lat 1956–1970 – próby obrony interesów robotniczych grożą rozlewem krwi i prowadzić mogą do poważnych zaburzeń. Dlatego należy pracownikom zapewnić możliwość swobodnego wyboru własnej reprezentacji zawodowej, niezależnej od organów państwowych lub partyjnych. Należy zagwarantować również prawo do strajku.

Wolność słowa i informacji. Gdy nie ma wolności słowa – nie ma swobodnego rozwoju kultury narodowej. Gdy wszystkie publikacje przed ukazaniem się podlegają cenzurze państwowej, a wydawnictwa i środki masowego przekazu są kontrolowane przez państwo – obywatele nie mogą świadomie ustosunkować się do decyzji władzy państwowej, ta zaś nie wie, jaki jest stosunek społeczeństwa do jej polityki. […] Dlatego należy znieść cenzurę prewencyjną, a odpowiedzialność w wypadku naruszenia ustawy prasowej egzekwować tylko w drodze postępowania sądowego.

Wolność nauki. Nie ma wolności nauki wówczas, gdy kryteria doboru kadry naukowej i tematów badań określane są przez władze państwowe i mają charakter polityczny. Dlatego należy przywrócić autonomię wyższych uczelni i zapewnić samorządność środowiska naukowego.

Zagwarantowanie tych podstawowych wolności nie da się pogodzić z przygotowywanym oficjalnie uznaniem kierowniczej roli jednej partii w systemie władzy państwowej. Tego rodzaju konstytucyjne stwierdzenie nadawałoby partii politycznej rolę organu władzy państwowej, nieodpowiedzialnego przed społeczeństwem i niekontrolowanego przez społeczeństwo. W tych warunkach Sejm nie może być traktowany jako najwyższy organ władzy ustawodawczej, rząd nie jest najwyższym organem wykonawczym, a sądy nie są niezawisłe. Należy zapewnić realizację prawa wszystkich obywateli do wysuwania i wybierania swych przedstawicieli w pięcioprzymiotnikowych wyborach. Należy zapewnić niezawisłość sądów od władz wykonawczych, a Sejm uczynić rzeczywiście najwyższą władzą ustawodawczą […]".

Pierwszą nowelizacją Konstytucji PRL po przełomie politycznym była pod koniec 1989 r. zmiana nazwy państwa na Rzeczpospolita Polska i przywrócenie godłu państwowemu korony. Za tym symbolicznym posunięciem tak długo kryła się jednak władza środowisk związanych z dawnym ustrojem, że niebezpodstawnie mówiono o powstaniu czegoś w rodzaju PRL-bis.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01

1888–1941 / Życie i twórczość autora „Zmór”

Jego EMILencja Zegadłowicz



Krzysztof Masłoń

Potrafił wokół siebie wytworzyć atmosferę wzmożonego podniecenia. Bywało, że artystycznego

Żył na prowincji, a znał wszystkich i wszyscy go znali. Uznano go za ekspresjonistę, ale brak znaków przestankowych i dużych liter był tylko nowinką, a niebawem miał się jakby znikąd pojawić w jego wierszach surrealizm. Julian Przyboś w sławnym pamflecie „Chamuły poezji”, wymierzonym – jego zdaniem – w młodopolskich epigonów, nazwał go „łajniarzem, bezwstydnym skatologiem Ewangelii, udającym poetę i bezczeszczącym gadatliwą gwarą słowa wielkie, które się powinno wymawiać szeptem z czcią i poszanowaniem ich odświętnej niezwykłości”, niemniej i stroniący od pamfletów poważni krytycy, tacy jak Stefan Kołaczkowski czy Karol Irzykowski, nie pozostawiali na twórczości Emila Zegadłowicza suchej nitki. A przecież miał on swoich wyznawców, uważających go za wzorcowego wręcz artystę poszukującego, do tego traktującego sztukę iście wyjątkowo – jako sacrum.

Jego rodzice byli nauczycielami wadowickiego gimnazjum, Elżbieta uczyła



FOT. NAC

eprasa.pl 196ee5bd01

muzyki, Tytus – łaciny. Tytus Zegadłowicz przybył w Beskidy spod Stanisławowa, gdzie był księdzem greckokatolickim, przy tym żonatym. Małżonka go opuściła, ale reguły kościelne obowiązywały go nadal; w efekcie rodzice Emila wzięli ślub w… Siedmiogrodzie, gdy on był już w drodze. W drodze też przyszedł na świat, 20 lipca 1888 r. w Bielsku (obecnie Bielsko-Biała) w zajeździe Pod Aniołem, w którym zatrzymali się, wracając z Sibiu, gdzie w metropolii samoistnego kościoła mogli otrzymać ślub mający moc prawną, czego jednak rodzice Elżbiety nie przyjęli do wiadomości. Bardzo było to wszystko skomplikowane, a skutki miało fatalne – matka Emila niemal zaraz po porodzie zostawiła męża z dzieckiem w Gorzeniu, zamieszkując u rodziców w Wadowicach, syna widując okazjonalnie.

Chłopcem w dzieciństwie zajmowały się mamki i opiekunki, potem – po śmierci ojca, który zmarł, gdy Emil miał jedenaście lat – ciotka, szwagierka matki. Jeśli chodzi o tę ostatnią – właściwie była permanentnie chora i to obłożnie. W każdym razie po tym, jak dała sobie wmówić, że swoim czynem obraziła Boga i ludzi, niezależnie od innych przypadłości popadła w ciężką depresję. Niewątpliwie matkę, rodem spod Budziejowic, miała koszmarną. Znacznie ciekawszą postacią był ojciec Elżbiety, a dziadek Emila – Wacław Kaiszar – muzyk z Pragi czeskiej, były kapelmistrz orkiestry wojskowej, organista, który – według legendy rodzinnej – przyjaźnił się nawet z Janem Straussem. W Wadowicach, w czasach, gdy poznał go mały Emil, głównie tęsknił za ojczyzną, podśpiewywał „Kde domov můj", podczas gdy jego połowica przepijała pieniądze, których zawsze im brakowało.

Po śmierci ojca Emil został dziedzicem jego majątku, czyli dworu w Gorzeniu i gospodarstwa. Na razie zarządzała tym wszystkim ciotka, on zaś kształcić się miał, i to – co niemal od zawsze było oczywiste – na artystę. Jaki był świat wokół niego, ten najbliższy?

Gerwazy i Protazy

„Wtedy to Małopolska zwała się Galicją i Lodomerią, a mieszkańcy dziadami lub centusiami galicyjskimi – pisał Zegadłowicz po latach w »Zmorach«. – Nieprzyjemne to było, ale prawdziwe – jak i te dziady również prawdziwe i nieprzyjemne były. Poza tym wszystko w porządku zwykłym: częste smutki, rzadkie radości; zależnie od awansów. Technika trawienia, rozmnażania się, sposoby bytowania były zresztą identyczne, jak w reszcie krajów po tej i tamtej stronie granic. Bogatsi gardzili uboższymi – ci zaś odwzajemniali się nienawiścią – jak wszędzie, jak zawsze.



Zdjęcie ze spektaklu „Domek z kart" w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie FOT. NAC

W tej to Galicji, w jej zachodniej połaci miedzy ziemią krakowską i śląską, przysiadło w gnieździe śródgórskim Beskidu Małego, vel Polskiego vel Kocierskiego, miasteczko Wołkowice. Niegorsze od innych miasteczek, miało w centrum obszerny, od niechcenia brukowany majdan, zwany rynkiem, z dużą – pośrodku – kwadratową, ocembrowaną blokami kamiennymi studnią pod starymi, wspaniale rozrosłymi kasztanami, oraz dwie centralne budowle: kościół i koszary, także i gmach szkoły średniej w stylu koszarowym i sąd, i więzienie – poza tym propinację, trafikę z loterią i liryczny zamtuzik z zielonymi okiennicami i żółtymi roletami: maleńka, petitowa iosziwarka zachodniogalicyjska. Był i cmentarz – cywilny jeden, wojskowy drugi. Więc musiały też być i szpitale; były. No i były też domy, prywatne, parterowe, a nawet jednopiętrowe. Pewna ilość tych domów paralelicznie ustawiona w ten sposób, że tworzyła się pośród wydłużona przestrzeń – plus owe wzmiankowane domy publiczne tworzyły miasto: wydłużoną przestrzeń śródomną nazywano ulicą. Wołkowice miały sporo ulic; niektóre były krótkie, inne długie; nazywały się różnie: była i Psia ulica, i ulica Wiedeńska".

Mowa dyrektora wadowickiego gimnazjum (bo to Wadowice nazwał pisarz Wołkowicami), którą wygłosił, żegnając maturzystów roku 1906, powieściowego Mikołaja Srebrnego (naprawdę Emila Zegadłowicza-Kaiszara, gdyż takie nazwisko widniało na jego świadectwie maturalnym) i jego szkolnych kolegów, musiała zrobić wrażenie na przyszłym pisarzu. A że działo się to 19 czerwca, dyrektor ów, którego poznajemy w „Zmorach" jako dr. Baltazara Mertza, kawalera orderu św. Salwatora, wywodził:

– tak się dziwnie i proroczo składa, że dziś właśnie mamy świętego Gerwazego i Protazego, których, jako wierną parę przyjaciół dozgonnych skreślił nasz nieśmiertelny wieszcz Adam Mickiewicz –

– pamiętacie z lekcyj literatury polskiej te świetlane z wielkiej przeszłości naszej wykrojone niejako i przyszłości przekazane postacie – któżby, zapytam, nie pamiętał owej serdecznej rozmowy, gdy sobie ci mili staruszkowie – niewątpliwie antenaci nasi – gwarzą na przyzbie w soplicowym dworze: tak, tak, panie Gerwazy – tak panie Protazy –

– ilekroć myśl moja z rozrzewnieniem dotyka tych dwu znamienitych person – tylekroć jawi się przed oczami duszy jako symbole wspólnej doli Austrii i Polski –

– Austria dziedziczka jagiellońskiego rozkwitu naszej przeszłości królewskiej – to Gerwazy, – Polska, królewskie swe dziedzictwo z cesarskością mądrze łącząca – to Protazy; – to jasne –

– kreśląc tę parę serdecznych przyjaciół, o ileż przewyższających inną znaną parę Gawła i Pawła, przewyższających ideą, myślą, powagą – przeczuł i przewidział nasz nieśmiertelny wieszcz losy przyszłe państwa najłaskawiej panującego nam monarchy i losy nasze wtopione w nie nierozerwalnym sojuszem nie martwej litery prawa, lecz sojuszem radośnie bijących serc –

– gdy Austria mówi: tak, tak, panie Protazy – Polska odpowiada: tak panie Gerwazy […].

„Odśpiewaniem poważnego hymnu »Boże wspieraj« i skocznego mazurka »Jeszcze Polska nie zginęła« zakończyła się uroczystość" – kończył opis Emil Zegadłowicz. A ta dyrektorska mowa weszła do annałów literatury polskiej. Jak najsłuszniej.

Haj bywało bywało

Większość czytelników „Zmór" ekscytowała się jednak głównie opisem seksualnych wyczynów przedsiębiorcy pogrzebowego pana Podrzwistaka, zwanego Raciatym. Dokonywał ich w cmentarnej szopie, gdzie przechowywał akcesoria zawodowe, a więc lichtarze, podstawki w kształcie trupich głów

eprasa.pl 196ee5bd01

i piszczeli i katafalk, wykorzystywany do celów erotycznych. Niejaka Roza kwitowała to słowami: „– fajne masz życie – ciupciasz sobie na katafalku – a interes śpiewający defiluje przed tobą". Zaczynał się bowiem kolejny pogrzeb.

Erotyka wysuwała się na pierwszy plan głównie w prozie Zegadłowicza, choć pisał i wiersze erotyczne, najśmielsze z nigdy nie wydanego tomu „Dziewczyna". Ale w poezji najlepsze okazać się miały utwory związane z folklorem beskidzkim, niezależnie od faktu, że to one wzbudziły wściekły atak Przybosia.

W „Powsinogach beskidzkich" z 1923 r. znalazła się wśród innych ballad i ta „O trzecim powsinodze beskidzkim sadowniku, o oknie w nie swój sad spoglądającym życzliwie, także o jabłkach, gruszach, śliwach i drzewie krzyżowym rozkwitłym owocami":

– jabłka słoneczne jabłka z raju się wywodzą –
– jabłka rumiane jabłka rajskie sny przywodzą –
– grusze wpodłuż się wężą jak wspomniany zapach –
– w snach schodzą się do izby na kogucich łapach –
– śliwki mglistym granatem od świata odcięte –
– o jabłka grusze śliwy o owoce święte –
ino się tym sękaczem bije po cholewie –
taki ci jest; wie wszystko: ten goj hań ma lata
robak je u korzenia – temu liść oblata –
i tak dalej wymamle: tamten mo rok piąty –
wyzdradzi bezkurcyjo wszystkie sadu kąty –
za ojców i za dziadów bieroł stąd węgierki
– haj bywało bywało – dziś ino wybierki –
Jakie renety złote jakie papierówki
kożuski i te gdańskie jakby proboszczówki
świętojanki malinki ryngloty czubatki
ulęgałki muszkatki lubaszki banatki
haj bywało –
Przypominał poeta, że:
Sadownictwo rzecz święta:
– jak Panbóg świat stworzył
pierse se na uciechę
ogródek założył
– ano gatonki fajne
– haj poro sceśliwa –
Chodził se adam z ewą
oględować dziwa.
I odtąd:
Jabłoni się i gruszy śliwi serce sadu
wpatrzone w żrałość swoję – w przedzgonie opadu –
moreli się brzoskwini malinowe chruście
na tym dojrzenia soków stubarwnym odpuście –
bezpieczy się opłocie orzeszy leszczyni –
– gwiazdy się przypatrują malinowej skrzyni.

No, istny Leśmian. Ale te wszystkie „neologizmy-leśmianizmy" były całkiem niezłe. Gorzej z wierszami znacznie bardziej poważnymi. Oto w 23. numerze „Wiadomości Literackich" z 1935 r. znaleźć można raczej grafomański utwór Zegadłowicza – „Patrząc na pogrzeb Marszałka" – z taką oto strofą:

a ciało w srebrnej trumnie
z trzema szybami –
– trudno się Polakom rozstać
z Twymi marsowymi brwiami.



Karol Irzykowski, Juliusz Kaden-Bandrowski, Wanda Melcer, Emil Zegadłowicz FOT. NAC

Prącie Xiężycowe

Gdy w 1981 r. Wydawnictwo Łódzkie dostało zgodę na publikację osławionych, a mało komu znanych „Motorów", poprzedziło powieść wstępem, w którym podkreślono, że autor powetował sobie w niej „wcześniejsze przymusy i brał odwet na Ciemnogrodzie, napastującym go za »Zmory«".

„Demonstracyjnie pisał Bóg z małej litery, a ponieważ współtworzy to zgodny z wolą autora klimat powieści, tę pisownię zachowano. Zerwawszy z chrześcijaństwem i zadeklarowawszy się jako sympatyk komunizmu, wyraził tyle totalnego buntu obyczajowego, socjalnego i politycznego, że powieść jako znak czasu uległa konfiskacie. Było zaniedbaniem, wywołanym przesądami obyczajowymi, że konfiskaty tej dotąd nie zniweczono wznowieniem. »Motory« – na skutek widocznych płyciznn myślowych – nie są źródłem pozytywnych wskazań moralnych, są jednak świadectwem i ostrzeżeniem, jak raniący, jak obezwładniający może być obskurantyzm, sprzysiężony z politycznym wstecznictwem i społecznym skostnieniem".

Jak w lustrze odbija się w tych zdaniach asekuranctwo połączone z – ówczesną! – polityczną poprawnością. A swoją drogą, warto przypomnieć okoliczności powstania „Motorów", o których tak pisała Krystyna Kolińska w książce „Zegadłowicz. Podwójny żywot Mikołaja Srebrempisanego", zaczynając od roku 1937, „kiedy to wydawca »Motorów« pan Krieger z Wadowic przyszedł do autora z pierwszym egzemplarzem powieści:

– Tuszę, kochany panie Emilu, że zwrócą mi się z nawiązką zainwestowane w dzieło pieniądze. Sensacja na wielką skalę, zbledną lica kołtunów, zemdleją dewotki.

Było to przysłowiowe »łowienie ryb przed siecią«. Klęska! I echo nie za potężne. Z egzemplarzy skonfiskowanych jeszcze w drukarni udało się ocalić pewną ilość. Jeden przesłał autor Julianowi Tuwimowi z serdeczną dedykacją. Wkrótce otrzymał podziękowanie:

»Najdroższy Emilu! Cudowna, wyzwalająca książka! Ale nie mogę […] zrozumieć […], dlaczego z góry nie przewidziałeś, że Ci ją skonfiskują. […] Czy nie lepiej było to i owo «złagodzić» w druku, żeby przepiękną całość uratować? Mogłeś przecież, cudne moje Prącie Xiężycowe, wydrukować 100 pełnych, nieskastrowanych egzemplarzy dla przyjaciół i pewniaków. Czyś Ty dopiero dziś rano spadł z Województwa Lunarnego na polską ziemię roku 1937?«…

Wraz z »Motorami« pojawiły się u Zegadłowicza silniejsze niż zazwyczaj lęki. Wyolbrzymiał je stwarzaniem sztucznej atmosfery zagrożenia. Spośród goszczonych w Gorzeniu beskidzkich młodziaków – kandydatów na malarzy, rzeźbiarzy, poetów, na chłopskich radykałów, werbował drużyny krążące nocą wokół domu, wypatrujące czyhającego wroga. Bywało, że i sam chadzał pośród drzew z nabitą bronią, przedzierał się przez zarośla.

Krucho z nerwami, krucho z pieniędzmi, w ogóle – krucho. I nietęgo też z sercem, z płucami, z żołądkiem".

Żeby zrekompensować wydawcy poniesione koszty, lecz także dla podreperowania własnej sytuacji finansowej, ruszył wkrótce wraz z Marią Koszyc w objazd Polski – z odczytami. Prawdopodobnie wziął z nią wtedy ślub – u mariawitów, nie mający prawnego znaczenia. Jego towarzyszka przedstawiała się odtąd jako Maria Zegadłowiczowa. A pan Zegadłowicz wysyłał listy do prawowitej małżonki, matki jego córek, też Marii, namawiając: „Przekreślimy to wszystko – złe i głupie… 25 lat wspólnej niedoli i doli, no!".

eprasa.pl 196ee5bd01

Impresario odczytowej serii tak potem wspominał tę literacką trasę: „Odczyt w Sosnowcu rozpoczął się normalnie przy wypełnionej sali, ale po piętnastu minutach z tylnych rzędów zaczęły w stronę mówcy lecieć jajka. Taki był zwyczaj bojówek, które przychodziły przerwać odczyt. Rozlegały się okrzyki: »Precz z nim!«, »Warchoł«, »Komunista«, »Żydowski pachołek«. Odczyt musieliśmy przerwać". W Rzeszowie, Jarosławiu, Lwowie i Stanisławowie do spotkań skandalizującego pisarza z publicznością nie dopuściły władze. Ale w Warszawie, gdzie Zegadłowicz wystąpił w wynajętej sali na Karowej w godzinę po Ordonce, bilety szły jak woda. Udał się także odczyt w Łodzi, w Sali Malinowej hotelu Grand, z tym że – opowiadał impresario – autor „Motorów" o pewnych rzeczach nie wiedział. „Przed odczytem musiałem za pośrednictwem PPS-u, którego wówczas już byłem członkiem, organizować ludzi, aby zabezpieczyli salę przed ewentualnymi ekscesami. To samo musiałem zrobić w Kaliszu, gdzie tak obstawiono gotujących się do zerwania odczytu endeków, że nie zdołali nawet przemycić jaj na salę. PPS-owcy znali w Kaliszu swoich kontrpartnerów. Odczyt się odbył, ale wyszliśmy w tłum ludzi przez szpaler. Zegadłowicz myślał w pierwszej chwili, że to objawy entuzjazmu, ale wkrótce zorientował się, że sytuacja jest naprężona. Czym prędzej pojechaliśmy taksówką na dworzec".

W lewo zwrot

Zawsze pisał dużo, najczęściej ponad miarę. W jego bibliografii doliczyć się można ok. 40 samych tomów poetyckich, choć trzeba pamiętać, że były to często druki bibliofilskie, a zdarzały się istne kurioza, jak wydana w 1923 r., napisana wraz z Edwardem Kozikowskim, „Niam-Niam. Antologia poezji murzyńskiej", którą jakoby obaj panowie przełożyli na język polski. Bodaj tylko Tadeusz Sinko zorientował się, że to mistyfikacja. A nawiasem mówiąc, w swoim gigantycznym dorobku literackim miał Zegadłowicz także przekłady, które należałoby potraktować bardziej serio, choć nie one zadecydować miały o miejscu twórcy „Kolędziołek beskidzkich" w XX-wiecznym piśmiennictwie polskim.

Ale nie ostały się próbie czasu również dramaty Emila Zegadłowicza, choć – szczególnie w okresie swojego związku z aktorką i reżyser teatralną Stanisławą Wysocką – przywiązywał do nich ogromną wagę. Nigdy nie została poparta dowodami plotka o wykorzystaniu przez Leona Kruczkowskiego jego znanego jedynie z opowieści dramatu „Sin Się, Jude?" jako materiału do sławnych później „Niemców". Raczej należy sądzić, że była to jeszcze jedna próba odsądzenia od czci i wiary pisarza, który w kresie stalinowskim okrył się już niesławą, dopisując czwarty akt do „Grzechu" Stefana Żeromskiego.



Ale popełnił Zegadłowicz inny dramat, znany aż za dobrze „Domek z kart", z którego Erwin Axer po scenicznym sukcesie sztuki w Teatrze Współczesnym w Warszawie przeniósł na ekran, realizując w 1953 r. jedyny swój film. Rzecz miała wymowę antysanacyjną, a głównego bohatera, szykanowanego przez władze artystę, wyzwalają w drodze – a jakże, do Berezy – żołnierze sowieccy. Całość kończy się więc optymistycznie, a jednego z kacapskich sołdatów gra, niewymieniony w czołówce filmu, Bronisław Pawlik. Ot, ciekawostka.

Autora „Domku z kart", którego tytuł zrobił zawrotną karierę w powojennej propagandzie, usprawiedliwić może jedynie to, że dramat pisał bezpośrednio po klęsce wrześniowej – gorycz pisarska miała więc swoje uzasadnienie. No i swoje zrobił zwrot Zegadłowicza na lewo, dokonany pod wpływem ostatniej swojej partnerki, publicystki lwowskich „Sygnałów", figurującej zresztą jako współtwórczyni sztuki, wspominanej już tutaj Marii Koszyc-Szołajskiej. Zwrot, który u pomawianego o religianctwo (!) byłego doradcy literackiego Księgarni Świętego Wojciecha w Poznaniu i szefa Polskiego Radia w tym mieście objawił się zaciśniętą pięścią wzniesioną we Lwowie na Kongresie Pracowników Kultury i śpiewaniem „Międzynarodówki" na zmianę z „Czerwonym Sztandarem".

Pomniejsze ideowe (?) wolty Emila Zegadłowicza były liczne, mało spójne, a literacko nieowocne. W każdym razie odnotujmy, że z Poznaniem, gdzie na przełomie lat 20. i 30. obwieszony był rozmaitymi ważnymi stanowiskami niczym choinka, rozstał się po tym, jak w grudniu 1931 r. w „Dwutygodniku Literackim" opublikował podpisany „EMILencja" „List pasterski", atakujący poznański „Klechistan, gdzie króluje zadyszana, niechrześcijańska obłuda". Powrócił wtedy do Gorzenia i niebawem, bo w 1933 r., urządzono uroczyste obchody 25-lecia jego pracy literackiej, w trakcie których nadano mu honorowe obywatelstwo Wadowic i nazwano jego imieniem jedną z tamtejszych ulic. Po czym po ukazaniu się drukiem „Zmór" w 1936 r., mniej uroczyście, pozbawiono go tych zaszczytów.

Zmarł Emil Zegadłowicz w 1941 r. Nie dożył 53 lat, pokonała go choroba nowotworowa. Zainteresowanie jego twórczością stopniowo wygasało, choć jego twórczość, naturalnie nie cała, miała zawsze swoich miłośników. Jego wiersze, powiedzmy, franciszkańskie i, ogólniej rzecz ujmując, beskidzkie wywarły wpływ m.in. na innego, jak miało się okazać, sławniejszego wadowiczanina – Karola Wojtyłę.

W latach 80. zeszłego wieku dokonano prób ożywienia zainteresowania osobą Zegadłowicza i jego twórczością. Marczewski nakręcił wtedy „Zmory" z Piotrem Łysakiem i Tomaszem Hudźcem w głównej roli Mikołaja Srebrnego (w dzieciństwie i później) i z wyrazistą kreacją Stanisława Igara, który wcielił się w postać gimnazjalnego belfra ze złego snu. PIW wydał wybór jego poezji, dwukrotnej edycji doczekały się też „Motory". Ale ta proza, w której można było przed wojną doszukiwać się choćby pornografii, pozostawiała czytelnika obojętnym.

Pod tym względem nic się nie zmieniło i nie zmieni. Jedno tylko trzeba przyznać autorowi takich dawno temu wystawianych, i to chętnie, dramatów jak „Lampka oliwna" i „Łyżki i księżyc", że potrafił wokół siebie wytworzyć atmosferę wzmożonego podniecenia. Bywało, że artystycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01



Generał Jan Podhorski „Zygzak” FOT. WIKIPEDIA/TOMASZ WACHOWSKI

Książka miesiąca / Agnieszka Cubała

Powstańcy wielkopolscy ’44

Jan Podhorski ps. Zygzak przedzierał się akurat ze swoją drużyną zagruzowaną ul. Świętokrzyską, gdy zwrócił uwagę na sanitariuszki męczące się z ciężkimi noszami. „Mówię: »Słuchajcie, pomóżcie im […] przenieść tego rannego przez gruzy, bo widzicie, nogi połamią«. Szybko zeszliśmy na dół, bo to wręcz do połowy parteru kupa z gruzów, ścieżka tylko trochę jakoś między tymi cegłami [wydeptana], dotarliśmy do kolumn Jasnej, narożnik. Nagle świst »kolejówki«, w to miejsce, gdzie zatrzymaliśmy się, […] rąbnął pocisk. Zawsze powtarzam, [że] dobry uczynek opłaca się, pomogliśmy, zeszliśmy, uratowało się sześć, siedem osób” – wspominał tę sytuację 101-letni dziś Jan Podhorski.

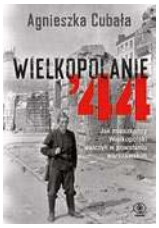
Ten urodzony w wielkopolskim Budzyniu harcerz w Powstaniu Warszawskim walczył najpierw jako żołnierz Pułku NSZ im. Władysława Sikorskiego, a następnie bił się w 2. kompanii batalionu „Miłosz” jako dowódca grupy szturmowej. 23 sierpnia brał udział w udanym szturmie na Komendę Policji oraz kościół św. Krzyża.

Jan Podhorski zaczął swój udział w wojnie we wrześniu 1939 r. u siebie Wielkopolsce jako ochotnik w batalionie Obrony Narodowej „Opalenica”. Po aresztowaniu przez gestapo i niesamowitej ucieczce z więzienia harcerz z Budzynia musiał dla własnego bezpieczeństwa przenieść się z Wielkopolski do Generalnego Gubernatorstwa. W ten właśnie sposób koleje losu zaprowadziły Jana Podhorskiego na powstańczy szlak. Książka Agnieszki Cubały pełna jest takich historii – Wielkopolan, którzy latem 1944 r. na skutek przeróżnych zbiegów okoliczności walczyli o wyzwolenie stolicy Polski.

W Powstaniu Warszawskim biło się ponad tysiąc Wielkopolan – tylu ich oficjalnie naliczyli historycy. Wśród najsłynniejszych powstańców warszawskich z Wielkopolski wymienić można choćby mjr. Adama Borysa, ps. Pług, dowódcę batalionu „Parasol”, por. Romana Rożałowskiego, ps. Siekiera – dowódcę Zgrupowania „Siekiera” – czy choćby ppor. Władysława Cieplaka, ps. Giewont – dowódcę 3. kompanii batalionu „Zośka”. Poza tym w szeregach powstańców walczyło wielu harcerzy, sanitariuszek i łączniczek, przybyłych po wrześniu ’39 do stolicy. Skąd wzięło się wówczas w Warszawie tak wielu młodych ludzi z zachodniej części Polski? Jak tłumaczy autorka „Wielkopolan ’44” Agnieszka Cubała:

„Powstanie warszawskie to temat bliski wielu Wielkopolanom. Podczas II wojny światowej w wyniku wysiedleń z tzw. Okręgu Rzeszy Poznań (niem. Reichsgau Posen) i Kraju Warty (niem. Reichsgau Wartheland) niejedna rodzina przymusowo przeprowadziła się do stolicy. Miasto stało się również celem konspiratorów poszukiwanych przez gestapo i osób prześladowanych za propolską działalność w okresie dwudziestolecia międzywojennego. To dlatego Wielkopolanie stanowili tak liczną grupę uczestników powstania warszawskiego”.

Ciekawie tłumaczyła ten fenomen kapitan Zofia Grodecka (1926–2020), która w czasie zrywu w stolicy walczyła jako strzelec oraz łączniczka. Gdy dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego” zapytał ją: „Dlaczego mamy czcić klęskę Powstania Warszawskiego, skoro mamy swoje zwycięskie powstanie wielkopolskie?”, Zofia Grodecka odpowiedziała w następujący sposób: „Wielkopolanie nie chcą przyjąć do wiadomości, że w Powstaniu Warszawskim brało udział wielu Wielkopolan. Byli na wysokich, dowódczych stanowiskach. Pułkownik Adam Borys, dowódca „Parasola” – to tylko jeden przykład z całego szeregu. Powstanie z 1944 r. było powstaniem narodowym. Warszawskim z lokalizacji, a narodowym w treści. Tej tezy jakoś nikt nie chce pochwycić”. ©℗ ***Piotr Włoczyk***



AGNIESZKA CUBAŁA
„WIELKOPOLANIE ’44. JAK MIESZKAŃCY WIELKOPOLSKI WALCZYLI W POWSTANIU WARSZAWSKIM”
REBIS

eprasa.pl 196ee5bd01

Zagórski kontra Piłsudski

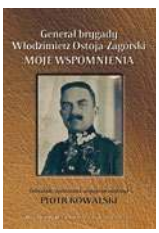
Generał Włodzimierz Zagórski zaginął w 1927 r., zapewne został zamordowany przez fanatycznych piłsudczyków. Nie zaginęły wspomnienia, które odnalazł Piotr Kowalski. Rzucają światło na konflikt między Zagórskim a Piłsudskim podczas pierwszej wojny światowej. Piłsudczycy oskarżali Zagórskiego o wysługiwanie się Austriakom, działanie na szkodę interesów polskich. Wspomnienia generała są obroną przed tymi, jak je nazwał, „kalumniami". Musiał jednak pisać oględnie, był przecież osadzony areszcie po przewrocie majowym – na rozkaz Piłsudskiego.

Zagórski stwierdzał: „Część kraju uważała mnie za austriackiego powiernika, zaś austriackie sfery wojskowe za zdrajcę ojczystej sprawy". Był szefem sztabu Komendy Legionów i wbrew temu, co sam o sobie pisał, to on nią rządził. Stwierdzał, że Piłsudski chciał uwolnić się od „upokarzającej go" władzy Komendy Legionów. Zagórski, równie silna osobowość jak Piłsudski, nie zamierzał na to pozwolić. Krytykował samowolę dowódcy I Brygady, który czasami nie powiadamiał Komendy Legionów o tym, gdzie są jego oddziały, czasami sabotował rozkazy. Nic dziwnego, że pomiędzy Zagórskim i Piłsudskim stosunki były złe, tym bardziej że komendant zażądał, by Zagórski zrezygnował z funkcji szefa sztabu Komendy Legionów „i wyjechał, gdzie mu się podoba".

Zagórski krytykował wywołanie przez Piłsudskiego kryzysu przysięgowego, przez który doszło do głębokich podziałów wśród legionistów i rozbicia Legionów. Uważał, że najważniejsze jest utrzymanie i rozbudowa polskiej siły zbrojnej. Gdy Niemcy i Austria przyznały Ukrainie w traktacie brzeskim Chełmszczyznę, w Polskim Korpusie Posiłkowym zapanowało wzburzenie. Zagórski uważał początkowo, że należy trzymać się przysięgi i dyscypliny wojskowej. Ostatecznie przyłączył się do decyzji większości o zerwaniu z Austrią i przebiciu się przez linię frontu na stronę rosyjską. Uznał, że jest to jego obowiązek jako Polaka, a jego dotychczasowe popieranie rozwiązania austro-polskiego jest już nieaktualne, gdyż „przy Austrii nie ma miejsca dla Polaka".

Schwytany przez Austriaków, uznany został za jednego z głównych winnych buntu i zdrady. Groził mu sąd doraźny i kara śmierci. Zagórski pisał, że życie uratował mu gen. Tadeusz Rozwadowski, który przekonał cesarza Karola I, by zrezygnowano z sądu doraźnego. ©℗

Tomasz Stańczyk



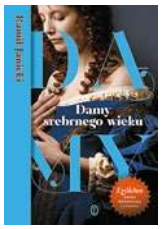
OPRAC. PIOTR KOWALSKI
„GENERAŁ BRYGADY WŁODZIMIERZ OSTOJA-ZAGÓRSKI. MOJE WSPOMNIENIA"
OFICYNA WYDAWNICZA KUCHARSKI

Kraków c.k. twierdzą

Fascynuje ta książka profesora UJ, który opisuje uczynienie z naszego królewskiego Krakowa austriackiej twierdzy (rozkaz Franciszka Józefa I w 1850 r.). Zadecydowały o tym usytuowanie miasta pod bokiem Prus i Rosji oraz wzgórze wawelskie z zamkiem (w 1905 r. Polacy odkupili go za 3,5 mln koron). Posłużył on za centralną redutę założenia obronnego, które rosło w miarę wprowadzania karabinów maszynowych oraz dalekosiężnych, odtylcowych dział i postępujących zmian w sztuce fortyfikacyjnej. W 1914 r. obwód Festung Krakau wynosił 57 km, wewnętrzna linia obronna 27 km, a jej odległość od Rynku – od 2 do 4 km. ©℗ ***(m.r.).***



ANDRZEJ CHWALBA
„FESTUNG KRAKAU. KRAKÓW W CIENIU TWIERDZY"
WYDAWNICTWO LITERACKIE



KAMIL JANICKI
„DAMY SREBRNEGO WIEKU"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

KRÓLOWE ZNAD SEKWANY

Oto dwie francuskie arystokratki, które zostały królowymi Polski. Pierwszą była księżniczka Ludwika Maria Gonzaga, żona Władysława IV Wazy, a potem Jana Kazimierza. Drugą została dama jej dworu Maria Kazimiera d'Arquien – żona zakochanego w niej Jana Sobieskiego, obranego w 1673 r. królem. Obie piękne, wykształcone i mądre sprawiły, że XVII w. nazwano w Rzeczypospolitej srebrnym. ©℗ ***(m.r.).***



NR 5/2022
„BIULETYN IPN"
IPN

ZBRODNIE SOWIETÓW

Głównym tematem majowego „Biuletynu" są zbrodnie Armii Czerwonej i NKWD w Polsce w latach 1944–1945. Filip Musiał pisze o gwałtach na Polkach, rabunkach, zabójstwach. Tomasz Łabuszewski przypomina brutalną rozprawę NKWD z żołnierzami Armii Krajowej i obozy, w których ich więziono. Jarosław Schabieński pisze o sowieckiej zbrodni augustowskiej. ©℗ ***(t.s.)***



ADAM RAFAŁ KACZYŃSKI
„SOWIETYZACJA WOŁYNIA 1944–1956"
IPN

WOŁYŃ PO LUDOBÓJSTWIE

Największe zainteresowanie opinii publicznej wywołują wydarzania, które rozegrały się na Wołyniu w roku 1943. Czyli ludobójstwo Polaków. Rafał Kaczyński przedstawia to, co było potem. Czyli deportacje ludności polskiej i ukraińskiej. Komunistyczną nędzę, terror i pacyfikację UPA. Kapitalna, nowatorska książka. ©℗ ***(p.z.)***

eprasa.pl 196ee5bd01



Perykles przemawia do Ateńczyków podczas straszliwej zarazy z roku 430 p.n.e. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Upiór w kolebce

Dobrze, że Wydawnictwo Poznańskie kontynuuje serię najcelniejszych książek popularyzujących wiedzę o minionych dziejach. Oto kolejna z nich – o starożytnej Grecji – znakomitego Thomasa R. Martina. Jego wykład o Helladzie, od jej prehistorii po świat hellenistyczny zrodzony podbojami Aleksandra Macedońskiego, jest przejrzysty a jednocześnie pogłębiony. Dziś zwraca szczególną uwagę cytowany przezeń opis wojny peloponeskiej dokonany przez Tukidydesa. Nadzwyczaj obiektywnie ważył on słowa, analizując przyczyny i przebieg konfliktu, który wstrząsnął nie tylko Atenami i Spartą, lecz także całym greckim światem. Zauważył np., że prawdziwą przyczynę konfliktu stanowił „wzrost potęgi ateńskiej i strach, jaki to wzbudziło u Lacedemończyków" oraz nienawiść w miastach-państwach zdominowanych przez dyktat demokratycznych Aten w Związku Delijskim.

„Korkirejczycy mordowali wszystkich współobywateli, którzy wydawali się im przeciwnikami politycznymi, pod pozorem, że dążyli oni do obalenia ustroju demokratycznego; zginęło także trochę ludzi wskutek porachunków osobistych, a inni z rąk swoich dłużników. Mordowano w najróżniejszy sposób, popełniano wszelkiego rodzaju okropności […]. Do takiego okrucieństwa doprowadziły walki partii; wydawały się one jeszcze okrutniejsze dlatego, że był to pierwszy tego rodzaju wypadek. Później bowiem, jeśli można tak powiedzieć, poruszona została cała Hellada, gdyż w każdym państwie były dwie partie i przywódcy ludu wzywali na pomoc Ateńczyków, a oligarchowie Lacedemończyków.

I dalej: „Źródłem tego wszystkiego była żądza panowania, dążąca do zdobycia bogactw i zaspokojenia ambicji, a stąd wybuchały rywalizacje, wkraczały w grę namiętności. Przywódcy polityczni jednej i drugiej partii posługiwali się pięknymi hasłami, mówili o równouprawnieniu wszystkich obywateli albo o rządach rozumnej arystokracji, ale w rzeczywistości, mówiąc o sprawie ogólnej, walczyli między sobą o swe prywatne interesy. Używając wszelkich metod w walce o pierwszeństwo, odważali się nawet na największe okropności, a w zemście nie oglądali się ani na prawo, ani na interes publiczny, lecz kierowali się wyłącznie samowolą. Czy to przy pomocy niesprawiedliwych wyroków sądowych, czy też przemocą gotowi byli zaspokajać swe namiętności. […] Tak więc walki partyjne stały się źródłem wszelkiego rodzaju zbrodni w Grecji…".

I tak w kolebce naszej cywilizacji zrodził się wtedy upiór. Trwa, niestety, do dziś. ©℗

Maciej Rosalak



THOMAS R. MARTIN
„STAROŻYTNA GRECJA. OD PREHISTORII DO CZASÓW HELLENISTYCZNYCH"
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Urodzili się we Lwowie

Objętość tej książki, ponad 700 stron, daje już pewne pojęcie, jak bardzo wielu wybitnych, zasłużonych Polaków urodziło się we Lwowie, jak wielki wkład wnieśli lwowianie do naszej historii, nauki i kultury. Jedni związali swoje życie z tym miastem i nie opuścili go nawet wtedy, gdy stało się sowieckie, jak Jadwiga Zamojska i Jadwiga Zappe (oraz jej siostra Irena) które podtrzymywały polskość we Lwowie, uczyły dzieci historii ojczystej i religii. Inni wyjechali z rodzinnego miasta, by gdzie indziej pracować na swoje miejsce w historii, zyskiwać światową sławę, jak Wacław Szybalski, genetyk i biochemik, oraz Tadeusz Sendzimir – „Edison metalurgii".

Stanisław Lem, Wojciech Kilar, Marian Hemar, Adam Hanuszkiewicz, Zbigniew Herbert – to najbardziej znani urodzeni we Lwowie. Lecz cała przyjemność lektury tej książki zawiera się w odkrywaniu biografii i osiągnięć dziesiątków innych lwowian, wybitnych i zasłużonych na różnych polach. Jak choćby Gubrynowiczów, wydawców i księgarzy, rodów Mikolaschów, Seyfriedów i Teisseyre'ów. Ale polski Lwów to także ci, którzy zamieszkali w nim, a byli wśród nich matematyczny geniusz Stefan Banach i wynalazca szczepionki przeciw tyfusowi – Rudolf Weigl, obaj profesorowie lwowskich uczelni. Byłoby wspaniale, gdyby powstała druga książka o takich właśnie lwowianach – tych adoptowanych przez miasto. ©℗ ***(t.s.)***

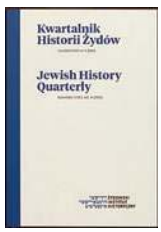


MARIAN KAŁUSKI
„SŁOWNIK ZASŁUŻONYCH I ZNANYCH POLAKÓW URODZONYCH WE LWOWIE"
OFICYNA WYDAWNICZA KUCHARSKI

eprasa.pl 196ee5bd01

Służba kawalerzysty SS

Protokół z przesłuchania SS-Ostubaf Willego Plänka stał się kanwą do napisania artykułu, którego autor przedstawił historię jego służby wojskowej w kawaleryjskich formacjach SS. Oddziałem zapasowym stanowiącym bazę uzupełnień dla obu pułków kawaleryjskich SS (SS--Totenkopf – Kavallerie Regiment 1 i 2), potem brygady i dywizji (SS-Kavallerie Division „Floyan Geyer") był powstały w marcu 1941 r. zapasowy dywizjon kawalerii Warschau), przemianowany w maju 1943 r. na SS-Kavallerie Ausbildung und Ersatz Abteilung Warschau. Żołnierze tej jednostki wraz z żołnierzami Panzergrenadier Ausbildung und Ersatz Battaillon 3 i początkowo trójkompanijnym, liczącym 337 ludzi batalionem przybyłym z obozu szkoleniowego w Trawnikach, byli trzonem sił szturmowych, które tłumiły wywołane w kwietniu 1943 r. powstanie w getcie warszawskim (trawnikowców przerzucono po kilku dniach do drugiej linii).



HUBERT KUBERSKI
„PRZESŁUCHANIE SS-OBERSTURM-BANNFÜHRERA WILHELMA PLÄNKA"
„KWARTALNIK HISTORII ŻYDÓW" 4/2021. ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Dowódcą dywizjonu był wówczas Willy Plänk. Wcześniej służył on w 1. pułku kawalerii SS, a od 30 sierpnia 1941r. w brygadzie kawalerii SS, w okresie, gdy jednostki te zaangażowane były na Polesiu w działania eksterminacyjne, skierowane głównie na żydowską ludność cywilną. Zimą 1941 r. Plänk trafił na pierwszą linię frontu i został ranny. Jego rowerowy dywizjon rozpoznawczy poniósł 75 proc. strat. Po zakończeniu walk pozostało zdolnych do służby tylko 11 żołnierzy. Sam Plänk kurował się w szpitalu w Warszawie.

Kiedy dowodzony przez niego oddział liczący 5 oficerów, 381 podoficerów i żołnierzy wkraczał do getta, napotkał na zdecydowany opór grup bojowych ŻZW i ZOB. Jedynym poległym w walkach kawalerzystą był SS-Untersturmführer Otto Dehmke. Jego śmierć autor przedstawił, cytując fragmenty raportu Dowódcy SS i Policji w dystrykcie warszawskim, odpowiedzialnego za stłumienie powstania, SS-Brigadeführera Jürgena Stroopa: „Główna grupa bojowa Żydów, przemieszana z polskimi bandytami, wycofała się pierwszego czy drugiego dnia na tzw. plac Muranowski. Tam została zasilona przez większą liczbę polskich bandytów, planem jej było utrzymanie się wszelkimi sposobami w getcie, ażeby przeszkodzić wtargnięciu z naszej strony. Na jednym z betonowych budynków wywieszono flagi żydowską i polską jako wyzwanie do walki przeciwko nam. Jednakże już drugiego dnia udało się specjalnej grupie bojowej zdobyć te dwie chorągwie. W tej walce z bandytami poległ SS-Untersturmführer Dehmke, któremu eksplodował na skutek nieprzyjacielskiego ostrzału trzymany w ręce granat ręczny. Raniąc go śmiertelnie".

Obok zabitego oficera, który był najwyższym stopniem poległym po stronie niemieckiej (w czasie powstania zginęło 16 żołnierzy i policjantów), rannych zostało podczas pacyfikacji powstania 28 kawalerzystów. Plänk po upadku powstania otrzymał awans na stopień SS-Sturmbannführera. Jesienią 1944r. mianowano go na SS-Obersturmbannführera. W czasie Powstania Warszawskiego jego oddział przeniesiony został do Protektoratu Czech i Moraw, gdzie objął dowództwo utworzonego na poligonie w Beneszowie, powstałego na bazie dywizjonu SS-Kavellerie Ausbildungs und Ersatz Regiment- Beneschau, który włączono do 37. Ochotniczej Dywizji Kawalerii SS „Lützow" (37 SS-Freiwilligen Kavallerie-Division). W lutym 1945 r. zastąpił go na tym stanowisku SS-Sturmbannführer Karl-Heinz Keitel, syn feldmarszałka Wilhelma Keitla. Po zakończeniu wojny Plänk znalazł się w sowieckiej niewoli, skąd został zwolniony. Zmarł 10 kwietnia 1978r. w Düsseldorfie. ©℗

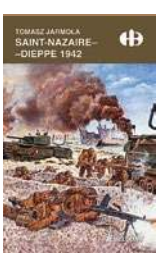
Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

Dieppe

Dieppe – tu Niemcy urządzili latem 1942 r. krwawą łaźnię kanadyjskiej dywizji, która lądowała na francuskiej plaży wprost pod lufy dział i ckm-ów. Ale pierwszą próbą alianckiej inwazji był już w czerwcu 1940 r. desant 115 komandosów brytyjskich w czterech miejscowościach Pas-de-Calais. Był to debiut SOE, formacji do akcji specjalnych. Fiasko kolejnej próby – likwidacji niemieckiej bazy na Wyspach Normandzkich w lipcu 1940 r. – kazało wzmocnić brytyjskie siły dywersyjne i utworzyć Dowództwo Operacji Połączonych. Te operacje (m.in. rajd na Lofoty czy północną Norwegię w 1941 r.) dały spory efekt propagandowy. Skutek strategiczny – zniszczenie suchego doku w Saint-Nazaire u ujścia Loary, bazy dla pancernika „Tirptz" (następcy „Bismarcka") – przyniósł rajd komandosów i Royal Navy w marcu 1942 r. Ceną sukcesu była strata 250 komandosów. W lądowaniu pod Dieppe 19 sierpnia 1942 r. obok Kanadyjczyków brali udział Brytyjczycy i 50 rangersów US Army. Walczyło też pięć polskich dywizjonów myśliwskich (15 i pół zestrzeleń), a niszczyciel ORP „Ślązak" strącił cztery samoloty i ratował tonących żołnierzy. Operacja zakończyła się klęską. Zginęło, bądź dostało się do niewoli, 3367 żołnierzy kanadyjskich, 270 brytyjskich i 550 marynarzy Royal Navy. Niemcy stracili 600 ludzi. Następnie umocnili Wał Atlantycki (zwłaszcza porty). Doświadczenia aliantów pozwoliły im w czerwcu 1944 r. dokonać największej inwazji wszech czasów – w Normandii. ©℗

Maciej Rosalak



TOMASZ JARMOŁA
„SAINT-NAZAIRE-DIEPPE"
BELLONA

eprasa.pl 196ee5bd01

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Dyzma?

To o Marszałku?!

Książek o Piłsudskim mamy co niemiara, ale takich, które by nie były tylko powtarzaniem propagandy sanacyjnego reżimu lub, znacznie rzadziej, propagandy tegoż reżimu przeciwników – niewiele. Dlatego bardzo ucieszyłem się z publikacji Brunona Różyckiego „Mit Marszałka – Legenda J. Piłsudskiego w świetle najnowszych badań". Do tej pory bowiem, kto chciał dowiedzieć się, w jaki sposób sanacja budowała mit swojego twórcy i patrona, skazany był na pracę badaczki niemieckiej, Heidi Hein-Kircher. Pracę rzetelną i solidną, ale – sam fakt, że tylko Niemka się odważyła... Fakt, otarł się jeszcze o temat Krzysztof Kloc w również rzetelnym i solidnym „Piłsudskim – studium fenomenu Komendanta", ale przedmiotem jego zainteresowania są raczej mechanizmy psychologiczne, które zapewniały Komendantowi status boski wśród podwładnych, a nie, jak u Kircher i Różyckiego, instytucjonalne sposoby budowania i narzucania przez sanacyjne państwo „kultu jednostki".

Odniosłem ciekawe wrażenie, że o ile Różycki nie ukrywa, iż jego sympatie są całkowicie po stronie ofiar zamachu majowego, a nie jego sprawcy, podczas gdy Kloc starannie unika krytycznych sformułowań o Marszałku, o tyle jednak książka tego drugiego mówi więcej rzeczy dla Piłsudskiego kompromitujących. Ale może tak mi się tylko zdaje, niech czytelnik zweryfikuje sam.

W każdym razie to u Kloca znalazłem nazwisko człowieka, który wydaje się najbardziej winny za Piłsudskiego, i to przez Kloca musiałem strawić nieco czasu na wgryzienie się w teorie na śmierć dziś zapomnianego poety i filozofa. Facet nazywał się Ralph W. Emerson i napisał dzieło pt. „Przedstawiciele ludzkości", za którego sprawą pokolenie budowniczych II RP zarażone zostało obłędnym kultem „silnego człowieka". Tak, wiem, powie ktoś, że to Nietzsche. Ale kto tam czytał Nietzschego? A cholernego Emersona, jeśli wierzyć świadectwom, w pokoleniu Legionów (będących, cokolwiek mówić, najlepiej chyba wykształconym wojskiem w dziejach) czytali wszyscy. Ba, czytali – zaczytywali się z wypiekami, marząc o takim polskim mocarzu, który „silną ręką wyprowadzi ze wszystkich problemów".

I tu dochodzę do tezy, która zapewne najbardziej zszokuje czytelników Różyckiego: że sławna „Kariera Nikodema Dyzmy" była satyrą na Piłsudskiego właśnie. W pierwszej chwili... nie, skąd, przecież Piłsudski nie był nikim, nieukiem z jakiegoś Łyskowa, był zawodowym konspiratorem, sukcesu nie odniósł przypadkiem!

W tym sensie – oczywiście. Ale przecież Dołęga-Mostowicz wiedział o istnieniu cenzury, jeszcze zresztą jako dziennikarz o mało nie przypłacił krytyki Piłsudskiego życiem. Musiał pisać „pod figurą", aluzyjnie. Spójrzmy jednak nie na samą osobę Dyzmy, a na kontekst społeczny. Na te zachwyty, że „pan Prezes posiada jakąś niezwykłą moc", na spazmy radości elit, że „silny człowiek" powiedział publicznie „gówno!", na powszechną uległość wobec pewnego siebie chama...

> Spójrzmy na te zachwyty, że „pan Prezes posiada jakąś niezwykłą moc", na spazmy radości elit, że **„silny człowiek" powiedział publicznie „gówno!"...**

Jako wielbiciel Dyzmy, pamiętający każde słowo książki i serialu Rybkowskiego, zwracałem zawsze uwagę, że w tej powieści, bardzo realistycznie opisującej początek lat 30., jest charakterystyczne przemilczenie: nie ma w niej Piłsudskiego. Najwyższą instancję stanowi „Zamek", czyli prezydent. Który, jak skądinąd wiemy, w rzeczywistości historycznej „tyle znaczył, co Ignacy". A Piłsudskiego, wokół którego wszystko się przed rokiem 1935 kręciło, nie ma. Nie ma? A może jednak... ©℗

eprasa.pl 196ee5bd01



Piotr Semka

/ Felieton

Żmudzkie wspominki

W wileńskiej galerii miejskiej, wałęsając się po „Miłym Mieście", zupełnie przypadkowo natrafiłem na prawdziwy skarb. Oto w stolicy Litwy można zobaczyć wystawę dzieł sztuki ze żmudzkich dworków. Normalnie zbiory te są do obejrzenia w Muzeum Ziemi Żmudzkiej w Telszach, ale w tej placówce przeprowadzany jest aktualnie generalny remont, więc zbiory wysłano do stolicy Litwy. Podziękowałem Bogu, że doszło do tego zbiegu okoliczności, gdyż pewnie do niewielkich Telsz ścieżki moich litewskich wędrówek jeszcze długo by mnie nie doprowadziły.

Przechodząc z sali do sali, można było oglądać pamiątki i obrazy z największych dworów żmudzkich. Były tu zabytki z dworów Broel-Platerów, Górskich i wielu, wielu mniej znanych rodzin. Widać na tych zdjęciach tak podziwianą w innych częściach rozdzielonej zaborami Polski wolę zachowania „narodowego obyczaju i stroju". Dzieci szlacheckie noszą rogate czapki polskie, a gdzie tylko się da, widać obrazy Matki Boskiej Ostrobramskiej. Znać tutaj potęgę woli, by w życie wcielać zasadę, że Moskal może, owszem, rządzić tymi ziemiami, ale za próg polskich domów nie ma wstępu, chyba że gwałtem. Dziecko noszące polskie stroje i starannie uczone, by wystrzegać się rusycyzmów, wiedziało, że jest kimś innym. Komu przypadł ciężki, ale zaszczytny los odróżniania się od rosyjskiego czynownictwa.

Dopiero lata 80. XIX w. przyniosły nowe gorzkie odkrycie. W miasteczkach i wioskach Żmudzi pojawili się – jak to wtedy mówiono – litwomani. Dla pokolenia, które dopiero wychodziło z szoku katastrofy polskiego życia po powstaniu styczniowym 1883 r., był to nieoczekiwany cios w plecy. Bo oto nowi wyznawcy osobnej litewskiej świadomości narodowej całą swoją wyobraźnię i zapał kierowali ku odgradzaniu się od polskości. To jedna wielka nieopisana epopeja losu, który dotknął setki szlacheckich zaścianków i dworów arystokratycznych na przełomie XIX i XX w. Linia podziału zaczęła się rysować początkowo między inteligencją chłopską i księżmi wywodzącymi się ze wsi, którzy zachowali litewską mowę, a bardziej uświadomionymi polsko dworkami i pałacami.

> Linia podziału zaczęła się rysować między inteligencją chłopską i księżmi wywodzącymi się ze wsi, którzy zachowali litewską mowę, **a bardziej uświadomionymi polsko dworkami i pałacami**

W pewnym momencie litewscy budziciele narodowi skierowali do arystokracji wyraźną ofertę: „Stańcie na naszym czele, a my uznamy waszą naturalną tendencję do przewodzenia Żmudzi". Różnie z realizacją tego apelu bywało. Stryj Czesława Miłosza, Oskar Miłosz, przyjął taką ofertę i został pierwszym ambasadorem Litwy kowieńskiej w Paryżu. Inni przedstawiciele polskich rodzin szlacheckich uznali eksperyment z osobną państwowością litewską za jakiś nonsens, niemiecką prowokację i wyprowadzili się na tereny pod władzą Józefa Piłsudskiego. W wielu przypadkach już nigdy nie zobaczyli swoich rodzinnych ziem. A oba te światy – szlachty orientującej się na litewskość i szlachty, która wybrała opcję polską – uległy w końcu jednemu walcowi historii.

Po czerwcu 1940 r. nowa sowiecka władza znacjonalizowała dwory i wszystkie dzieła sztuki, które w nich były. Jak podają autorzy wystawy, z dworu Broel-Platerów wywieziono 16 ciężarówek dzieł sztuki. Część z nich zniszczała, część wywieziono do centralnej Rosji, część wyszabrowali Niemcy, a resztka tego wspaniałego świata ocalała i możemy ją oglądać do dziś. I tylko XIX-wieczne sepiowane zdjęcia wnętrz pałacowych pokazują, jak wspaniałe były to zbiory. Na wileńskiej wystawie można zobaczyć kawałek Polski, choć polskość tych eksponatów i zdjęć jest dyskretnie pomijana w opisach wystawowych. Litwini już nie wstydzą się pokazywać czegoś więcej niż tylko dzieł sztuki ludowej, ale z rozdwojoną tożsamością żmudzkiej szlachty wciąż mają pewien problem. A ja, chodząc po salach wileńskiej galerii, żałowałem, że tych wspaniałych arcydzieł nie mogą oglądać polskie dzieci z wycieczek szkolnych ze Szczecina czy Zgorzelca. ©℗

eprasa.pl 196ee5bd01

XIII–XIV w. / Litwa, Krzyżacy, Polska

Zanim zawarto unię



Zamek w Trokach FOT. TOMASZ STAŃCZYK



Tomasz Stańczyk

Państwo litewskie powstało później niż polskie, jednak znacznie szybciej stało się prawdziwą potęgą

Powstaniu państwa litewskiego, które zaczęło się kształtować na przełomie XII i XIII w., sprzyjało korzystne położenie geopolityczne. Jerzy Ochmański, autor „Historii Litwy", stwierdzał, że Ruś, która chciała zawładnąć Litwą, była osłabiona z powodu rozbicia dzielnicowego i najazdów tatarskich. Litwę oddzielały od Polski ziemie zamieszkałe przez Jaćwingów, a zresztą cierpiała ona także na rozbicie dzielnicowe, więc Piastowie nie mieli ekspansywnych zamiarów wobec ziem litewskich. Krzyżacy z Malborka byli zajęci głównie podbojem Prusów. Kłopoty Litwinom sprawiał Zakon Kawalerów Mieczowych, lecz potrafili się mu opierać. W 1236 r. pod Szawlami pobili niemieckich rycerzy na głowę, a wielki mistrz zakonu poległ. Zakon Kawalerów Mieczowych nie podniósł się po tej klęsce, został przyłączony do Zakonu Krzyżackiego, stanowiąc jego inflancką gałąź, która nadal wojowała z Litwą.

Król Mendog

Najwybitniejszym władcą Litwy w XIII w. był Mendog (panował w latach1236–1263). Józef Ignacy Kraszewski w dziele o historii Litwy pisał o nim: „Odziedziczył po ojcu wielką duszę i myśl wielką, która nim kierowała, myśl zjednoczenia w wielkie państwo wszystkich ziem litewskich i zdobytych na Rusi krajów. Całe jego życie spełnieniem tej myśli poświęcone było". Zjednoczeniu przeszkadzali kunigasowie, władcy lokalnych ziem litewskich, toteż Mendog się z nimi rozprawił, mordując bardziej opornych. Z bratankami postąpił łagodniej, wyprawił ich na wschód, by tam szukali szczęścia i ziemi dla siebie, a ich władztwa przejął. Liczył być może, że zginą w bojach. Tak się jednak nie stało, jeden z bratanków opanował Psków i zaczął tam rządzić. Krewni nie zamierzali się Mendogowi podporządkować, a zagrożeni przez niego, poprosili o pomoc księcia Daniela Halickiego. Ten założyciel grodu we Lwowie, który sięgnął po koronę, chciał wykorzystać okazję i zdobyć dla siebie Ruś Czarną (część dzisiejszej Białorusi). Zmontował więc koalicję

eprasa.pl 196ee5bd01

przeciw Mendogowi z udziałem Krzyżaków z Inflant, Jaćwingów i Żmudzinów. W tej tak trudnej i – wydawałoby się – beznadziejnej sytuacji w pełni zabłysnął wielki talent polityczny Mendoga" – oceniał Ochmański. Krzyżakom obiecał, że się ochrzci, a Żmudzinów po prostu przekupił. Z pomocą Krzyżaków, których wynagrodził „czczymi darowiznami ziem, których nie posiadał i których Krzyżacy nie mieli siły zająć", pokonał wrogą koalicję.

Krzyżacy pomogli Mendogowi uzyskać zgodę papieża Innocentego IV na koronację. Litewski władca uznał, że korona warta jest chrztu, miał ją założyć na głowę w 1253 r. Chrzest nie został dobrze przyjęty przez poddanych. „Naród w milczeniu i trwodze z niechęcią na to patrzył" – stwierdzał Kraszewski. Ale Mendog nie zamierzał nawracać rodaków, swój chrzest traktował bowiem instrumentalnie i w dalszym ciągu „gusła pogańskie spełniał".

Żmudzini zagrożeni przez Krzyżaków zgodzili się na uznanie władzy Mendoga pod warunkiem, że zerwie z Krzyżakami, a także z chrześcijaństwem. Naturalnie, Mendog bez oporów się na to zgodził. Władca ten wyprawiał się na ziemie polskie, a podczas jednej z napaści, w 1262 r. – miał być to odwet za pomoc Mazowszan dla Krzyżaków w walkach o Żmudź – w grodzie w Jazdowie (dziś na terenie Warszawy) zginął lub został zamordowany jako jeniec Siemowit I, książę mazowiecki. W tym czasie, podczas napaści na Płock, Litwini prawdopodobnie wywieźli – jak przypuszczał historyk Grzegorz Błaszczyk – z katedry Drzwi Płockie, które trafiły do Nowogrodu Wielkiego.

Mendog żyłby dłużej, gdyby nie uprowadził żony krewnego – Dowmunta – którą poślubił. W 1263 r. ludzie Dowmunta zamordowali pierwszego i ostatniego króla Litwy.

W spisek był zamieszany także Treniota, krewny Mendoga, rządzący wcześniej Żmudzią, który objął władzę na Litwie. Z kolei on padł ofiarą zemsty – zabili go ludzie Mendoga.

Jednym z synów króla był Wojsiełk, rządzący za życia ojca w Nowogródku. Zrażony być może jego brutalnymi rządami, a w każdym razie „zdjęty obrzydzeniem do świata" przekazał synom księcia Daniela Halickiego swe władztwo jako lenno Mendoga i stał się prawosławnym mnichem. Jednak po zamordowaniu ojca,



Mendog, król Litwy FOT. WIKIPEDIA

„uczucie pogańskie pomsty na występnych, przywiązanie do kraju wyrwały go z ustronia" – stwierdzał Kraszewski, sugerując, że zemsta powinna być obca chrześcijaninowi, a tym bardziej mnichowi.

Wojsiełk objął władzę na Litwie i rozprawił się z jego mordercami. Dowmunt, ratując się przed zemstą, uciekł do Połocka i został tam księciem. Kością niezgody pomiędzy Litwą a Rusią Halicką była nadal Ruś Czarna. Wojsiełk, rezygnując ponownie z władzy, przekazał ją Szwarnie, synowi Daniela Halickiego. Jednak brat obdarowanego – Lew Halicki – niezadowolony z tego, próbował zmusić Wojsiełka do zmiany decyzji, a gdy jej nie uzyskał, zamordował go.

Wybitnym władcą Litwy był Trojden, rządzący przez trzynaście lat (1279–1282). „Nawiązał do tradycji swego wielkiego poprzednika Mendoga – zauważał



Wielki książę Giedymin FOT. WIKIPEDIA

Ochmański – i przywrócił jedność ziem litewskich. Jego śmiałe poczynania na Rusi, gdzie rozszerzył zdobycze Mendoga, energiczne wystąpienia przeciw Krzyżakom, których gnębił na terytorium pruskim i łotewskim, kilkakrotne najazdy na Polskę, wywoływały bezsilną złość pokonanych". W 1279 r. Trojden rozgromił Krzyżaków pod Aizkraukle.

Za Trojdena dokonało się jednak pierwsze zbliżenie polsko-litewskie: wydał swą córkę za mąż za Bolesława II, księcia mazowieckiego.

Podczas rządów Witenesa (1294–1316) ponowione zostały najazdy na ziemie polskie. Zdobył obronną kolegiatę w Tumie pod Łęczycą, część ludzi tam zgromadzonych uprowadził na Litwę, a pozostałych spalił razem ze świątynią. Ścigające go polskie rycerstwo pobił w bitwie nad Bzurą; poległ wówczas Kazimierz, książę łęczycki. Mniej udana była wyprawa na ziemię sandomierską. Wprawdzie, jak pisał Kraszewski, Litwini „wysiekłszy starców i dzieci, lud wiejski z dobytkiem i mieniem, w niewolę popędzili", ale zarządzona przez Leszka Czarnego pogoń doprowadziła do pobicia wroga i uwolnienia jeńców.

Napaści litewskie miały na celu m.in. porywanie ludności. Jak oceniał Grzegorz Błaszczyk, podczas ok. 50 najazdów na ziemie polskie, głównie na Mazowsze, mogło zostać uprowadzonych kilkanaście tysięcy Polaków. Napaści miały charakter głównie rabunkowy, choć niektóre z nich stanowiły odwet za udział polskich rycerzy – głównie z Mazowsza – w krzyżackich rejzach (wyprawach) na Litwę i Żmudź.

Nie wiodło się Witenesowi z Krzyżakami, którzy go przynajmniej dwukrotnie pokonali. Witenes zmarł w 1316 r., według legendy rażony piorunem przez Perkuna, co miało być oznaką wielkiej łaski... Ale kronikarze pisali też, że to ludzie Giedymina w zmowie z żoną Witenesa, jego brata stryjecznego, zamordowali go.

Wielki Giedymin

Giedymin okazał się wybitnym litewskim władcą (1316–1341), który nadał swemu państwu charakter mocarstwowy. Założył warownię w Trokach, a potem Wilno. Według legendy o powstaniu Wilna na wzgórzu u zbiegu dwóch rzek Giedymin zabił żubra lub tura, a po

eprasa.pl 196ee5bd01



Widok na Górę Giedymina w Wilnie z reliktami Zamku Górnego FOT. TOMASZ STAŃCZYK

łowach zasnął. Ujrzał we śnie „wilka wielkiego i mocnego, a prawie jakoby żelazną blachą warownie przeciw wielkim strzałom uzbrojonego". Sen objaśnił mu kapłan Lizdejko, stwierdzając, że na tym miejscu, na wzgórzu, powstanie „zamek mocny i miasto tego państwa główne". Giedymin przeniósł swą stolicę z Trok do Wilna, a pierwsza wiadomość o nim pochodzi z 1323 r.

Giedymin zawarł przymierze z Władysławem Łokietkiem, przypieczętowane ślubem córki Aldony, ochrzczonej jako Anna z księciem Kazimierzem, późniejszym królem. A także uwolnieniem wielu jeńców polskich, których Aldona zabrała ze sobą do Polski.

Sojusz miał ostrze antykrzyżackie, choć wielkich efektów nie przyniósł. Niemniej utrwalił w Wilnie i w Krakowie świadomość, że oba państwa mają wspólnego wroga – zakon krzyżacki. Łokietek nie miał oporów przed sojuszem z Giedyminem. Racja stanu górowała nad przekonaniami religijnymi. Niemniej ten sojusz chrześcijańskiego władcy z pogańskim zrobił złe wrażenie w Europie

Wielki książę Giedymin zrobił krok w kierunku chrztu Litwy – za jego czasów powstały kościoły Dominikanów i Franciszkanów w Wilnie. W liście do papieża Jana XXII miał ubolewać nad porzuceniem chrześcijaństwa przez Mendoga, tłumaczył to zniewagami i krzywdami doznanymi przez Litwinów od Krzyżaków. Swoimi najazdami i pustoszeniem Litwy zrażali ją do przyjęcia chrztu. Papież w nadziei, że Giedymin się ochrzci, zabronił Krzyżakom atakowania Litwy. „Giedymin jednak – stwierdzał Jerzy Ochmański – wstrzymał się z chrystianizacją swojego kraju, gdyż dojrzał, że nie przyniesie ona Litwie takich korzyści, jakich by należało oczekiwać. Krzyżacy bowiem nie taili swoich złowrogich zamiarów i chrzest nie gwarantował Litwie bezpieczeństwa przed nimi". Nie zaprzestali napaści na ziemie litewskie.

Giedymin znacznie rozszerzył litewski stan posiadania – na Połock, Witebsk, Mińsk, Pińsk, Smoleńsk, a także Kijów. Jednak Litwa musiała rywalizować z coraz to bardziej ekspansywnym księstwem moskiewskim, którego władca Iwan Kalita zasłużył sobie na określenie „zbieracza ziem ruskich". Giedymin zmarł w 1341 r. gwałtowną śmiercią, być może otruty za zamiar przyjęcia chrztu, być może został śmiertelnie ranny w walce z Krzyżakami.

Godni następcy

Wydawałoby się, że po śmierci Giedymina Litwa ulegnie rozbiciu dzielnicowemu. Podzielił bowiem swe władztwo pomiędzy aż siedmiu synów. Dwaj z nich, Olgierd i Kiejstut, opanowali jednak sytuację, a wielkim księciem został Olgierd (1345–1377). Rządzili zgodnie. Kiejstut zajmował się głównie obroną Litwy przed Krzyżakami, dostał się nawet do niewoli, a więziony w Malborku uciekł – jak pisali kronikarze – z pomocą Alfa, krzyżackiego sługi, Litwina, na Mazowsze do swego zięcia, księcia Janusza. Już z Litwy miał napisać szyderczy list do dostojników krzyżackich, dziękując im za gościnę... Z Kiejstutem związana jest opowieść o Birucie. Miała być pogańską kapłanką, wajdelotką znad Bałtyku, której urodą zachwycił się książę. Porwał ją i pojął za żonę. Związana z tą legendą jest góra Biruty w Połądze.

Za Olgierda terytorium Litwy powiększyło się dwukrotnie, do 700 tys km. kw, lecz w związku z tym Litwini przestali być większością we własnym państwie. Tym samym także większość poddanych litewskiego władcy była chrześcijanami prawosławnymi. Pragmatyczni Litwini nie zamierzali jednak narzucać im pogańskiej wiary. Po zwycięstwie ze Złotą Ordą nad Sinymi Wodami w 1362 r. Olgierd utwierdził litewskie panowanie w Kijowie.

Niestety, Olgierd, który trzykrotnie wyprawiał się na Moskwę, nie zniszczył księstwa moskiewskiego. Z jego czasami związana jest legenda o męczeństwie kilkunastu franciszkanów w Wilnie (nie miało miejsca) na wzgórzu, na którym dziś wznoszą się słynne trzy krzyże zaprojektowane przez Antoniego Wiwulskiego.

Śmierć Aldony, żony Kazimierza III, w 1339 r. zbiegła się niemal jednocześnie z zamordowaniem (1340 r.) przez bojarów Piasta mazowieckiego – Bolesława Jerzego II, księcia halicko-włodzimier-

eprasa.pl 196ee5bd01



Pogoń, herb Litwy i wzgórze zamkowe w Wilnie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

skiego. Jako jego spadkobierca, przewidziany układem z Bolesławem Jerzym II, sięgnął po tę ziemię Kazimierz III. Spowodowało to trwający z przerwami ćwierćwiekowy konflikt z książętami litewskimi, w którym najaktywniejszy był syn Giedymina – Lubart. Litwini uważali, że księstwo im się należy – zamordowany Piast był wnukiem wielkiego księcia Trojdena i mężem córki Giedymina. W 1366 r. stanęła ugoda: Kazimierz III przyłączył do Królestwa Polskiego część schedy po Bolesławie Jerzym, część (ziemię chełmską i bełską) oddał w lenno litewskim książętom – Giedyminowiczom. Lubart zatrzymał władzę w Łucku. Nie zakończyło to konfliktu, walki trwały także po śmierci polskiego króla.

Olgierd wyznaczył następcą na tronie wielkoksiążęcym swego syna Jagiełłę, czemu się podporządkował jego stryj Kiejstut. Raz jeszcze pojawiła szansa pobicia coraz groźniejszej Moskwy, w sojuszu z Mamajem, faktycznym przywódcą części Złotej Ordy i księciem twerskim. Ten ostatni jednak nie przybył na plac boju, a Jagiełło się spóźnił. Być może celowo, licząc, że Mamaj pokona Dymitra Dońskiego. Stało się jednak odwrotnie: w 1380 r. na Kulikowym Polu moskiewski książę pobił wojska Mamaja.

Stosunki między Kiejstutem a Jagiełłą zaczęły się psuć, a antagonizmy podsycali Krzyżacy, zawierając układy zarówno z Kiejstutem, jak i Jagiełłą. Zagrożony stryj usunął w 1381 r. bratanka z Wilna i tronu wielkoksiążęcego. Jagiełło jednak wkrótce uwięził Kiejstuta, który zmarł w następnym roku na zamku w Krewie, najpewniej zamordowany – jeśli nie na polecenie Jagiełły, to za jego zgodą. Jagiełło wrócił na tron wielkoksiążęcy. Otwierała się nowa karta w historii Litwy (a także Polski), a na jej pierwszej stronie zapisano ślub Jagiełły i Jadwigi, objęcie tronu polskiego przez Litwina, a także unię krewską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Groby nad Niemnem i Bugiem



Tomasz Stańczyk

Najnowszą odsłoną walki reżimu Łukaszenki z Polakami i polskością na Białorusi jest zniszczenie grobów żołnierzy Armii Krajowej w Kaczycach i Mikuliszkach, w obwodzie grodzieńskim. Jest w nim ponad pół tysiąca miejsc pochówków żołnierzy polskich z wojny z bolszewicką Rosją, kampanii wrześniowej oraz żołnierzy AK. Nieprzypadkowo te barbarzyńskie akty zostały dokonane w obwodzie grodzieńskim: co czwarty jego mieszkaniec jest Polakiem.

W analizie Ośrodka Studiów Wschodnich stwierdzono, że dewastacje polskich grobów i cmentarzy są skoordynowaną akcją władz centralnych w Mińsku i niewykluczone, że uzgodnione z Moskwą. „Niszczenie polskich nekropolii wpisuje się w antyzachodnią, w szczególności antypolską, politykę historyczną reżimu, prowadzoną z coraz większą intensywnością od momentu załamania się dialogu z Zachodem w następstwie sfałszowanych wyborów prezydenckich w sierpniu 2020 r. oraz brutalnej pacyfikacji protestów". Na rządzonej przez Łukaszenkę Białorusi żołnierze AK (a w jej szeregach byli także Białorusini) są wciąż żołnierzami wyklętymi. Tym bardziej musimy o nich przypominać, m.in. o Anatolu Radziwoniku „Olechu" i Janie Borysewiczu „Krysi", poległych w walce z NKWD.

11 lipca obchodziliśmy kolejną rocznicę zbrodni wołyńskiej, dokonanej na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów z OUN i UPA. Zbrodnie te są dość dobrze opisane, pozostaje jednak kwestia upamiętnienia ofiar. Jak stwierdza dr Leon Popek z IPN, w 10 tys. nieoznaczonych dołów śmierci na Wołyniu spoczywa 55 tys. Polaków, w innych miejscach Ukrainy – 60–70 tys. Dotychczas przeprowadzono tylko sześć ekshumacji, w tym w miejscu jednej z największych zbrodni: w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej. W tych wsiach ekshumowano szczątki 670 osób, którym urządzono uroczysty pogrzeb.

I właśnie o to chodzi, by miejsca, w których spoczywają polskie ofiary, zostały odkryte, zidentyfikowane i by stanął na nich krzyż, by można było się pomodlić przy ich grobach. Ofiary nie mogą bowiem zostać zapomniane. Ale będzie to zadanie trudne: wymierają przecież ludzie, którzy byli świadkami zakopywania – gdyż nie pochowania – zamordowanych, a część ostatnich świadków wzbrania się wskazywać miejsca, gdzie spoczywają ofiary.

Ale coś się zmienia na Ukrainie, bez wątpienia w rezultacie rosyjskiej napaści i rosyjskich zbrodni, a także postawy Polaków wobec uchodźców zza Buga. W tym roku odnotowano wiele przypadków porządkowania przez Ukraińców polskich grobów na Wołyniu, m.in. w Ostrówkach i Przebrażu, bazie polskiej samoobrony. Jest więc nadzieja, że szacunek dla ofiar zbrodni wołyńskiej połączy Polaków i Ukraińców. © ℗

eprasa.pl 196ee5bd01

1892 r. / Wynalazca tego zamknięcia butelki to William Painter

Kapsle i puszki



Tymoteusz Pawłowski

Patentując również otwieracz do kapsli, stał się jednym z najbogatszych Amerykanów przełomu XIX i XX w.



Napis na plakacie reklamowym: „Nie martw się, kochanie, nie spaliłaś piwa” FOT. DOMENA PUBLICZNA

Droga do opracowania napojów w puszkach była całkiem skomplikowana, bo i przedmiot ten jest zaskakująco skomplikowany. Nawet zawleczka otwierająca puszkę jest dwubiegowa i wykonuje co najmniej dwie funkcje. Proszę się przyjrzeć, jak pracuje!

Minęła niedawno 33., okrągła, rocznica wyborów czerwcowych w 1989 r. Przywołuje ona wiele wspomnień, a mnie kojarzy się z najlepszym interesem, jaki zrobiłem w życiu. Kupiłem wówczas od znajomego adapter marki Unitra za cenę setki puszek po zagranicznych napojach. Była to dziwna waluta, ale dość powszechnie używana i trudna do zdobycia. Puszki można było znaleźć w sklepach, w których płaciło się dolarami, albo… w śmietnikach drogich restauracji.

Odchodzący na – nomen omen – śmietnik historii komuniści uznali, że utrudnią życie nowo wybranemu rządowi, likwidując kartki na mięso i inne ograniczenia rynkowe. Uważali, że tylko dzięki regulowaniu rynku na komunistyczną modłę Polacy mają co jeść. 1 sierpnia 1989 r. był pierwszym dniem wolnego rynku w Polsce. Półki sklepowe zapełniły się błyskawicznie, a wszyscy Polacy przekonali się, że jedynym problemem gospodarczym byli komuniści. Ja przekonałem się o czymś również: niemal z dnia na dzień napoje w puszkach stały się powszechnie dostępnym towarem i znalezienie setki kolorowych puszek nie było żadnym problemem. Zrobiłem interes życia.

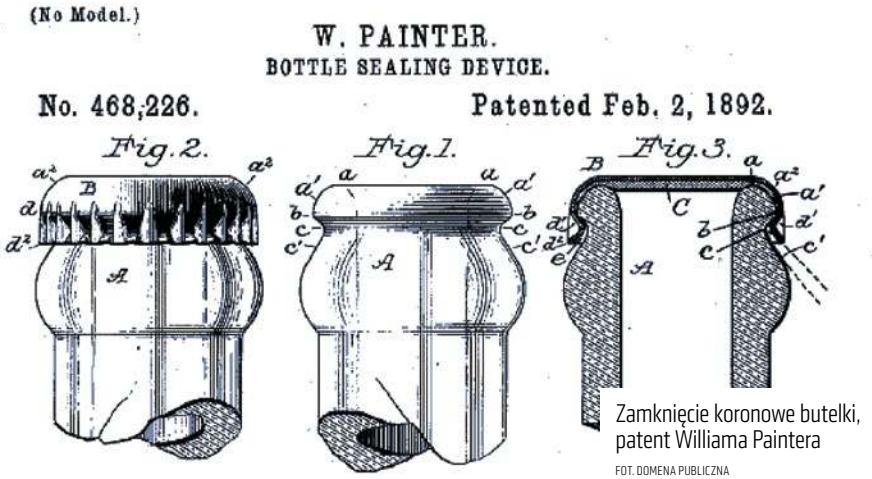
Czterdzieści pięć lat komunistycznych rządów w Polsce – formalnie nie były to rządy komunistyczne, tylko rządy dążące do zbudowania komunizmu – przyniosło wiele krzywd. Jedną z nich było wykluczenie cywilizacyjne: granice Polski były zamknięte nie tylko przed ideami demokratycznymi, lecz także przed przedmiotami codziennego użytku. Najlepiej widać to na przykładzie puszek do napojów, które pojawiły się u nas z dnia na dzień w 1989 r. Z tego powodu Polacy nie mogli być świadkami pasjonującego rozwoju tego opakowania.

A przecież butelki – bo od nich trzeba zacząć – były obecne w Polsce niemal od zawsze. Może nie od czasów starożytnych – bo wówczas pojawiły się na świecie – ale od czasów średniowiecza. Były to jednak butelki drogie, wykonywane przez szklarzy w pojedynczych egzemplarzach i przeznaczone do przechowywania jedynie najdroższych trunków. Najpopularniejsze napoje, czyli piwo i oranżada – obecna w Rzeczypospolitej od XVIII w. – sprzedawane były z beczek i dzbanów jedynie w restauracjach, barach i piwiarniach.

Zamknięcie koronowe

Pod koniec XIX w. w Anglii otwarto na wpół zautomatyzowaną linię produkcji butelek, a 20 lat później, w 1903 r., Amerykanie całkowicie zautomatyzowali ten

eprasa.pl 196ee5bd01


(No Model.)

W. PAINTER.

BOTTLE SEALING DEVICE.

No. 468,226. Patented Feb. 2, 1892.

Fig. 2. Fig. 1. Fig. 3.

Zamknięcie koronowe butelki, patent Williama Paintera

FOT. DOMENA PUBLICZNA

proces. Zawdzięczamy to Thomasowi Alvie Edisonowi, ponieważ butelka – przynajmniej technologiczne – to nic więcej jak bańka żarówki wykonana z nieco grubszego szkła.

Butelki był korkowane… korkiem właśnie, czyli korą drzewa korkowego, rosnącego na wybrzeżach Morza Śródziemnego i okolic (ponad połowa tego produktu pochodzi z Portugalii). Chociaż produkuje się go dużo, to jednak nie wystarcza do zamykania wszystkich butelek. W latach 80. XIX w. pojawiły się – niezależnie od siebie w Ameryce i Europie – porcelanowe korki, dociskane do szkła sprężynującymi drutami. W polszczyźnie nazywane są krachlami albo zamknięciem patentowym, bo swego czasu spór wynalazców o to, kto był pierwszy, trafił na pierwsze strony gazet.

Krachle dość szybko, bo już w 1892 r., zostały zastąpione przez zamknięcie koronowe, powszechnie nazywane kapslami. Wynalazł je William Painter, przy okazji patentując również otwieracz do kapsli, dzięki czemu stał się jednym z najbogatszych Amerykanów przełomu XIX i XX w. Kapsel był rewolucyjnym wynalazkiem, którego znaczenia nie sposób nie doceniać.

Do czasu jego wynalezienia butelek nie można było bezpieczne przechowywać i transportować: korki wysychały, więc zamykane nimi butelki przechowywano położone tak, by płyn zwilżał korek. Również butelek zamykanych krachlami nie można było ustawiać jednej na drugiej. Problem rozwiązywały kapsle; dzięki nim powstały setki tysięcy małych sklepów handlujących napojami, które zaczęły również sprzedawać pieczywo, wędliny, warzywa i stały się powszechnymi dziś sklepami ogólnospożywczymi.

Kapsle były również pierwszym produktem jednorazowym, który odniósł komercyjny sukces. Drugim po kapslu jednorazowym produktem były żyletki, opracowane przez Kinga C. Gillette'a w czasie, gdy pracował w fabryce kapsli. Potem świat został zalany jednorazówkami…

Uchwyt, zawleczka czy dźwignia?

Butelki mają jednak swoje wady, przede wszystkim duży ciężar, równy mniej więcej połowie wagi płynu, który w sobie zawierają, a szkło, z których były robione, jest niezbyt wytrzymałe. Wady te zauważono ponad 200 lat temu, gdy pojawiły się pierwsze konserwy. Zaczęto więc używać blaszanych puszek. Przechowywano w nich żywność, oleje, nasiona, środki chemiczne, a nawet proch i amunicję. Przez długi czas nie znaleziono jednak sposobu, aby przechowywać w nich napoje, a raczej – żeby było to opłacalne.

Sytuacja zmieniła się w 1933 r., gdy w Stanach Zjednoczonych skończyła się trwająca od pierwszej wojny światowej prohibicja. Znów można było sprzedawać alkohol i chociaż konkurencja była duża, to popyt był jeszcze większy. Taki, że brakowało butelek. W 1935 r. pewien browar w Wirginii rozpoczął rozlewanie piwa do stalowych puszek, niemal takich samych jak te stosowane w konserwach. Nie było to rozwiązanie idealne: napoje reagowały z blachą, puszki były niewygodne i trudno się z nich piło – większość tych puszek była kapslowana (nie były więc płaskie od góry, tylko miały coś w rodzaju niskiej szyjki niczym niektóre termosy). I chociaż puszkowane napoje produkowano nawet w Europie, to pomysł nie przyjął się dobrze.

Wszystko zmieniła druga wojna światowa. Nagle okazało się, że miliony żołnierzy potrzebują milionów litrów picia, a puszka waży dwa–trzy razy mniej niż butelka

Wszystko zmieniła druga wojna światowa. Nagle okazało się, że miliony żołnierzy potrzebują milionów litrów picia, a puszka waży dwa–trzy razy mniej niż butelka. W 1935 r. pewien browar w Wirginii rozpoczął rozlewanie piwa do stalowych puszek, niemal takich samych jak te stosowane w konserwach. Nie było to rozwiązanie idealne: napoje reagowały z blachą, puszki były niewygodne i trudno się z nich piło – większość tych puszek była kapslowana (nie były więc płaskie od góry, tylko miały coś w rodzaju niskiej szyjki niczym niektóre termosy). I chociaż puszkowane napoje produkowano nawet w Europie, to pomysł nie przyjął się dobrze.

Wszystko zmieniła druga wojna światowa. Nagle okazało się, że miliony żołnierzy potrzebują milionów litrów picia, a puszka ważyła dwa–trzy razy mniej niż butelka. Przy okazji zdołano rozwiązać kilka problemów: wnętrze puszki impregnowano naturalnym woskiem albo bezsmakowymi chemikaliami, żeby gaz – dwutlenek węgla pochodzący z kwasu węglowego – nie rozpuszczał blachy i napój nie smakował metalicznie. Kapsle zniknęły, a wierzch puszki stał się płaski. Teraz do jej otwarcia potrzebny był otwieracz. Miał on kształt szerokiego, nieco zagiętego pazura i robiło się nim dwa trójkątne otwory w wieczku. Dziś jeszcze takie otwieracze można znaleźć w starych szufladach, ale mało kto wie, do czego one służyły...

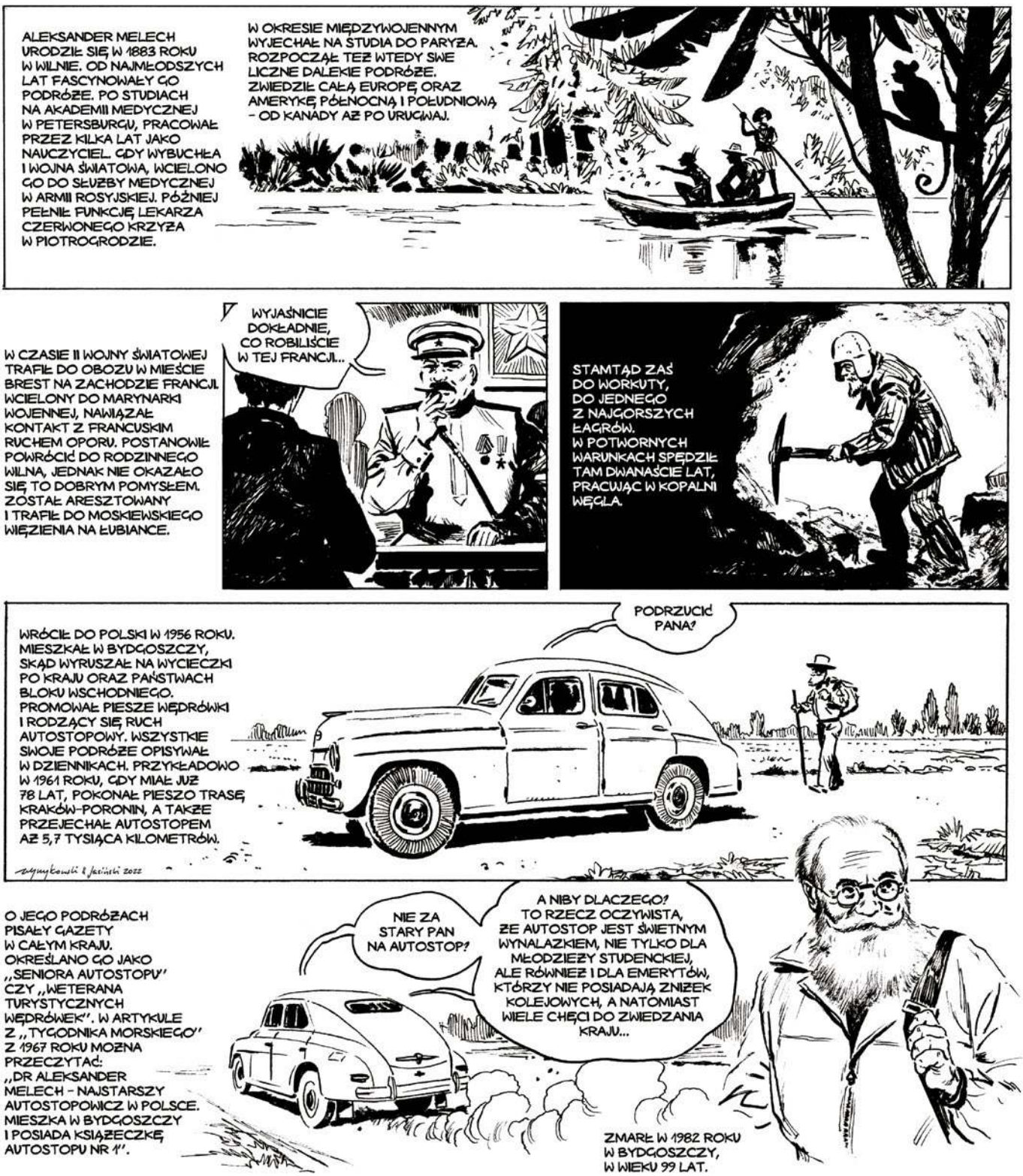
Pod koniec lat 50. do produkcji puszek zaczęto używać aluminium. Aluminium ma o wiele mniejszą wytrzymałość niż stal, ale wytrzymałość puszki na tym nie ucierpiała. Napoje w puszkach są z reguły gazowane – do napojów niegazowanych nauczono się dodawać pokaźną dawkę azotu – a ciśnienie wewnątrz wynosi dwie atmosfery. Wystarcza ono do nadania cieniutkim ściankom odpowiedniej sztywności i jest jednocześnie na tyle duże, że trudno byłoby otworzyć puszkę, wciskając wieczko do środka.

Dlatego też otwieranie puszki jest nieco bardziej skomplikowane, niż może się wydawać. W wieczku nacięty jest trójkątny fragment, do którego przynitowana jest mała dźwigienka. Najpierw wykonuje ona ruch do góry, nit przecina wieczko i pozwala ujść ciśnieniu. Dopiero później włącza się jego „drugi bieg": wpycha naciętą blaszkę do środka, otwierając puszkę. Psst! I możemy cieszyć się chłodnym napojem w upalne dni lata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 196ee5bd01

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl 196ee5bd01

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022



JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI

KGHM POLSKA MIEDŹ

PZU

PARTNER

IKO Fundacja

eprasa.pl 196ee5bd01

DNI WYDAWNICTWA IPN

CAŁA OFERTA -40%

950 TYTUŁÓW | **12** DNI | **1 PLN** CENY JUŻ OD



20.08.2022
godz. 10.00–16.00

INAUGURACJA
W MAGAZYNIE CENTRALNYM
(Warszawa, ul. Kłobucka 21)

20–26.08.2022

SPRZEDAŻ W KSIĘGARNIACH
STACJONARNYCH IPN
W CAŁEJ POLSCE

26–31.08.2022

OFERTA DOSTĘPNA ONLINE

PEŁNA OFERTA NA
ipn.poczytaj.pl

WYDAWNICTWO IPN
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Więcej na www.ipn.gov.pl
FB.com/ksiegarnia.ipn

eprasa.pl 196ee5bd01